



Graziano Versace

*Świat Marii*

GRAZIANO VERSACE

# Świat Marii

POWIEŚĆ

Tłumaczenie  
Krzysztof Stopa

**bernardinum**  
2013

## Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

92

93

94

95

96

97

98

99

## Przypisy



Tytuł oryginału:

*Tutto il mondo dentro*

© Edizioni San Paolo s.r.l., 2011

© Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2013

Redakcja

Justyna Maluga

Projekt okładki

Marcin Lipiński

**Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o.**

ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin

tel. 58 536 17 57; fax 58 536 17 26

bernardinum@bernardinum.com.pl

www.bernardinum.pl

Skład:

Drukarnia Wydawnictwa „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin

**ISBN 978-83-7823-105-9**

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

*Mojej matce*

To Livia Antonietta, krawcowa, po raz pierwszy powiedziała mu o Marii. Spotkali się pewnego mglistego i mżystego ranka pod krzyżem, na drodze prowadzącej do miejsca, gdzie grupa kobiet nadal chodziła prac, wykorzystując do tego balie i wodę z potoku. Zapytawszy go o pracę, opowiedziała mu o Marii, opętanej. Nikt nie wiedział, co się z nią stało. Ni stąd, ni zowąd zaczęła się zachowywać jak wariatka, przestała jeść, ubierać się, mówić. Stała się obłąkana, a jej matka robiła wszystko, żeby to ukryć. Wzywali nawet księdza Edoarda, aby odprawił nad nią egzorcyzmy, aby wypędził diabła, ale nowenny i woda święcona na niewiele się zdały. Livia Antonietta nie szczędziła szczegółów, toteż Giovanni Buscemi, słuchając jej opowiadania, poczuł w ciele dawny dreszcz. Wrócił do Cittanova kilka miesięcy temu, ale ludzie nadal nazywali go magiem. Wrócił ten, który interesował się kartami, tarotem, przepowiedniami. Ten, który wyjechał przed kilkoma laty, zapominając o swojej matce, zapominając o zmarłych. Nijak nie dało się wytłumaczyć powodów jego postępowania ani zainteresowania metodami wróżenia. Dla innych pozostał Giovannim Buscemim, wróżbitą zdolnym czytać ludziom w oczach, aby poznać ich życie, a potem to wykorzystać do własnych celów.

Livia Antonietta spojrzała na niego badawczo, być może chcąc przy okazji dostrzec na jego twarzy wyraźne oznaki starzenia się.

– Vincenzina, jej matka, jest załamana. Nie może znaleźć spokoju. Jak przyjdiesz, przedstawię ci ją – powiedziała.

– Ale ja nic nie jestem w stanie poradzić.

– To nie leczysz wariatów?

– Niezupełnie.

Livia Antonietta lekko się uśmiechnęła. Zawsze była piękna, pełna życia, atrakcyjna. Teraz zmarszczka przecinała jej prawy policzek, zakręcając na wysokości podbródka, poniżej warg. Zbliżała się już do pięćdziesiątki, ale piersi miała nadal jędrne i kształtne. Włosy rozwiane, pofalowane, jakby chciała pokazać, że wciąż coś w niej kwitnie. Nigdy nie wyszła za mąż.

– W takim razie, czym się konkretnie zajmujesz? – zapytała.

– Jestem psychoterapeutą – wyjaśnił.

– Psychologiem?

– Lekarzem duszy.

– To jest jakaś różnica? – spytała z ciekawością.

– Powiedziałbym, że raczej tak.

Livię Antoniettę jeszcze bardziej to zaintrygowało.

– Czy naprawdę można leczyć dusze?

– Chciałbym umieć ci odpowiedzieć. – Giovanni uśmiechnął się.

– Umówmy się, że któregoś dnia wyjaśnisz mi to lepiej na spokojnie – powiedziała.

Zabrzmiało to jak obietnica albo zaproszenie. Miała we włosach wstążkę, taki nawyk z młodości. Kiedy się żegnali, w jej oczach przemknął jakiś błysk. Giovanni poszedł dalej ulicą Grimaldiego i ruszył w dół aż na plac Świętego Rocha. Mimi siedział przed domem na swoim krzeselku i wyplatał sprawnymi rękami koszyki, które później syn Piero sprzeda na targu. Zimny wiatr z północy zawiewał od strony kasztanowego lasu, nie napotykając na żadne przeszkody wzdłuż bitej drogi, kończącej się nieopodal ziemnego nasypu. Mimi pozdrowił go i zaprosił na kawę wzmocnioną anyżówką. Znał go od dziecka, ale teraz traktował z pewnym respektem, jakby do końca nie wiedział, z kim ma do czynienia. Giovanni przysiadł się do niego. Wychował się w tej dzielnicy, a teraz widział ją opustoszałą i pozbawioną smarkaczy kręcących się dokoła.

Po drugiej stronie ulicy, na lewo od wybrukowanego placu, znajdowała się brama liceum ogólnokształcącego. Około południa plac wypełniał się uczniami. Lubił wychodzić o tej porze dnia, wtedy wracało tu życie. Śmiechy i radość młodzieży podnosiły go na duchu, sprawiały, że czuł się mniej obco. Wypełniały pustkę tych uliczek, skazanych na wyniszczenie, także w jego pamięci.

Po co tu wrócił? Co chciał odnaleźć? Matki już nie ma, ale jego dom pozostał jedynym miejscem mogącym mu zapewnić jakieś schronienie, dom ze starymi pokojami, które wciąż udzielały mu gościny. Pomógł Mimiemu przeciągnąć sznurki grubości powrozu między splotami miękkiego jeszcze drewna, potem wypił kawę i pożegnał się z nim. Uderzył go gwałtowny powiew wiatru. Ruszył w drogę powrotną, chowając się cały w kurtce. Smak anyżu w ustach towarzyszył mu do samego domu.

Ludzie zawsze się go bali, jego gadatliwości, jego oczu jak u przestępcy. Uważali, że nie zasługuje na zaufanie, jest kłótlivy i krytykancki – jakby był już starcem. Kiedy jednak siadał na progu domu z książkami w rękę, zmieniał się jego wygląd, jakby cała ta wściekłość, to wzburzenie nagle przeradzały się w pragnienie wiedzy, chęć poznawania. Gdy miał zaledwie dziesięć lat, odkrył bibliotekę księcia Alberta i gdy tylko mógł, prosił swoją kuzynkę Angelinę, by poszła z nim wypożyczyć parę książek bez wiedzy właścicieli, którzy od zakończenia wojny coraz mniej czasu spędzali w Cittanova.

Stając przed półkami, którymi zastawione były całe ściany, Giovanni podnosił wzrok i wpatrywał się w książki ustawione tak wysoko, że nawet nie był w stanie odczytać ich tytułów. Wchodził wtedy na drabinkę i po kolei brał tomiska do ręki, wertując kartki i czytając informacje na skrzydełkach okładek, starał się uchwycić niejasny sens niektórych sformułowań lub pewnych tytułów. Przez długi czas spał ze słownikiem położonym obok wypchanego wełną materaca. Budził się o pianiu koguta w swoim pokoiku na poddaszu i gdy tylko pierwsze promienie słońca zajrzały przez okno, otwierał słownik, by wrócić do lektury i nauki słów. W tamtym czasie w jego życiu nic innego nie istniało. Wstawał, mył się, pomagał dziadkowi w wyrobieniu twarogu, a potem ruszał do szkoły, pieszo, w kilkakrotnie podzielonych butach i z pragnieniem w sercu, by poznawać coraz więcej i więcej.

Jako pierwszy z dzielnicy poszedł na uniwersytet. Studiował psychologię i wtedy zaczął go ogarniać jakiś dziwny niepokój, jakby choroba zmysłów. Przeniósł się do Szwajcarii, najpierw do Zurychu, potem do Lugano, aby wreszcie wykorzystać doświadczenie psychoanalityczne nagromadzone przez lata rozmaitych seansów i podróży. Właśnie tego najbardziej pragnął: głęboko wniknąć w umysły innych ludzi, odszukać źródło wszelkich chorób psychicznych, przynieść ratunek swoim pacjentom, zawładnąć ich doświadczeniami, historiami. Najbardziej interesował go ich sposób odczuwania lub – jednym słowem – ich cierpienie. Ból istnienia, życia. Czy on właśnie leży u podstaw wszelkiego cierpienia? A może nękał go jakiś bardziej subtelny i ukryty niepokój? Na co może się przydać jego wiedza, skoro czas płynie bezlitośnie? I czyż to dopadające go czasami, zakradające się do jego wnętrza poczucie wszechmocy nie było przypadkiem owocem paniki, która sprawiała, że gdy tylko się ono pojawiała, jego oczy zachodziły bielmem, czyniąc go ślepym?

Później, którejs nocy, otworzył oczy, krzycząc w ciemności. Nie od razu zrozumiał, co się stało. Z trudem łapał oddech i miał wrażenie, że leży w kałuży, a jego plecy nieruchomo przylegają do jakiegoś miękkiego podłoża. Przejmujący

ból w piersi rozszerzał się, zatykając mu gardło. Wargi powilgotniały, chyba od śliny, a we wnętrznościach coś zaburczało, próbując się wydostać przez usta. Czuł, że zbiera mu się na wymioty. Zobaczył jakiś cień, falujące włosy, a potem już nic. Pomacał piersi i wyczuł nóż. Był wbity na wysokości mostka, głęboko, cios musiał być zadany celnie i precyzyjnie. Przesunął palec na brzeg otwartej rany i przeszył go dreszcz. Ociekał własną krwią, ale nie był w stanie jej zobaczyć. Unosił się jakby w próżni, w wodzie, która miała teraz konsystencję jego paniki. Nie był w stanie poruszyć rękami. Światło znikło, a on nie potrafił w tej chwili nawet powiedzieć, w której części łóżka leży na wznak. Nie mógł dojrzeć lampy postawionej na podłodze ani odwrócić głowy, by spróbować ją odszukać.

Kilka godzin wcześniej po raz enty odbył stosunek płciowy, kolejne przykre zjednoczenie ciał, które nie dawało mu już żadnej przyjemności. Spróbował zawołać Magdę, swoją towarzyszkę, ale nie odpowiedziała. Spróbował jeszcze raz, usiłując przebić się przez ciszę domu, ale jego ostatnie słowa uwięzły mu w gardle, zduszone płaczem. Tkwił tak bez ruchu, patrząc w sufit przesłonięty cieniami, aż w końcu zamknął oczy pewien, że umiera.

Przebudził się w łóżku szpitalnym. Intensywny zapach jaśminów unosił się w sali, przynosząc z sobą powiew lata. Do jego łóżka podbiegła od razu pielęgniarka, by go uspokoić co do stanu zdrowia. Był w śpiączce przez miesiąc, ale teraz już można powiedzieć, że się wykaraskał. Zapytał o Magdę, ale jej nie było. Policja przez wiele miesięcy próbowała ją namierzyć, ale wciąż nic o niej nie było wiadomo.

Grób znajdował się we wnęce na samym dole<sup>1</sup>, pod tym, w którym spoczywała dziewczynka zmarła w wieku zaledwie trzech lat. Nie upamiętniała jej żadna fotografia. Na ziemi ktoś ułożył porcelanowe lalki i kilka zabawek, jakby chciał ozdobić pokoik.

Giovanni Buscemi oparł rękę o tablicę grobu matki i uczynił znak krzyża. To samo zrobił przy tablicy dziewczynki, poprawił kilka lalek, które się przewróciły, i znów zaczął wpatrywać się w stojący przed nim mur śmierci. Było tam wypisane tylko imię matki, Concetty Cutrupi, wyryte dłutem w betonie, tak jakby jej zwłoki dopiero czekały na złożenie we właściwym miejscu.

Z zewnątrz dobiegał szczebiot ptaków. Rozległa, nieuprawiana łąka otaczała wotywny ołtarzyk z pustą niszą i opuszczoną kapliczkę z dziurawym dachem. Ranek był upalny i Giovanni niemal zdziwił się, że to miejsce potrafi tchnąć takim spokojem. Szpaler cyprysów wyznaczał południową granicę, za którą zaczynał się rozległy oliwkowy sad, poprzątkany pojedynczymi drzewami pomarańczy i cytryn.

Mężczyzna wziął plastikową butelkę z gnijącą wodą i resztkami zbutwiałych już kwiatów i wyszedł, by wrzucić ją do pojemnika. Wrócił, zerwał opakowanie z kwiatów, które zakupił w sklepiku znajdującym się przy cmentarzu, a następnie ułożył je pojedynczo na marmurowej płycie. Miał zrobić zdjęcie swojej matki, ale potem przemyślał sprawę. Po co to komu? Przypomniawszy sobie matkę, gdy była młoda, jej ciepłe piersi, okrągły brzuch, bardzo długie włosy, upięte w kok na głowie, i wyobraził ją sobie daleką, należącą do innego czasu, który nie może już być częścią jego życia. Ale mimo wszystko wrócił. Jakieś rozpaczliwe pragnienie uchwycenia się na nowo własnych korzeni, wchłonięcia zapachu swojej ziemi, może nawet własnej krwi, przede wszystkim jednak wyrażenia żalu, poproszenia o wybaczenie, wylania przynajmniej jednej łzy za tę matkę, która go zawsze chroniła i nim się opiekowała.

Położył dłoń na tablicy po prawej stronie. Jego oddech przyspieszył na myśl, że tam może być głowa matki i że mógłby oczyma wyobraźni ją przytulić. Pomodlił się za nią, ucałował tę zimną i szorstką ścianę, i w końcu zaszlochał.

Vincenzina Furfaro nałożyła kaszy do filiżanki, wzięła kilka sucharów i położyła je na tacy. Odsunęła włosy, zakładając je za uszy, cicho westchnęła i poszła w stronę pokoju córki. Przed drzwiami przystanęła.

– Mario! – zawołała.

Nie uzyskawszy odpowiedzi, otworzyła drzwi, które zostawiała zawsze niedomknięte.

– Mario! – zawołała ponownie, tym razem już bardziej stanowczym głosem. Szelest pościeli pozwolił jej się domyślić, że dziewczyna nie śpi.

– Mario – powtórzyła, wchodząc do małego pokoju bez okien. Tylko długa i wąska komoda dotrzymywała towarzystwa łóżku. Ściany były szare i wyblakłe.

Vincenzina postawiła tacę na komodzie, podeszła do łóżka i odsłoniła twarz córki. Dziewczyna leżała spokojnie, schowana pod ciężkimi kołdrami.

– Jak się czujesz? – spytała matka.

– Dobrze.

– Zjesz trochę kaszy?

– Nie.

– Zjedz, Mario. Dobrze ci zrobi.

– Nie chcę kaszy. Bierze mnie po niej na wymioty.

Od trzech dni zwracała wodą i żółcią. Kiedy wymiotowała, nachodziły ją głosy, a ona nie chciała ich już więcej słyszeć. Nie rozumiała, co mówiły, wiedziała tylko, że pragnie je odpędzić od siebie raz na zawsze.

– Nie możesz ciągle pościć.

– Daj mi spokój, mamó.

Zakryła sobie twarz aż po oczy. Miała czarne i rozczochrane włosy, a na prawym policzku, koło wargi, okazały pieprzyk. Jej oczy były małe i okrągłe jak orzeszki, nos długi i spiczasty, ale zgrabny. Wargi miała wyraźnie zaznaczone, choć delikatne, skórę przeźroczystą. Szukała jakiegoś ciemniejszego kąta i chciała, żeby matka sobie poszła.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – spytała tymczasem Vincenzina.

– Nie.

– Jak się naprawdę czujesz?

– Dobrze.

– Dlaczego ze mną nie rozmawiasz? – zapytała przygnębiona matka.

– Przenieś mnie do innego pokoju – wyszeptała Maria.

– Zaczekajmy jeszcze parę dni.

– Chcę widzieć światło.

– Jeszcze kilka dni i pozwolę ci wyjść. Przeniosę cię do mojego pokoju, do



dużego łóżka.

– Nie, do twojego pokoju nie – oświadczyła dziewczyna cichym i nagle łąmiącym się głosem.

– Czemu nie?

– Chcę być w moim pokoju.

– Nie, moja córko. To niebezpieczne.

– Chcę czuć powietrze, mamó! – zawołała poirytowana. – Chcę powietrza, rozumiesz? Powietrza! Chcę powietrza! Nie chcę tu być. Powietrza, brakuje mi powietrza. – Odkryła się, jakby się dusiła.

– Nie trzymaj mnie tu dłużej! Pozwól mi wyjść. Na miłość boską, mamó, wypuść mnie!

Vincenzina przysiadła na łóżku i wzięła ją w objęcia.

– Przytul się, przytul – powiedziała, ale córka próbowała się oswobodzić z tego czulego uścisku. – Nie odpędzaj mnie – błagała matka. – Nie odpędzaj mnie. Zostańmy tak. Uspokój się. – Pogłaskała ją po włosach i kilka razy ucałowała. – Przejdzie ci, wiesz? Nie martw się.

– Kiedy? – zapytała Maria.

– Już niedługo.

Dziewczyna zanosła się płaczem.

– Nie przyprawdzaj tu więcej nikogo – rzekła.

– Potrzebujesz pomocy.

– Nie przyprawdzaj tu więcej księdza Edoarda.

– Ależ on cię kocha. On to robi dla ciebie. Chce, żebyś się dobrze poczuła.

– Tak, ale mówi mi rzeczy, po których źle się czuję.

– Co?

– Całe to kościelne gadanie.

– Przecież to Boże błogosławieństwa, Mario. On modli się za ciebie.

– Tak, ale obwinia mnie za to, co się dzieje.

– Nie, źle go rozumiesz. Ksiądz Edoardo chce tylko, abys się dobrze czuła.

– Nie przyprawdzaj go tu więcej.

– Nie.

– Nie wzywaj go więcej, mamó.

– Nie, ale musisz mi powiedzieć, musisz mnie zawsze zawołać.

– Mocno przytuliła ją do siebie. – Teraz położę się przy tobie. Jestem zawsze z tobą, więc nic ci się już nie stanie.

Maria odwróciła głowę. Wiedziała, że to niemożliwe, ale prawdą było także to, iż od kilku dni nie słyszała już głosów. Teraz jednak bardziej bała się snów, zmarłych, którzy ją nawiedzali, pukali, żeby wejść, ukazywali się, zapierając jej dech w piersiach, ale i nie pozwalając jej się obudzić.

– Zjesz kaszy? – zapytała matka.

- Nie.
- Kawałek chleba, przynajmniej coś pożywnego.
- Nie, mammo.

Vincenzina poddała się, przykryła córkę kołdrą i powiedziała, że wraca na dół do kuchni. Wzięła tacę i wyszła z pokoju. Zostawiła drzwi otwarte.

W nocy czuła uściski zmarłych, lodowaty oddech, który osiadał na jej skórze jak mroźny wiatr osadzający szadź. Czasami z tego powodu stawała się niespokojna i zaciskała szczęki aż do krwi.

– Wiem, że macie coś do mnie – mówiła do zmarłych. – Zostawcie mnie. Zimno mi. Nie rozumiecie, że czuję chłód? Dlaczego mi dokuczacie?

O świcie wszystko jednak zniknęło, a ogarniające ją otępienie przynosiło nieco ukojenia. Jednak w pokoju nie było światła, słońce tu nie docierało, jego promienie były dalekie, cenne, tymczasem ona właśnie tego najbardziej pragnęła: otwartej przestrzeni, czystego nieba, szumu deszczu, wesołości młodych ludzi zbierających się na placu, mających zupełnie inne życie niż ona. Dlaczego jej to nie było dane? Budziła się spocona, zmaltretowana i nie pamiętała niczego. Widziała zaniepokojoną twarz matki albo księdza Edoarda i uświadamiała sobie, że zrobiła coś niewłaściwego. Otaczał ją jakiś wrogi półmrok. Lecz to, co się z nią działo, nie zależało od niej. To nie ona tego chciała. Jakiś głos do niej mówił, urywany, niecierpliwy, wściekły, rozgniewany, tak jakby ktoś inny mieszkał w niej i przemawiał przez nią. Ludzie mówili, że jest opętana, że diabeł zawsze wie, jak skaptować najpiękniejsze dusze, jak je sobie zabrać. Kto wie, ile odrażających rzeczy zrobiła, ale ona nie miała z tym nic wspólnego i prosiła Boga o przebaczenie, gdy tylko jej umysł odnajdywał chwilę wytchnienia. Ojczym gardził nią, nazywał ją nawiedzoną, ale ona go nie słuchała. Wymazała tego człowieka z pamięci już dawno temu. Jego obraz rozmył się, tak jak wspomnienia tych ostatnich miesięcy, z których nic nie pamiętała.

Giovanni nabrał zwyczaju wychodzenia wcześniej rano. Kupował ciepłą jeszcze bagietkę, robił sobie z niej kanapkę z mortadellą i kierował się w stronę kasztanowego lasu, który w swym piramidalnym kształcie wznosił się nad Cittanova. Po drodze często spotykał stado owiec i ich właściciela Cosima Filangieriego. Przystawał, by zamienić z nim parę słów, po czym ruszał dalej ścieżką, która prowadziła aż do kapliczki Matki Bożej i jeszcze dalej, prawie na sam szczyt, po czym opadała z drugiej strony wzniesienia, biegnąc aż do obszaru zwanego Zomaro. Tego właśnie potrzebował. Od ponad dwóch miesięcy nie zajrzał do żadnej książki, studiowanie zeszło zupełnie na drugi plan, podobnie jak całe jego wcześniejsze życie. Teraz wszystko było jak nowe. Wietrzne powietrze płynące od strony kasztanowego lasu było dla niego od dawna pożądanym błogosławieństwem.

Usłyszał szum potoku Cavallica i poszedł dalej ścieżką, deptając wyschnięte łupinki kasztanów. W pewnym momencie schylił się po długi, tęgi kij i wykorzystał go jako laskę w dalszej wędrówce na górę. Jego dziadek zawsze tak robił, kiedy wyprowadzał owce. Przypomniawszy sobie teraz jego pochyloną szczupłą sylwetkę, jego żyły wyrzeźbione na pomarszczonej skórze. Mógł kiedyś stać się taki jak on: mieć jedną izdebkę do mieszkania, ogródek do uprawy i parę zwierząt do towarzysstwa.

Nie dotarł na sam grzbiet wzniesienia. Zatrzymał się na otwartej przestrzeni, usiadł na głazie pokrytym mchem i oddychał rześkim, porannym powietrzem. Wyjął kanapkę i zjadł ją sporymi kęsami. Powinien był zabrać ze sobą butelkę wina albo trochę kawy, żeby mu łatwiej było przełknąć jedzenie. Posiedział jeszcze kilka minut, ale kiedy nogi skostniały mu z zimna, musiał się podnieść. Niebo było bezchmurne, jednak lodowate powietrze zapowiadało bliskie nadejście śniegu. Giovanni ruszył się stamtąd i podążył ścieżką prowadzącą w dół ku równinie. W połowie drogi doszły go głosy paru kobiet, które każdego dnia punktualnie przychodziły do kapliczki Matki Bożej, aby się modlić. Giovanniemu wydało się, że wśród nich dosłyszał głos Livii Antonietty i przyspieszył kroku. Zobaczył ją na polanie naprzeciw kapliczki, klęczała na skrawku trawy z głową ukrytą w dłoniach niczym pokutnica. Inne dwie kobiety znajdowały się bliżej tabernakulum i zmieniały kwiaty wotywny z poprzedniego dnia. Jedna z nich zauważyła Giovanniego, ale udała, że go nie widzi. Wyjęła klucz z kieszeni, musnęła dłonią płaszcz figurki Matki Bożej i zamknęła na kłódkę kamienną niszę. Odwróciła się w stronę Livii Antonietty i próbowała przyciągnąć jej uwagę, lecz bez powodzenia. Następnie przysunęła się bliżej drugiej kobiety.

Giovanni stanął obok Livii Antonietty i wtedy ona wreszcie zauważyła jego obecność.

– Dzień dobry, Livio – pozdrowił ją.  
– Witaj – odrzekła, trzymając wciąż dłonie na wprost twarzy w błagalnym geście. Odmówiła jeszcze kilka modlitw i wstała. Poprawiła sobie spódnicę i uśmiechnęła się do Giovanniego.

– Przeszkodziłem ci? – zapytał.  
– Nie – odrzekła kobieta z zaczerwienioną i rozpaloną twarzą. – Co tutaj robisz?

- Szedłem na spacer. A ty?
- Przyszliśmy się pomodlić za Marię.
- Za tę dziewczynę, o której mi mówiłaś?
- Tak.
- Jak ona się czuje?

Livia Antonietta uczyniła na sobie znak krzyża.

– Dali jej jakieś lekarstwa, ale nie skutują. Mówią, że zwariowała, ale być może to naprawdę zły duch ją opętał, Giovanni. Sama ją słyszałam kiedyś wieczorem, jak mówiła zmienionym głosem – odpowiedziała.

– Odwiedziłaś ją?  
– Poszłam odwiedzić jej mamę. Co mogę poradzić? Kiedy to tylko możliwe, staramy się być przy niej blisko. Ale teraz boję się nawet wchodzić do niej do domu.

Giovanni przez chwilę zastanawiał się nad tymi słowami.

– Czy badał ją jakiś psychiatra? – spytał.  
– Wiem, że ją leczą.  
– Ale czy zawieźli ją gdzieś?  
– Nie wiem. Myślę, że nie, ponieważ Vincenzina nie chce, by wychodziła z domu. Nie chce, aby ludzie ją widzieli, rozumiesz?  
– Tak.

Livia Antonietta podniosła nieco głowę w stronę Giovanniego.

– Mogę powiedzieć Vincenzinie o tobie?  
– Nie mogę nic zrobić dla tej dziewczyny.  
– Dlaczego nie?  
– Na razie to niemożliwe.  
– Chciałam cię tylko przedstawić Vincenzinie. Jedno słówko więcej zawsze może się przydać.

– Czy ona wie, kim jestem?  
– Tak, oczywiście, że wie.  
– Ja jej nie pamiętam.  
– Przyjechała tu po tym, jak wyjechałeś. Wcześniej mieszkała gdzieś w okolicach Calvario.

– A ty przyszłaś tu pomodlić się za tę dziewczynę.

– Tak, za Marię. – Przyjęła obronną pozę, ciemniejąc na twarzy. – Maria jest kimś szczególnym, Giovanni. Maria jest córką wszystkich, rozumiesz? To jest nasza Maria, a my możemy tylko prosić Matkę Bożą o łaskę. Nie jesteśmy lekarzami, niestety – skończyła mówić z lekką nutką zazdrości.

– Co na to ksiądz Edoardo? Co o tym myśli?

– Że to biedna istota i że zły duch ma tysiące twarzy.

– A ty? – rzekł Giovanni. – Co myślisz?

– Ja twierdzę, że jest chora. – Zastanowiła się przez chwilę. – I że modlitwa czyni cuda. Ale trzeba umieć się modlić – dodała.

Spojrzeli na siebie, a on pomyślał, że minione lata uczyniły ją jeszcze piękniejszą, może wręcz olśniewającą.

Pozostałe dwie kobiety podeszły do nich. Wiatr coraz bardziej przybierał na sile, uderzając w konary kasztanowców i wzbijając z ziemi tumany pyłu.

– Lepiej będzie, jak już pójdziemy – powiedziała najstarsza z kobiet.

– Giovanni, przedstawię ci moje dwie przyjaciółki, Sarę i Letizję – nieco pośpiesznie powiedziała Livia Antonietta.

Giovanni uścisnął im dłonie, a Livia Antonietta wskazała ręką ścieżkę powrotną w dół.

– Coś mi się zdaje, że nam się zepsuje pogoda – rzuciła przewidująco.

– Myślę, że tak – przytaknął Giovanni.

– Idziemy?

– Tak. Pójdę przodem.

Stuknął kijem o ziemię i poszukał wzroku Livii Antonietty.

– Uważaj, jak będziesz schodzić.

– Jasne.

– Uważajcie – zalecił Giovanni pozostałym dwom kobietom. – Wiatr jest silny.

Kiedy zeszli ścieżką na sam dół, pierwsze chmury już zakrywały kasztanowy lasek.

Angelina Tomasello wzięła dzbanek do kawy i niezgrabnie postawiła go na tacy. Teraz, po śmierci siostry, mieszkała sama w jednopiętrowym domku, który wychodził na ulicę San Pasquale. Nie pozostało w niej nic z energicznej i żywiołowej kobiety, którą Giovanni zachował w pamięci. Kuśtykała na swych krzywych nogach, zarzucając pulchnymi biodrami, choć jej oczy wciąż zachowywały młodzieńczy blask.

– Przychodź, kiedy ci pasuje – po raz trzeci powtórzyła Giovanniemu, pochylona nad tacą, by lepiej ułożyć ciasteczka domowej roboty.

– Obiecuję – powiedział Giovanni, siedząc w przetartym skórzanym fotelu. – Nikt nie przyrządza tak dobrej kawy jak ty.

– Dolewam trochę anyżówki – wyjaśniła Angelina. – Przywozi mi ją twoja kuzynka Stefania, kiedy przyjeżdża z San Vito.

To była prawda. Giovanni pamiętał zapach tej anyżówki od czasu, gdy był jeszcze dzieckiem. Przeszyła go jakaś nagła nostalgia, jakby ukłucie szpilki, ale trwało to zaledwie chwilę.

Angelina wróciła z tacą i postawiła ją obok Giovanniego, prosząc, by sam się obsłużył. Giovanni nalał sobie filiżankę kawy, dodał trochę anyżówki i ugryzł ciasteczko. Następnie wypił kawę drobnymi łykami, wdychając głęboko jej aromat i patrząc nareszcie przebudzonymi oczami. To był dla niego prawdziwy lek na wszystko.

– Czyli wciąż przychodzą do ciebie na kawę? – zapytał, nie mogąc się zdecydować, czy nalać sobie jeszcze jedną filiżankę.

– Wszyscy mężczyźni z rodziny wciąż przychodzą – odpowiedziała zadowolona. – Rano to nawet ustawiają się w kolejce.

– Nie dziwię się – odparł Giovanni.

Angelina uśmiechnęła się. Nie miała z przodu dwóch zębów, a jej policzki były zapadnięte z powodu braku trzonowych. Jest już staruszką – pomyślał Giovanni, serdecznie się do niej uśmiechając.

– A ty jak się czujesz? – zapytała. – Chyba nie wyjedziesz znów bez pożegnania?

– Nie, na razie zostaję tutaj.

– A praca? Jak leci?

– W porządku, dziękuję.

– Rodziny nie założyłeś?

– Nie.

– To na co czekasz?

– Nie znalazłem odpowiedniej osoby.

– Lepiej samemu niż z niewłaściwym towarzystwem – wygłosiła swoją sentencję kobieta nosząca włosy splecione na głowie, te włosy, których nie obcinała od czasu, gdy straciła swoją miłość z młodzińskich lat. – Ja, zdaje się, nie wyszłam za mąż – dodała.

– Masz rację, Angelino.

– Mówię ci, nie jest dobrze, że taki ładny chłopak jak ty nie zakłada rodziny.

– Mam pięćdziesiąt lat.

– I co z tego? Po pięćdziesiątce masz jeszcze szmat życia przed sobą.

– Znaczący, że teraz mam sobie poszukać pięknej dziewczyny i ożenić się.

– Tak jest, weź się do roboty.

– Masz kogoś na oku? – zażartował.

– Jest Antonietta – zasugerowała. – Taka ładna kobieta...

– Ona też nigdy nie wyszła za mąż – zauważył Giovanni.

– Nie – potwierdziła kobieta. – Ona jest jedną z tych, które czekają na miłość. Które czekają na nią całe życie.



Ciccio, zwany Murzynkiem, właśnie karmił kury, kiedy zobaczył Giovanniego idącego napełnić dzban wodą ze źródła. Zawołał go gwizdnięciem, nie przestając rozrzucać po ziemi przemielonych ziaren kukurydzy.

– Giovanni – krzyknął.

Giovanni odwrócił się, od razu poznając go po głosie. Uśmiechnął się, napełnił dzban i podszedł do niego.

– Co robisz? – spytał, przystając przed zmurszałą furtką zaczepioną stalowym drutem. Po drugiej stronie był niewielki ogródek, w którym rosły przeważnie ziemniaki i pomidory. Nieco dalej za ogrodzeniem jakaś świnka ryła ziemię.

– Woda z Cittanova jest zawsze dobra – powiedział Giovanni, wskazując na emaliowany dzban.

– Najlepsza.

Giovanni spojrzał w kierunku wiaty, obrośniętej grubymi i poplątanymi gałązkami winorośli, zbiegającymi się na tarasie, z którego wciąż dochodził cierpki i słodkawy zapach winogron.

– To twój ogródek?

– Nie, księcia.

– Dzierżawisz go?

– Tak.

– Ile mu płacisz?

– Dwadzieścia tysięcy lirów – odpowiedział. – Ale teraz przenoszę się wyżej, tam się buduję.

– Stawiasz sobie dom?

– Już najwyższa pora, przy trójce dzieci.

– Mieszkasz dalej tam na dole, koło twojej cioci?

– Tak, tam na dole.

– Czy to znaczy, że ksiązę chce odzyskać ogród? – zapytał z ciekawością.

– Nie, to ja odchodzę. Dwadzieścia tysięcy lirów to za dużo.

– No to może byś mi go przekazał?

Rozkoszował się przez chwilę swoimi słowami wypowiedzianymi w dialekcie. Miał wrażenie, jakby się przeniósł wiele lat wstecz.

– A co byś chciał z nim robić?

– Dam ci trzydzieści tysięcy lirów, ale nic nie mów księciu. Przecież i tak pokazuje się tu tylko od wielkiego dzwonu.

– A i to nie zawsze – zauważył Ciccio, a jego oczy zajaśniały na tle mocno ciemnej skóry.

– No i co ty na to?

– Jeśli o mnie chodzi, to zgoda.  
– Ale zostawisz mi wszystko, co jest posadzone.  
– A co miałbym z tym zrobić? – zaśmiał się Ciccio. – Wziąć ze sobą wszystkie te krzaki i zielska?

Zaśmiali się obydwaj.

– W ogóle – ciągnął Ciccio – to bierz, co chcesz. Ziemiaki są dobre. Mam też trochę cebuli, jeśli sobie życzysz.

– Dzięki, może przyjdę później.

– Jak chcesz, to ci zostawię klucz i przyjdiesz, kiedy będzie ci pasowało.

– Nie trzeba – powiedział Giovanni, spoglądając w różne miejsca ogrodu, nawet najdalsze zakamarki. – Chciałbym go uporządkować.

– Jak pójdziesz dalej, bliżej świni, to jest tam posadzonych trochę dyń, bakłażanów, truskawek, ogórków, tych najlepszych, długich i zakrzywionych.

– Tych bardzo twardych?

– Tak, jakoś pierwsza klasa! A pomidory... żadnej wody w środku, poza tym niczym ich nie faszeruję.

– Jesteś ekspertem – przypochebił się Giovanni.

– Trochę się na tym znam – wykręcił się Ciccio, a tymczasem kury zaczęły się bić o ostatnie resztki karmy.

Giovanni przytaknął.

– W takim razie do zobaczenia – powiedział. – Kiedy się znowu spotkamy?

– Mieszkasz tam, gdzie mama?

– Tak.

– W takim razie to ja wpadnę do ciebie, jutro albo pojutrze.

– No to czekam.

Giovanni zrobił ruch, żeby pójść dalej, ale Ciccio go zatrzymał.

– W sobotę bijemy świniaka – zaanonsował. – Może byś przyszedł?

– Gdzie?

– Tu w ogrodzie.

– Na takim chłodzie?

– To się ciepło ubierzemy.

– Tak, i złapiecie zapalenie płuc.

– My z Cittanova mamy żelazne zdrowie.

– Ale ja przyjdę tylko na wyżerkę – zażartował Giovanni.

– Będziesz naszym honorowym gościem, jeśli przyjdiesz – podkreślił Ciccio.

– A tak w ogóle, to kogo masz na myśli, mówiąc „my”?

– Wiesz, jak to jest. Takie biesiady są otwarte dla wszystkich. Jakbyś mi pomógł zabić tego świniaka, to wyświadczyłbyś mi przysługę.

– Nikt ci nie pomaga?

- Owszem, ale ty zawsze umiałeś to świetnie robić.
- A ty byłeś tym, który spijał jeszcze ciepłą krew.
- Jest dobra. Daje siłę.
- Myślisz?
- Tak dawniej mawiali.
- Ja myślę, że może ci zaszkodzić.
- Spróbuj, a potem powiedz mi, jak się czujesz.
- Nie – uciął Giovanni – tylko ty jesteś w stanie pić taką krew, która jeszcze paruje.

Ciccio uśmiechnął się z zadowoleniem. Zabicie świniaka było okazaniem męskości, nie tylko dowodem dobrobytu. Bardziej jednak niż cokolwiek innego liczyła się sama biesiada, ten moment zbiorowej jedności, który mógł się ciągnąć przez wiele kolejnych dni.

Maria zaczekała ze wstaniem z łóżka, aż jej matka wyjdzie z domu. Podeszła boso do drzwi, otworzyła je niemal z trzaskiem i skierowała się w stronę kuchni. Kiedy szła, podłoga skrzypiała. Stare deski były w opłakanym stanie, niektóre po prostu położono wprost na gołej ziemi. Ściany ociekały wilgocią.

Maria weszła do kuchni i wzięła bochenek chleba. Dużym kuchennym nożem ukroiła sobie kromkę i zaczęła wpatrywać się w szare i połyskujące ostrze. Wystarczy niewiele, żeby się zranić – pomyślała. Wystarczy niewiele, żeby zrobić to, co ma zrobić. Ale natychmiast ocknęła się z tych myśli, tak jakby to nie ona je formułowała. Odłożyła nóż na marmurowy blat koło zlewozmywaka i pośpiesznie odmówiła modlitwę do Matki Bożej. Natychmiast ustąpił niepokój, a ona odpędziła za siebie wszelkie inne niestosowne myśli. Kucnęła, przesunęła kwiecistą zasłonkę pod zlewem i wzięła słoik wypełniony suszonymi pomidorami w oleju. Na wypaczonym parapecie okna stał koszyk pełen kasztanów wysuszonych na słońcu, twardych jak kamień. W umywalce Maria znalazła widelec, nabiła na niego kilka pomarszczonych kawałków pomidora, ułożyła je na talerzyku i podeszła do okna. Była głodna, a wpadające z zewnątrz słońce jeszcze zwiększało jej apetyt. Nagle zdecydowała, że musi wyjść. Poczula, że coś ją dusi w gardle, a potrzeba znalezienia się na otwartym powietrzu staje się paląca. Bosa wyszła na podwórko dzielone jeszcze z dwiema innymi rodzinami. Stopy skostniały jej od mrozu, ale ona się tym nie przejmowała. Teraz ważne było dla niej tylko iść w stronę światła, wyjść poza te domostwa, które ją zewsząd przytłaczały. Podążyła wzdłuż strumienia deszczówki wypływającej z rury spustowej, dotarła do ulicy i dostrzegła niebo przesłonięte jedynie kilkoma chmurami. Ogołoczone z liści drzewa ciągnęły się po obu stronach drogi. Wokoło nie było nikogo. Dzwon w kościele Świętego Rocha wybił dwunastą. Kto wie, ilu ludzi kręciło się o tej porze po mieście. Poczula się szczęśliwa i zaczęła iść jakby na jakąś zabawę. Spostrzegła, że jest w podomce i przez chwilę nawet zdała sobie sprawę, iż jest zimno, ale nie mogła już zawrócić. Nie miała zbyt wiele czasu, żeby się oddalić. Matka mogła lada chwila wrócić, a także jej ojczym już powinien być w drodze powrotnej do domu. Pracował na budowie jako zwykły pomocnik murarski. Nie wiadomo dlaczego potrafiła sobie przypomnieć tylko jego wielkie i ciężkie dłonie.

Szła dalej ulicą i spotkała ciocię Immacolatę, która właśnie wchodziła do domu po wizycie w kościele.

– Dokądże idziesz? – skarciła ją. – Coś ty na siebie włożyła? Biedaczka, przecież tu wszyscy cię widzą! Wracaj do domu! Wracaj do domu!

Maria popatrzyła na nią, niemal nie mogąc zrozumieć, dlaczego ciocia ma coś przeciw niej, po czym ruszyła dalej. Słyszała kroki idącej za nią staruszki, ale

nie mogła się zatrzymać. Teraz prowadziły ją już same nogi. Chciały iść daleko, stąpać godzinami, aż znajdą ukojenie w zmęczeniu.

Dotarła na ulicę Grimaldiego i od razu zauważyła uczniów, którzy tłoczyli się na kościelnym dziedzińcu. Szum wody w fontannie przypomniawszy jej, że jest zimno. Poczowała, że ma skostniałe stopy, pomyślała, iż chyba lepiej by było zawrócić. Zdała sobie sprawę, co chciała jej powiedzieć ciocia Immacolata. Nie była odpowiednio ubrana, żeby wyjść na zewnątrz. Spojrzała na swoją zniszczoną podomkę i ogarnęło ją poczucie opuszczenia. W tej chwili nie było z nią nikogo. Była sama. Nikt jej nie wołał, nikt jej nie widział.

Przez chwilę czuła pustkę. Chmury przesłoniły słońce, nie wiedziała już, dokąd pójść. Nie widziała też cioci Immacolaty, która musiała zostać gdzieś z tyłu. Albo może poszła zawołać matkę. Ale w domu nikogo nie ma. Szukała wzrokiem matki, lecz nie mogła jej znaleźć w okolicy. Przecież ona poszła na zakupy. Stale makaron, bez żadnego sosu, w przeciwnym razie kończyło się wymiotami. Czasami starała się ze wszystkich sił. Jednak zwracała wszystko. To dziwne, nigdy wcześniej o tym nie pomyślała: nagle zdała sobie sprawę, że jest zaniedbana i ma rozczochrane włosy. Nie jest jak dziewczęta, które widziała na ulicy, ładnie ubrane i z książkami w ręku. Co trzeba, żeby się uczyć? I dlaczego nie pamiętała czasów, kiedy ona także chodziła do szkoły? Doszła do końca gimnazjum, tyle pamiętała, ale co było potem? Poszła do krawcowej, by wyuczyć się zawodu, ale się nie nadała. Zawsze miała jakiś ból w sercu i zarazem pragnienie, którego jednak nie potrafiła nazwać po imieniu, które ją prowadziło donikąd. Uczyć się. Była dobrą uczennicą, zwłaszcza w lekturach i dyktandach. Pamiętała słowa zapisane na kartkach, ale nie miała pojęcia, co się stało z jej zeszytami. Narysowała coś w powietrzu i znalazła się znów przed placem, niedaleko domu Mimiego. Jakiś chłopak odwrócił się, by na nią spojrzeć, jednak ona nie czuła żadnego wstydu. Przeciwnie, odsłoniła swoje ciało, szła lekko, ale w końcu wszystko dokoła niej zaczęło się kręcić i błękit nieba przesłonił całą resztę.

Giovanni wracał właśnie z parku, kiedy zobaczył dziewczynę w podomce. Od razu zauważył, że jest bosa, a na podstawie opisu podanego przez Livię Antonietę domyślił się, że to musi być Maria Forestieri. Minał grupkę uczniów i przyglądał się dziewczynie, która w ekstazie wpatrywała się w światło dnia. Wydawało się, jakby była w stanie katalepsji, ale w jej oczach krył się jakiś głęboki, niepokonany ból. Niektórzy uczniowie podśmiewali się za jego plecami, więc odwrócił się, żeby ich uciszyć. Wystarczyło mu do tego jedno spojrzenie, po czym znów zajął się dziewczyną. Była piękna, miała kształtne, smukłe ciało. Mógł nawet dostrzec jej wyprostowany kręgosłup i brak wyraźnych punktów napięcia w kończynach. Żadnej wypukłości w środkowej części pleców, brzuch wydał mu się miękki, a dłonie i stopy długie i szczupłe. Uderzyły go jednak przede wszystkim jej oczy. Przejrzał się w ich wodnistych barwach i poczuł natychmiastową bliskość z tą dziewczyną.

Usłyszał odgłos kroków i zauważył ciotkę Immacolatę, która dreptała ulicą Grimaldiego w skórzanych kapciach na nogach.

– Wracaj! – krzyczała. – Wracaj! Wracaj natychmiast do domu!

Giovanni wyszedł jej naprzeciw i zatrzymał ją w pół drogi.

– Ciociu Immacolato, co tu robisz?

– Powiedz jej, żeby wróciła do domu. Powiedz jej, Giovanni, zanim zamarznie na śmierć.

– Zajmę się tym, ciociu Immacolato. Nie pokazuj jej się teraz. Zawołam kogoś i zaprowadzimy ją do domu.

– Jej mamy nie ma. Sprawdziłam.

– Nie martw się.

Giovanniemu udało się ją odprawić, ale kiedy się obrócił, by wrócić do Marii, zobaczył, że koło niej stoi jakiś mężczyzna. Tymczasem Mimi i jego żona Rosita wyszli na zewnątrz, by zobaczyć, co się dzieje. Rosita rzewnie płakała, czyniąc znak krzyża przy każdej odmawianej modlitwie.

Giovanni podszedł do nich i zapytał, co to za mężczyzna.

– Jej tata – odpowiedziała Rosita z włosami poślódkami ze starości.

– Ojczym, prawda? – chciał się upewnić Giovanni.

– Tak.

– Biedna niewinna – skomentował Mimi. – Zupełnie się jej pomieszało w głowie.

– Jak długo tak ma? – zapytał Giovanni.

– Zaczęło się, zanim wróciłeś do miasteczka – odpowiedział Mimi.

W tym czasie mężczyzna rozgonił uczniów, Maria zaś zaczęła drżeć. Giovanni ruszył w ich stronę, ale ojczym zrezygnował i zarzucił swoją barchanową kurtkę na

plecy córki i zabrał dziewczynę ze sobą. Maria próbowała się od niego uwolnić, ale w końcu poddała się sile jego uścisku, rozluźniając także głowę.

Kiedy dotarł do ogrodu Ciccio, zastał wieprzka wiszącego już głową w dół, z gardłem poderżniętym jednym cięciem, z nogami opuszczonymi do miski, w której zbierała się czarniawa, parująca jeszcze krew. Grupka dzieci patrzyła na wiszące nieruchomo i gotowe do poćwiartowania zwierzę. Kobiety wykorzystają z niego każdą część. Zaraz wyczyszczą jelita, by uformować z nich kiełbasy i różnego rodzaju salcesony. Jakaś część mięsa, zarówno tłustego, jak i chudego, trafi w solance do dużych glinianych naczyń. Poza tym odetną słoninę i inne części do smażenia. Z wieprza nie wyrzuca się niczego. Nawet uszy i ryj, po odpowiednim usunięciu sierści, zostaną zachowane.

Biesiada już się zaczęła i wino krążyło razem z pudełkiem suchych ciastek. Ciccio pokazywał jeszcze wszystkim szklanekę, z której wypił ciepłą krew dopiero co zabitej własnymi rękami świni.

Giovanniego przywitano z szacownym dystansem, ale już po paru minutach ludzie nawykli do jego obecności i znów zaczęli go traktować bardziej poufale. Do jedenastej zdążył już wypić dwie lampki wina i zjeść trzy kawałki karkówki z kromką chleba nasączonego słodkim winem sycylijskim *zibibbo*.

Kobiety przygotowały stół do pracy. Wnętrznosci wieprzka przechodziły z rąk do rąk, a powietrze szybko wypełniło się odrażającym zapachem zwierzęcych flaków.

Ciccio podszedł do Giovanniego i podał mu następny kieliszek wina.

- Nie, dziękuję – zaprotestował Giovanni. – Dla mnie tyle wystarczy.
- Jak to „tyle wystarczy”? To po co w ogóle przyszedłeś?
- Żeby zjeść kawałek dobrej wieprzowiny.
- Bez wina?
- Już wypilem, Ciccio.
- Masz czas do wieczora!
- Dziękuję. Może później.
- Jak sobie życzysz.

Ciccio odszedł, a Giovanni skorzystał z okazji, by pokręcić się na tarasie. Stamtąd, stojąc koło dużej pergoli obrosniętej winoroślą, mógł spokojnie obserwować zebranych ludzi, z których każdy wnosił powiew wesołości. Wciąż nie widział nigdzie Livii Antonietty. Zapewne miała coś do roboty. Nie mogła przecież zamknąć zakładu krawieckiego w sobotę rano. W dniach poprzedzających biesiadę – z tego, co mu było wiadomo – zawsze było więcej pracy.

Rozpoznał wiele twarzy, które czas jednak odmienił, i zastanawiał się, jak bardzo on sam musi wydawać się inny w oczach swoich ziomek. Wciąż przyglądał się tym twarzom ze swej młodości i zobaczył, że przyszedł także mężczyzna,



który kilka dni wcześniej pomógł Marii na ulicy. Ubrany był w tę samą barchanową kurtkę, założoną na brązową kamizelkę i białą koszulę. Miał wyniosły wyraz twarzy, potwierdzony dumnym i aroganckim zachowaniem. Giovanni opuścił taras i podszedł do niego bliżej, nie wiedząc, czy zapytać go o przyrodną córkę, czy nie. Zatrzymał się na parę minut w jego pobliżu, wmieszawszy się w gromadę ludzi czekających na kolejną porcję mięsa, i starał się usłyszeć, czy coś powie. Jakaś dziewczyna pokazywała właśnie wyczyszczone świńskie uszy, z których postarała się usunąć nawet woskowinę. Na szczęście trochę się ociepliło za sprawą lekko przygrzewającego słońca, dlatego łatwiej było wszystkim pozostać na świeżym powietrzu.

Mimi, krępy mężczyzna o rumianej twarzy, wziął pod rękę ojczyma Marii i poprowadził go w stronę kotła pełnego wrzącej już wody. To on miał się zająć gotowaniem makaronu. Giovanni podążył za nimi i zaczekał, aż Mimi zaprosi go, by się do nich przyłączył.

– Giovanni! – zawołał. – Jadłeś już?

– Starczy mi nawet za kolację – odpowiedział.

– Pamiętasz Franca Forestieriego? – zapytał Mimi, wskazując na mężczyznę. Giovanni potrząsnął głową, patrząc mu w oczy i mierząc go wzrokiem.

Podali sobie ręce.

– A ja pana pamiętam – rzekł Forestieri. – Wyjechał pan wiele lat temu. Jest pan synem Concetty Cutrupi, świeć Panie nad jej duszą.

– Tak – odparł Giovanni, próbując odszukać w pamięci rysy tego człowieka.

– Jest pan lekarzem – przypomniał sobie Forestieri.

Giovanni przytaknął, uchylając się od dalszych wyjaśnień.

– Teraz utworzył pan gabinet tutaj?

– Nie, na razie nie pracuję.

– Jest pan na wakacjach?

– Tak, wziąłem sobie trochę wolnego, żeby odpocząć.

– Pan nie pochodzi z samego Cittanova?

Giovanni pomyślał przez chwilę o swoim ojcu, który wyjechał, kiedy on miał zaledwie sześć lat.

– Nie, mój ojciec pochodził z Bagnary. Moja matka była z Cittanova.

– I pan też szybko wyjechał z miasta.

– Pojechałem na studia – wyjaśnił. – Ja sobie pana zupełnie nie przypominam.

– A ja tak.

Badali się wzrokiem, niemal walcząc o teren, po czym Forestieri uniósł kieliszek.

– Na zdrowie! – powiedział.

– Na zdrowie! – odpowiedzieli echem Giovanni i Mimi, który cały czas im

się przysłuchiwał.

Jakiś chłopak zaintonował tarantelę, gwizdząc i wystukując rytm na garnku. Ciotka Immacolata położyła ręce na biodrach, zrobiła sobie miejsce w samym środku placu i zawołała do siebie jednego z mężczyzn, bezzębnego typka w berecie. Zaraz też utworzyła się gromadka ludzi, którzy klaskali w dłonie zgodnie z rytmem śpiewu. Od czasu do czasu młody człowiek przechodził między tancerzami, naśladując obu starszków i wzbudzając powszechną wesołość. Minęło jeszcze kilka minut i plac wypełnił się ludźmi.

– Enzo przyszedł! – zawołał ktoś, i wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na chłopca, który właśnie pojawił się w ogrodzie z gitarą w ręku.

– No to teraz się zabawimy! – krzyknął ktoś inny.

Forestieri ponownie podał rękę Giovanniemu i odszedł. Livii Antonietty wciąż nie było widać i Giovanni postanowił, że może lepiej będzie pójść ją poszukać w warsztacie, gdzie przez cały dzień uczy również sztuki szycia i haftu. Podeszedł do Ciccio i powiedział mu, że wróci później, po obiedzie.

– Masz coś do zrobienia? – zapytał Ciccio.

– Tak – odparł Giovanni. – Muszę coś załatwić.

– Tylko żebyś nie przepadł na dobre!

– Godzina i wrócę.

– Wróc przynajmniej na kawę.

– Bez dwóch zdań.

Wyszedł z ogrodu i skierował się w ulicę Roma. Livia Antonietta mieszkała w jednej z przecznic, które kończyły się tuż przy posiadłości księcia.

Zastał ją siedzącą za stołem roboczym, szyła właśnie spódnicę. Jej twarz rozświetlały promienie przebijające przez firankę z organzy. Przystanąwszy, obserwował ją, jej puszyste włosy, delikatną skórę, smutne oczy, jakby już na nikogo nie czekała.

Zastukał delikatnie w okno, a ona podniosła głowę, odkładając igłę i zdejmując napastrzek. Dała mu znak, żeby wszedł.

Giovanni uchylił drzwi i stanął w progu.

– Nie przeszkadzam? – zapytał.

– Nie, chodź.

Livia Antonietta wstała i podeszła do niego bliżej, wskazując mu wolny stół. Musnęli się dłońmi, jakby nie wiedzieli, w jaki sposób się przywitać. Giovanni usiadł, a ona zapytała, czy może mu coś zaproponować.

– Wypiłem już u Ciccio – odpowiedział. – Wypiłem i zjadłem.

– Nie mogłam przyjść.

– Czekałem na ciebie.

– Nie mogłam – powtórzyła. – Muszę skończyć pewną robótkę.

Giovanni rozejrzał się po pokoju.

– Nadal szyjesz ręcznie? – spytał.

– Tak – odpowiedziała. – Niezbyt mi wychodzi na maszynie.

– A szkoła szycia?

– Działa.

– Ile masz uczennic?

– Pięć.

– Będzie coś z nich?

– Tak – odparła. – Maria również zaczęła przychodzić, ale potem. – Nie dokończyła zdania, jakby dalszego ciągu łatwo się było można domyślić.

– Słyszałaś, co się stało parę dni temu? – zapytał Giovanni, sadowiąc się wygodniej na niskim stołku.

– Na placu?

– Tak.

– Powiedziała mi o tym jej mama.

– Poznałem też jej ojczyma.

– Maria go nie znosi – powiedziała Livia Antonietta.

– Na mnie też nie zrobił zbyt dobrego wrażenia.

– To świnia – uściśliła kobieta. – Prześpi się to z jedną, to z inną.

– I dlatego Maria go nie znosi?

– Między innymi.

- Chciałbym porozmawiać z Vincenziną.
- O Marii?
- Tak.
- Dziś jej o tym powiem. – Uśmiechnęła się życzliwie. – Myślisz, że będziesz mógł coś zrobić?
- Zobaczymy.
- Zrobić ci kawy?
- A ty się napijesz?
- Ja mogę pić kawę o każdej porze.
- Tak jak wtedy, kiedy byłaś jeszcze dziewczyną.
- Teraz nawet bardziej.

Poderwała się z miejsca, a jej piersi wyraźnie się zaznaczyły na sweterku z golfem. Była piękna i zniewalająca jak zapomniany smak.

– Zaraz wracam – rzekła.

Giovanni podążał za nią wzrokiem, kiedy krzątała się koło kuchenki. Słyszał, jak nastawia ekspres do kawy.

- Mama nadal ci pomaga? – zapytał.
- Nie, odpoczywa. Ma osiemdziesiąt dwa lata.
- Tyle miałyby moja matka, gdyby żyła.
- Tak, zdaje mi się, że one były z tego samego rocznika. Twoja mama była z sierpnia, a moja z kwietnia.
- A ty? Nic mi nie powiedziałaś o sobie.
- Ty też.
- Nie wyszłaś za męż.
- Nie.
- A ten, co to stale przychodził przed twój dom?
- Ożenił się i wyjechał za granicę.
- I nie znalazłaś nikogo innego.
- Kogóż to miałam znaleźć? – odparła. – A ty?
- Nie ożeniłem się.
- Dotrzymałaś słowa. Nie chciałaś nawet słyszeć o małżeństwie.
- Nie, ale przez lata byłem z jedną i tą samą kobietą.
- I jak się skończyło?
- Żle – odpowiedział żartobliwie Giovanni.

Pomyślał znów o Magdzie, o spędzonych z nią miesiącach i wydało mu się prawie nieprawdopodobne to, co mu się przydarzyło.

- Ile łyżeczek cukru? – zapytała Livia Antonietta. – Nadal jedną?
- Tak, dzięki.

Wróciła z dwiema filiżankami postawionymi na tacy. Giovanni wziął swoją kawę i wypił ją dwoma łykami. Livia Antonietta usiadła obok niego, przy firance

z organzy. Sine światło wpadało do pokoju, czyniąc go jakby mniejszym. Giovanni zauważył teraz wyraźne zmarszczki wokół jej oczu i odwrócił wzrok, zdał sobie sprawę, że był niedyskretny.

– Mogę cię o coś zapytać? – powiedziała kobieta, udając, że popija kawę.

– Oczywiście.

– Dlaczego wróciłeś?

– Bo jestem zmęczony – odpowiedział szczerze. – Albo może raczej chcę się zatrzymać.

– Dlaczego tutaj?

– Nie wiem – odparł. – Może po prostu nie znam tego, co kiedyś porzuciłem.

– Co takiego mogłeś porzucić? Przecież tu nic nie ma.

– A ty dlaczego nie wyjechałaś?

– Dokąd? Do Mediolanu do mojej kuzynki? Po co? Żeby pracować w fabryce albo siedzieć w domu przez cały dzień?

– Mogłaś zostać krawcową również w Mediolanie.

– To są moje miejsca – powiedziała Livia Antonietta, rzucając spojrzenie na ciasną uliczkę, w której mieszkała. – Tu jest mój dom, moja krew, moja ziemia.

Giovanni przytaknął.

– Właśnie dlatego wróciłem – powiedział.

Spojrzeli na siebie poufale, z taką samą zażyłością jak dawniej. Miał wielką ochotę wodzić dłonią po jej twarzy, już nie tak gładkiej i nie tak aksamitnej jak niegdyś, ale tylko uśmiechnął się do niej. Na blacie zobaczył papierowe wykroje, jakieś resztki jedwabiu i kretonu. Na stole zaś leżały ubrania do sfastrygowania, dziurki od guzików do obszycia, a także kartki pełne rysunków i notatek. Zdjęcie sióstr Fontana nadal wisiało w widocznym miejscu. Nic się nie zmieniło w tym pomieszczeniu.

– To jak się umawiamy? – zapytał Giovanni.

– Dam ci znać w sprawie Marii.

– W takim razie czekam na wiadomość od ciebie.

– W porządku.

Wstali, a on pocałował ją w policzek.

– Zawsze mnie tu rano zastaniesz, jeśli będziesz chciał przyjść na kawę.

– Chętnie – powiedział. – I pozdrów ode mnie swoją mamę.

– Dziękuję.

Odprowadziła go do drzwi. Podążył uliczką prowadzącą w dół i skierował się w stronę domu.

Hałas obudził go tak nagle, że aż zerwał się na równe nogi. Nasłuchiwał i ponownie usłyszał, że ktoś majstruje przy drzwiach domu. Od razu pomyślał o Marii, jednak zeskoczywszy z łóżka, zabrał ze sobą strzelbę, którą zawsze trzymał zawieszoną na ścianie za drzwiami.

Vincenzina obudziła się i zapytała, co się dzieje.

– Ktoś tam jest – odpowiedział Forestieri.

– Maria! – krzyknęła zaalarmowana Vincenzina i odsunęła kołdrę, żeby wstać. – Drzwi są zamknięte.

– Tak, tak, zamknięte.

Forestieri opuścił pokój, stanął na schodach i w majaczącym cieniu udało mu się rozpoznać wątłą postać Marii mocno pociągającą za klamkę u drzwi wejściowych.

– Mario! – zawołał mężczyzna, kładąc strzelbę na kufer. – Mario! Co robisz?

Zszedł nerwowym krokiem i zablokował przyrodnią córkę od tyłu, uniemożliwiając jej ruchy rękami. Wiedział, jak bardzo może być niebezpieczna, toteż pchnął ją do ściany, by ją przytrzymać. Maria nic nie powiedziała. Z jej ust dobywały się tylko jęki i lamenty, toteż Forestieri obrócił ją w swoją stronę. Zobaczył, że ma zamknięte oczy i przez chwilę ogarnęło go przerażenie, gdyż pomyślał, iż to coś nie jest z tego świata. Poczul odrazę i kiedy nadeszła Vincenzina, niemal przemocą przekazał jej dziewczynę.

Kobieta objęła Marię, starając się dodać jej otuchy. Zaprowadziła córkę do stołu w kuchni, aby ją tam posadzić, ale Maria, wybałuszając nagle oczy, wybuchła wrzaskiem i uwolniła się z objęć matki. Znieruchomiała na chwilę jak sparaliżowana, potem znów zaczęła krzyczeć, wydając pełen grozy głośny skowyt. Zasłoniła dłońmi twarz, jakby nie chciała czegoś widzieć, i pobiegła do wyjścia. Forestieri ponownie ją przytrzymał, ale ona zaczęła się szamotać i odrzucać głowę do tyłu, jakby chciała wywołać omdlenie.

– Pomóż mi! – krzyknął mężczyzna do żony. – Pomóż mi!

Vincenzina rzuciła się na córkę, starając się przytrzymać jej głowę, ale Marię chwyciły już niekontrolowane drgawki, które sprawiały, że bez przerwy wyginała plecy do tyłu. Udało się jej wydostać z uścisku domowników i upadła na ziemię, skręcając się jak żmija pod uderzeniami kija. Z jej ust ciekła ślina, powtarzała jakieś bezsensowne zdania, bluźniąc i przeklinając swoją rodzinę, drapiąc paznokciami marmurową posadzkę.

– Zawołaj lekarza! – krzyknęła Vincenzina do męża. – Zawołaj lekarza!

– A jaki ci przyjdzie o tej porze?! – zaoponował mąż.

– Zawołaj któregokolwiek! – wrzasnęła histerycznie żona, nie wiedząc już,

co robić.

Forestieri wszedł na górę, żeby zarzucić coś na siebie, po czym wybiegł z domu, by szukać pomocy. Kobieta została sama z córką, płacząc i rozpaczając, ponieważ nie wiedziała, co dalej robić. Przykucnęła na podłodze i przytuliła dziewczynę, ale Maria nie czuła już nic. Mówiła do siebie, smutno pochlipując. Głowa jej tylko lekko dygotała, zupełnie bezsilna. Od czasu do czasu otwierała oczy, zgrzytając zębami, plując, ale potem znów przymykała je, jakby szukając spokoju z dala od wszystkich. Diabeł mi ją odbiera – myślała matka. Nie mam już córki.

Ułożyła się koło niej, nie zważając na możliwe konsekwencje, i czekała na powrót męża.

Livia Antonietta czekała na niego przed drzwiami. Wydawała się zziębnięta i Giovanni szybkim krokiem podszedł, aby ją wprowadzić do domu.

– Co tu robisz tak wcześnie rano? – zapytał. – Czemu zawdzięczam twoją wizytę?

– Maria źle się poczuła – wyjaśniła. – Dziś w nocy.

– Co się stało?

– Miała kolejny atak. Całą noc byłam przy Vincenzinie.

– A co z Marią?

– Przyjechał lekarz i dał jej zastrzyk, aby zasnęła.

– Idziesz prosto stamtąd?

– Tak.

– Dziewczyna jeszcze śpi?

– Tak, myślę, że tak.

– A ojczym?

– Teraz jest w pracy.

Giovanni chciał otworzyć drzwi, ale Livia Antonietta poprosiła go, żeby poszedł od razu z nią do domu Vincenziny.

– W porządku, chodźmy.

Livia Antonietta prowadziła, idąc ze skrzyżowanymi rękami, aby było jej trochę cieplej.

– Zimno ci? – zapytał Giovanni.

– Nie, zresztą to dwa kroki stąd.

Zdjął ciężką kurtkę i zarzucił ją na ramiona kobiety.

– To tylko dwa kroki, Giovanni.

– No właśnie. Dwa kroki, więc mogę się bez niej obyć.

Livia Antonietta pozdrowiła jakąś znajomą, po czym szli dalej ze spuszczo-  
nymi głowami, przecinając zimny i uciążliwy wiatr. Domy były pozamykane,  
a niebo zasłonięte ciemnymi i gąbczastymi chmurami. Jakaś starsza pani wyszła  
zebrać pranie, które powiesiła, żeby przeszło. Zanosiło się na deszcz i istniało re-  
alne zagrożenie, że woda pociągnie z kasztanowego lasku wszelkiego rodzaju bru-  
dy, zalewając ulice i czyniąc je nieprzejezdnymi.

– Widziałas ją przed uspieniem? – zapytał Giovanni.

– Nie, kiedy przyszłam, już spała.

– Vincenzina powiedziała ci cokolwiek?

– Nie.

– Nic szczególnego?

– Nie, nic.



Wziął ją pod rękę.

– A ty co o tym sądzisz?

– O czym?

– O Marii. Czy według ciebie opętał ją diabeł?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Teraz już sama nie wiem. Wiem tylko, że to nieszczęśliwa dziewczyna.

– Wierzysz w diabła?

– A ty nie wierzysz? – odparła Livia Antonietta, odwracając się na chwilę w jego stronę.

– To zależy.

– Od czego?

– Zależy od tego, co rozumiemy przez „diabła”.

– Zło istnieje, prawda? I pokusy diabła też.

Doszli przed dom. Livia Antonietta cicho zapukała do drzwi i Vincenzina natychmiast podbiegła, by otworzyć. Zaprosiła ich do środka, a gdy podawała rękę Giovanniemu, speszona spuściła wzrok, nie wiedząc, jak się zachować.

– Że też musiał się pan tak kłopotać, doktorze – powiedziała półszepem.

– To żaden kłopot, proszę pani.

– Nie wiemy już, co robić.

Giovanni przytaknął, rozglądając się dokoła.

– Gdzie jest pani córka? – zapytał.

– Na górze.

– Śpi?

– Jeszcze parę minut temu spała.

– Możemy tam wejść?

– Proszę. – Po czym zwróciła się do Livii Antonietty: – Chodź też, Antonietto.

Vincenzina, przygarbiona od zmartwień, weszła po schodach i przystanęła przed pokojem zajmowanym przez Marię.

– Jest w środku – powiedziała, naciskając przełącznik światła.

Giovanni zaczekał, aż kobieta otworzy drzwi, po czym podszedł do progu. Zobaczył dziewczynę zwiniętą w kłębek. Od razu zauważył, że w pokoju nie ma okien i omal nie wpadł w złość.

– Przecież ta dziewczyna nie ma tu powietrza – mruknął.

– Nie wie pan, do czego ona jest zdolna. Tutaj nic nie ma, więc nie może sobie zrobić krzywdy.

– Jeśli będzie chciała i tak zrobi sobie krzywdę – powiedział Giovanni i instynktownie się poruszył. Wszedł do pokoju, ściągnął kołdrę z dziewczyny i wziął ją na ręce. Zwrócił się w stronę Vincenziny i powiedział, że muszą przenieść ją do jakiegoś bardziej przewiewnego pomieszczenia. Kobieta przystała na jego żądanie

i poczłapała do innego pokoju, odwracając się kilkakrotnie, aby wskazać drogę. W ramionach Giovanniego Maria wydawała się jak pozbawione życia, nieruchome zawiniątko, coś bezwolnego. Za wskazaniem Vincenziny położył ją na łóżku z baldachimem, otworzył zewnętrzne okiennice i wpuścił świeże powietrze do pokoju. Vincenzina wydawała się niespokojna, jakby w jej odczuciu nie była to najwłaściwsza decyzja, jaką należało podjąć, ale determinacja mężczyzny nie pozwoliła jej odezwać się ani słowem.

Giovanni wziął koc z krzesła, złożył go na pół i przykrył nim Marię. Odsunął jej włosy, głaszcząc czoło.

– Pozwólmy jej odpocząć – powiedział.

– Jeśli się obudzi, może nie będzie wiedziała, gdzie jest – zaproponowała Vincenzina.

– Może się tak zdarzyć – odpowiedział Giovanni. – Ale może być też zupełnie przeciwnie. W każdym razie my tutaj jesteśmy.

Vincenzina posłuchała go bez słowa.

– Musimy porozmawiać, proszę pani – dodał.

– Tak – odparła kobieta.

– Mogę zostać przy Marii – zaoferowała się Livia Antonietta.

Vincenzina zaniepokoiła się.

– Jak się przebudzi, zawołaj mnie natychmiast, zanim coś zmaluje.

– Zawołam cię od razu, nie martw się.

– Może coś panu podać?

– Nie, dziękuję – odparł Giovanni.

Livia Antonietta została z Marią, czując się uspokojona bliskością Giovanniego. Myślała o diable i szukała go w rysach dziewczyny. Jakże zło mogło się ukrywać za tą niewinną i delikatną twarzą?

– Co mam panu powiedzieć? – zagadnęła Vincenzina, kładąc ręce na brzuchu.

– Kiedy zaczęła się ta historia? – zapytał Giovanni. – Czy zdarzyło się coś szczególnego?

Siedzieli przed murowanym piecem kuchennym, między dzbanami wypełnionymi oliwkami w solance i naczyniami ze smalcem. W rogu, na sienniku wypchanym słomą z jęczmienia i liśćmi z kolb kukurydzy, stał oplatany gąsior z oliwą.

– Stało się to tak zwyczajnie – zaczęła opowiadanie Vincenzina – bez powodu, znienacka. Widziałam, że jest jakaś dziwna, nie je, ale kiedy pytałam, mówiła mi, że wszystko jest w porządku.

– A potem?

– Potem wybuchła – powiedziała kobieta, z trudem wydobywając słowa, jakby nie chciała sobie tego przypominać. – Krzyczała na wszystkich, przeciw wszystkim, przeciw świętym. Biła się po głowie, zmieniała się na twarzy, rzucała się na podłogę.

– Co pani wtedy robiła?

– A co miałam robić? – rzekła roztrzęsiona. – Nie wiedziałam, jak ją uspokoić, co robić. Mówiłam jej, żeby przestała, ale patrzyła na mnie krzywym okiem, jakby ktoś rzucił na nią urok.

Giovanni odczekał chwilę.

– Co pani o tym myślała? – zapytał.

– Kiedy?

– Czy myślała pani, że to diabeł?

– Wezwaliśmy księdza Edoarda, aby odpędził urok.

– A więc myślała pani o tym.

– Tak, trzeba było ją odczynić.

– I zrobiliście to?

– Tak.

– Zrobił to ksiądz Edoardo?

– Nie, kuma Immacolata.

– Ciotka Immacolata?

– Tak.

– Ona jest dobra w odczynianiu, prawda?

– Tak.

– A Maria wiedziała, że ciotka Immacolata zdejmuje z niej urok?

– Tak, myślę, że tak.

- Rozmawiała z wami?
- Tak.
- A jaki miała głos? Normalny?
- Prawie nie miała głosu, jakby się za bardzo tym wszystkim zmęczyła.
- Jakby walczyła z diabłem?
- A niech mnie Pan Bóg broni i niech mnie od tego zachowa! – wypowiedziała słowa modlitwy Vincenzina, uderzając się w piersi.
- Chciałem się dowiedzieć – kontynuował Giovanni – czy głos Marii był zmieniony.
- Nie, zmieniony nie.
- A kiedy miała atak, jakim głosem mówiła? Czy to był jej głos, czy wydawał się głosem kogoś innego?
- Była jak opętana – kobieta zebrała się na odwagę, by odpowiedzieć. Giovanni wyrównał oddech i pochylił się do przodu.
- Czy pani wierzy w diabła, Vincenzino?
- Oczywiście.
- A czy wierzy pani, że diabeł chce zagarnąć Marię dla siebie?
- Nie wiem.
- Ktoś pani to powiedział?
- Ktoś tak.
- A ksiądz Edoardo?
- Powiedział, że Maria jest chora.
- I ma rację – przyznał Giovanni. – Maria jest bardzo chora i jej zdrowie może teraz w bardzo dużym stopniu zależeć od pani postępowania.
- Przecież nic nie zrobiłam! – broniła się kobieta.
- O nic pani nie oskarżam, Vincenzino. Nie jestem tutaj po to, by kogokolwiek oskarżać. Chcę się tylko przekonać, jak sprawy wyglądają.
- Ale ja nie potrafię sobie wytłumaczyć, jak to się mogło stać – powiedziała kobieta, zalewając się łzami. – Czuła się tak dobrze, zaczęła chodzić do Antonietty, a potem nagle, ni stąd, ni zowąd, pojawiły się te ataki.
- Giovanni ujął dłonie kobiety i powiedział:
  - Jest pani pewna, że Marii nic się nie przydarzyło?
  - A co miałyby się jej przydarzyć?
  - Spotykała się z kimś? – zapytał bez ogródek.
  - To znaczy z kim?
  - Czy miała narzeczonego?
  - Przecież to jeszcze dziecko.
  - Ile lat ma Maria?
  - Siedemnaście.
  - Jest piękną dziewczyną.

- Tak.
- Zawsze była zdrowa.
- Tak, dzięki Bogu.
- Czy pani nigdy nie widziała jej z jakimś chłopakiem? Czy nigdy się z kim nie spotykała?
- Nie – odpowiedziała Vincenzina. – Gdzieżby miała chodzić?
- Nie ma przyjaciółek?
- Nie...
- W takim razie, przypuszczam, chodziła na spacerzy do parku. Tak robią wszyscy, prawda?
- Do parku miejskiego?
- Tak.
- Tak, chodziła.
- I nigdy nie mówiła pani o żadnym chłopaku?
- Może o jakimś wspomniała. Ale to tylko, wie pan, takie tam zwykłe umizgi...
- Giovanni przytaknął.
- A pani mąż? Maria dogaduje się z nim? To jej ojczym, prawda?
- Tak, dogadują się – odpowiedziała niepewnie.
- Czy on pozwala jej wychodzić?
- Tak, ale nigdy nie wolno jej wracać późno. Zanim się ściemni, już ma być w domu.
- Giovanni przejechał dłonią po suchej od zimna i wiatru twarzy.
- Maria przestała chodzić do szkoły? – zapytał.
- Tak.
- Zdała egzamin na koniec gimnazjum?
- Nie.
- Dlaczego?
- Przez rok była chora, a potem już nie chodziła.
- Dlaczego nie?
- Nie chciała dłużej chodzić.
- Na co chorowała?
- Zaburzenia nerwowe.
- W takim razie nie po raz pierwszy jej się to zdarza. Tego mi pani nie powiedziała.
- Ale teraz to co innego.
- Dlaczego? Co pani zauważyła?
- Dziś w nocy zobaczyliśmy ją w drzwiach, chciała wyjść. – Zmieszana, zmieniła się na twarzy. – Kiedy podeszliśmy, miała zamknięte oczy, jak opętana.
- Giovanni zaciekawiał się.

- Czy zdarzało się to już wcześniej? – zapytał.
  - Tak, kilka razy.
  - I zawsze próbuje wyjść z domu?
  - Tak.
  - A wy zawsze powstrzymujecie ją na czas?
  - Raz znaleźliśmy ją dopiero przed bramą domu księcia.
  - Co tam robiła?
  - Szarpała bramę, bo chciała wejść.
  - Czy pamięta potem, co robiła?
  - Nie. Kiedy się budzi, nic nie mówi, niekiedy nawet całymi dniami, albo zachowuje się jak wariatka, gdy tylko się jej coś powie.
  - A dziś w nocy? Obudziliście ją?
  - Mój mąż próbował ją powstrzymać, ale nie było na nią siły. Giovanni westchnął.
  - Kocha pani swoją córkę, Vincenzino? – zapytał.
  - Oczywiście. – Skrzywiła się na twarzy, dusząc łzy. – Jaka mama nie kocha swej córki?
  - Wcale pani nie ganię.
  - Zadaje mi pan te wszystkie pytania...
  - Muszę je zadać, jeśli pani chce, abyśmy pomogli Marii.
  - Vincenzino! – usłyszeli.
- Livia Antonietta wołała ją ze schodów. Kobieta stanęła w progu kuchni.
- Co się stało? – zapytała z niepokojem.
  - Budzi się.
  - Już idę.
- Odwróciła się do Giovanniego, który zdążył w tym czasie wstać.
- Budzi się – poinformowała.
  - Słyszałem.
  - Pójdzie pan ze mną?
  - Jasne – odparł Giovanni i podążył za kobietą, która już ruszyła w stronę schodów.

Kiedy Maria otworzyła ponownie oczy, odniosła wrażenie, jakby nikogo koło niej nie było. Miała zgaszone spojrzenie, wzrok skierowany gdzie indziej, jej twarz przybrała jakiś srogi i niepokojący wyraz. Co pewien czas poruszała wargami, jakby szeptała jakieś słowo, zdanie, ale potem znowu milczała, z wysiłkiem łapiąc powietrze.

– Powiedz coś – powtarzała matka. – Co ty narobiłaś? Co ty narobiłaś? Dlaczego się na mnie obraziłaś?

– Ona się na panią nie obraziła, Vincenzino – wtrącił się Giovanni, odsuwając kobietę od łóżka córki. – Lepiej, jeśli pozwolimy jej dalej odpoczywać.

– A jak znowu dostanie ataku? Jeżeli coś wymyśli i zrobi sobie krzywdę? – spytała zdesperowana.

– Na razie się tym nie martwmy.

– Jak to?

– Pozwólmy jej odpocząć – nalegał Giovanni. Wymownym gestem wskazał Livii Antonietcie, aby zaopiekowała się kobietą, a sam zrobił krok w stronę Marii. Teraz został z nią sam w sypialni. Okiennice były otwarte i z zewnątrz wpadało do środka ponure i mętne światło. Dziewczyna oddychała teraz regularnie. Za wezgłowiem łóżka obraz przedstawiający Serce Jezusa swoją czerwoną i żółtą barwą dawał pokojowi jeszcze więcej światła. Obok na ścianie wisiał krzyż wyrzeźbiony w surowym drewnie. Na komodzie, z lewej strony łóżka, stała lampka bez abażuru i obrazek świętej Rity z Cascii. Na krześle leżały rozrzucone jakieś magazyny mody.

Giovanni dotknął czoła Marii, poczuł, że jest ciepłe i gładkie, poprawił jej koc i odsunął włosy, które opadły jej na twarz, tak jak to zrobił już wcześniej.

– Teraz lepiej, prawda? – powiedział ze spokojem.

Jedwabista skóra dziewczyny w świetle dnia stała się jeszcze bardziej delikatna. Maria ponownie zamknęła oczy. Giovanni wpatrywał się w nią przez kilka minut, myśląc, że ona w jakiś sposób udaje, ale większe odprężenie na jej twarzy i lekkie drgnienia mięśni przekonały go, iż zasnęła. Wyszedł z pokoju, starając się nie robić hałasu. Za drzwiami zastał czekającą na niego Livię Antonietkę.

Alejka była opustoszała. Niedawno padało, ale o tak wczesnej porze w samym środku zimy rzadko można było spotkać kogoś, kto by spacerował lub siedział na jednej z ławek i czytał gazetę. Mimo to po północnej stronie parku, podzielonego dwiema żwirowymi alejkami na cztery pokryte trawą części, grupka osób podążała w ich stronę, kierując się prawdopodobnie do kościoła Świętego Rocha albo na rynek.

Giovanni i Livia Antonietta doszli do niewielkiej fontanny, która wyznaczała koniec alejki, i przystanęli. On musnął jej ramię, jakby chciał ją zatrzymać, i zapytał, czy napije się kawy.

– Czemu nie? – odpowiedziała z uśmiechem. – Chodźmy do Pozzo.

– Dobrze.

Wystarczyło tak niewiele, by ją rozpogodzić – pomyślał Giovanni i zaczął się przypatrywać wierzchołkom czerwonych dębów, licznie rosnących po obu stronach alejki, a także bukszpanowemu żywopłotowi, który zaciemniał i niemal chronił ogród botaniczny, rozciągający się za obszernym metalowym ogrodzeniem. Ileż razy przechadzał się tam z nią, spacerując między sadzawkami pełnymi ryb i łabędzi, alejkami zakochanych albo ścieżkami, które nagle się rozdzielały, by tworzyć zaciszne miejsca ze specjalnie przygotowanymi ławeczkami, aby pary mogły znaleźć tam ustronne schronienie.

– Pamiętasz, jak chodziliśmy pieszo aż do budki dróżnika, do Mangiafico? – zapytała.

– Pewnie, że pamiętam. I pamiętam też, że nie chciałaś zdjąć butów, choć bolały cię nogi.

– Nie wypadło.

– Oczywiście – rzekł Giovanni, uśmiechając się. – Co by sobie ludzie pomyśleli?

– To nie o to chodziło – zachnęła się. – Problemem było także to, że byłam z tobą. Rozumiesz?

– Przecież nigdy nie byliśmy sami.

– Czasami tak.

– Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek poszli sami do Mangiafico.

– A ja to pamiętam doskonale.

Giovanni potrząsnął głową.

– Jeśli tak jest, to jest to niepokojące – powiedział. – Zaczynam zapominać o wielu rzeczach.

– Być może dla ciebie nie miało to większego znaczenia.

– Być może.



– Co innego miałeś w głowie.  
– W tamtych latach, owszem – przyznał.  
– Nie mogłeś się doczekać, żeby stąd wyjechać.  
– Wyjechałem, bo musiałem studiować.  
– Nagle, z dnia na dzień, niemal bez pożegnania.  
– Nie myśl o tym – powściągnął ją, biorąc ją pod rękę. – Mogę? – spytał. –  
Czy ludzie sobie źle pomyślą?

– Tylko do baru – zgodziła się.

Szli wolno, zanurzeni w porannej mgłę, która schodziła z gór. Ogołoczone z liści drzewa wytyczały im drogę, aż w końcu dotarli do budki. Za nią zaczynało się urwisko, którego widok, podobnie jak widok wyschniętej rzeki wijącej się na jego dnie, był przesłonięty gęstą ścianą niskich dębów i jałowców.

Giovanni zamówił dwie kawy u starszego mężczyzny, który prowadził budkę. Światło dnia ześlizgiwało się po zaczerwienionych policzkach Livii Antonietty niczym delikatne i szybko przesuwające się po niebie chmurki.

– Nic konkretnego nie powiedziałeś mi jeszcze o Marii – zaczęła Livia Antonietta.

– Niewiele można powiedzieć – odpowiedział Giovanni. – Z pewnością jednak nie jest opętana.

– Skąd to wiesz?

– Coś ją głęboko dręczy, Livio – wyjaśnił jej. – Rozszarpuje ją jak coś, co chce się wydostać. Zżera ją od środka.

– Co masz na myśli?

– Jeszcze nie wiem. Tak myślę, ale to nie ma nic wspólnego z demonem.

Livia Antonietta odczekała chwilę.

– Czy to może mieć jakiś związek z ojczymem? – zapytała.

– Owszem. Wszystko jest możliwe.

– I co teraz możesz z tym zrobić?

– Tymczasem muszę spróbować porozmawiać z Marią.

– Trudno się spodziewać, że pozwoli komukolwiek zbliżyć się do siebie.

– Wyobrażam sobie, ale wszystko od tego się zaczyna. – Potem, idąc za inną myślą, dodał: – Czy Vincenzina zawsze się tobie zwierzała?

– Tak, zawsze.

– Czy powiedziała ci, kiedy jej się to pierwszy raz zdarzyło? Mówię o atakach.

– Tak – odrzekła. – Była przestraszona, ale z tego, co zrozumiałam, cała historia zaczęła się jeszcze wcześniej.

– Już przedtem dawała jakieś oznaki braku zrównoważenia?

– Tak.

– Miałaś okazję ją zobaczyć?

– Tak, niestety tak – odpowiedziała, jakby nie mogła się odpędzić od wspomnienia tego, co się wydarzyło.

– Musisz mi to dokładnie opowiedzieć. Byłaś przy tym, jak zaczęła się źle czuć?

– Nie, dopiero mnie zawołali.

Podano kawę. Livia Antonietta wypła gorzką, natomiast Giovanni osłodził ją niecałą łyżeczką cukru.

– Może zamówić coś jeszcze? – zapytał.

– Nie, dziękuję.

Giovanni zapłacił i podeszli bliżej balustrady, nieopodal sadzawki połyskującej niczym pomnik. Po prawej stronie, za lekko odsuniętą zasłonką jakiś malarz pracował nad płótnem.

– Jutro rano znów zajdę do Marii – oznajmił Giovanni.

– Tak się umówiliście?

– Tak. Czy też możesz przyjść?

– Dobrze.

– Będę musiał to robić często. I nie chcę być sam w domu z Vincenziną. Ludzie mieliby do gadania.

– Czemu nie pójdziesz tam, kiedy będzie Franco Forestieri?

– Słusznie – odparł. – Tak właśnie zrobię, ale najpierw muszę z nim porozmawiać. Tymczasem jednak, jeśli możesz, również postaraj się tam być.

– Nie martw się.

– To może przede wszystkim uspokoić Vincenzinę.

– Poradzę sobie, bądź spokojny.

Zaczęły padać pierwsze krople deszczu.

– Nic dobrego ten wiatr nie przyniesie – zawyrokował starszy mężczyzna z budki.

– Trzeba wracać – powiedział Giovanni. – Zanim przemokniemy do suchej nitki.

Pośpiesznie wrócili do domu.

Teresa Accardo ogarnęła się, poprawiła czarną spódnicę i oparła ręce na ramionach Forestieriego, który siedział na skraju łóżka i palił papierosa.

– Zostawisz mi coś? – zapytała poufale kobieta.

– Ile potrzebujesz?

– Dwadzieścia tysięcy lirów.

Forestieri wstał z łóżka, podszedł do okna, które wychodziło na plac przed głównym kościołem w miasteczku, i zauważył, że zrobiło się już ciemno. Lampy były zapalone, w ich żółtawym świetle poruszali się jacyś ludzie, których niemalże nie można było rozpoznać, powyżej zaś unosiła się lekka mgiełka. Forestieri wziął portfel, który zostawił na stoliku koło okna, wyciągnął dwadzieścia tysięcy lirów i położył je na łóżku.

– Starczy ci dwadzieścia? – zapytał.

– Tak.

– Jak będziesz potrzebować, przyjdź na budowę. Pokaż się, to będę wiedział, że czegoś chcesz.

– Zrobię tak, żeby mi starczyło. Mam jeszcze trochę wydatków w domu.

Forestieri uśmiechnął się, przymykając oczy.

– Musisz głodować? – powiedział.

– Nie głoduję, nie martw się.

Mężczyzna spojrział na nią, podziwiając jej piękno. Była smukła i gibka, miała nieduże, sprężyste piersi. Nosiła tlenioną fryzurę koloru blond, utrwaloną niewielką ilością lakieru. Chciała wyglądać pięknie i budzić pożądanie, ale żaden makijaż nie wystarczał już, aby zakryć sieć zmarszczek wrytych na jej czole i wokół ust. Właśnie dlatego lubiła półmrok lub ciemność wieczoru. Przyjmowała Forestieriego zawsze o tej porze, w lichym świetle kupionej w Wenecji ażurowej lampki, wykonanej z drobnej mozaiki szklanej. Kiedy przed pięcioma laty straciła męża, zaczęła ściągać na siebie spojrzenia i żądze wielu mężczyzn, którzy oferowali jej całkiem niezłe utrzymanie, ale oddała się tylko Forestieriemu po jego wielokrotnych naleganiach – i to tylko potajemnie. Nikt nie mógł wiedzieć o ich romansie. To jej odpowiadało: bycie utrzymanką miało swoje plusy, a z czasem pozwoliło jej nawet odłożyć trochę pieniędzy w nadziei, że któregoś dnia uda się jej wyjechać i zacząć życie na nowo.

– Jak się miewa córka Vincenziny? – zapytała.

– Jest wyczerpana – odpowiedział Forestieri.

– Dlaczego jej nie zawieziecie do szpitala?

– To sprawa jej matki – uciął krótko mężczyzna, gasząc papierosa w marmurowej popielniczce.

– Przecież musisz być z nią – nalegała Teresa.  
– Widuję ją tylko wieczorami, jeśli nie śpi.  
– Co mówią lekarze?  
– Lekarze są niepotrzebni – wyjaśnił Forestieri. – Przydałby się jej jakiś dom opieki. Powinni ją zamknąć, to wariatka, rozumiesz? Pomyłona i tyle. Całkowicie jej odbiło na punkcie kościoła, Matki Bożej, świętych.

– Nie bluźnij!

– A kto tu bluźni?

– To przecież twoja córka, Franco.

– To nie jest moja córka – odpalił mężczyzna. – Gdyby była moją córką, to już bym jej powiedział, jak się ma zachowywać. Jest rozkapryszona. Jej matka ją rozpieszcza, wszystko jej odpuszcza. Nigdy nie chce nic robić. Nie pierze, nie gotuje, nie prasuje. Zwykły darmozjad!

– Nie myślisz, że jest chora? – zauważyła kobieta ze współczuciem.

– Już prawie rok, jak jest chora.

– Nie można dojść do tego, jak to się stało?

– A jak się miało stać? – odparł Forestieri. – To wariatka, Tereso. Na wpół dzika. Jak do niej podejdziesz, to cię całą podrapie. Twarz ci poharata, do żywej kości.

– Dlaczego nie spróbujesz się z nią jakoś porozumieć?

Forestieri uniósł brwi, nagle poczuł się zmęczony, ciężko i głęboko westchnął.

– Nie widziałaś jej, Tereso. Można powiedzieć, że teraz mieszkam z diabłem pod jednym dachem. – Wyrzwał znów przez okno, kierując wzrok na spiżową figurę Matki Bożej z Dzieciątkiem, stojącą z lewej strony kościoła. – Ja nie mam córek. Maria nie jest moją córką. To jest tylko zatracona dusza.

– W takim razie, co tam jeszcze robisz?

– A gdzie mam pójść?

– Nigdzie – odrzekła urażona kobieta.

– A ty co? Myślisz, że przyjdę tu do ciebie?

– Jasne, przecież wiesz, że nie mam pracy ani utrzymania.

– Dobrze nam tak jak jest, Tereso.

– Może ci coś poszukać?

– Niczego mi nie szukaj.

Umilkli. Teresa wzięła pieniądze z łóżka i położyła je na komodzie. Forestieri zarzucił sobie płaszcz na plecy i podszedł do drzwi.

– Całe szczęście, że niewiele cię kosztuję – powiedziała Teresa. – Gdyby nie to, to ciekawe, jak byś sobie poradził? Gdzie znalazłbyś pieniądze na moje utrzymanie?

– Takich jak ty znajdę dziesięć innych, one zadowolą się mniejszą sumą.

– Wdów jak ja?

– Tak, wdów jak ty.

– Jak Vincenzina.

– Bo co, przykro ci?

– Mnie nie – odpowiedziała Teresa, opierając się plecami o ścianę. – Tobie przykro, że musisz mieszkać ze starszą od siebie. Ale – dodała pogardliwie – ona ma majątek. Z nią jest ci dobrze, prawda? Możesz zaspokoić wszelkie chucie, jakie tylko chcesz.

– Za swoje grzechy płacę sam, z mojej pracy – odpalił Forestieri. – Nie potrzebuję pieniędzy żony.

Teresa stanęła przed nim i patrząc mu prosto w oczy, rzuciła:

– Mówisz prawdę?

Forestieri wytrzymał jej spojrzenie.

– Co chcesz wiedzieć? – wydusił z trudem.

– Masz tylko mnie, czy jest jeszcze jakaś inna? Ile ich masz, Franco? – Stała odważnie przed nim, po chwili podeszła bliżej. – Ile masz takich, które czekają, żeby przed tobą rozłożyć nogi?

Forestieri już miał ją uderzyć, ale w porę się powstrzymał. Spojrzał na nią nienawistnie i splunął na łóżko, które jeszcze kilka minut wcześniej było ich miłą alkową. Wsunął paczkę papierosów do kieszeni spodni i opuścił pokój. Teresa nie poszła za nim. Usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych i odgłosy kroków szybko zbiegającego po schodach mężczyzny. Potem jeszcze pojękiwanie otwierającej się i zamykającej bramy. Wyrzała przez okno. Zobaczyła, że Forestieri skierował się w stronę kościoła. Zamknęła okno. Wylała kilka łez złości, zwijając brudne prześcieradła, i położyła się na materacu, wciskając głowę w poduszkę. Potem wstała, wzięła dwadzieścia tysięcy lirów, otworzyła szufladę komody, wyjęła starą paczkę po herbatnikach i wsunęła do niej pieniądze. Zebrała już ponad trzysta tysięcy. Następnego dnia miała zanieść je do banku.

Odetchnęła zimnym i wilgotnym powietrzem nocy, uniosła głowę, by spojrzeć na jasne i rozświetlone niebo. Widziała gwiazdy ułożone jak kiście winogron i pomyślała sobie, że w tym świecie musi tkwić jakaś tajemnica. Głębia kosmosu pulsowała, a ona czuła się przez nią przyciągana, jakby czekała ją podróż, o której jeszcze nic nie wiedziała. Odnajdywała siebie w tym, co widziała, w całym tym migotaniu, i zapragnęła zobaczyć księżyc, który jednak znajdował się po drugiej stronie, poza zasięgiem jej wzroku. Chyba mogłaby teraz wyjść z domu. Czuła się dobrze. Żaden głos nie był w stanie zburzyć jej nastroju, a szepty zmarłych umilkły – wcześniej męczyły ją całymi dniami. Czy to naprawdę zmarli do niej mówili? Pomyślała o tym i przez chwilę się bała. Teraz chciała tylko, żeby ją zostawiono w spokoju. Oparła się łokciami o parapet i wpatrywała w tętniącą czerń nieba. Jakiś nieśmiały poblask wyłaniał się od strony góry, ale z miejsca, gdzie się znajdowała, mogła ledwie dostrzec konary najwyższych kasztanów, które niczym mroczne sylwetki kołysały się pod wpływem łagodnego powiewu wiatru. Raz jeszcze głęboko odetchnęła i ogarnęło ją wzruszenie, łapiąc ją za gardło i zaciskając lekko wargi, jakby chciało ją skłonić do płaczu. Nie rozumiała, co się z nią dzieje, nie znajdowała słów, by to wytłumaczyć. Przypomniała sobie mężczyznę, który zabrał ją z łóżka i przeniósł do jej pokoju. Przebiegł ją jakiś nieznamy dreszcz. Minęło dużo czasu od tamtej pory, może wiele dni. Czas upłynął, ale wciąż czuła ramiona mężczyzny, słyszała jego głos. Zabrał ją z tamtego pokoju, uwolnił ją. Próbowwała odtworzyć sobie jego wygląd, nadać kształt jego dłoniom, przypisać mu jakiś wzrost, uśmiech, wyraz twarzy, oczy raz bardziej przenikliwe, raz znów bardziej błyszczące, ale nic o nim nie wiedziała. Czy znowu ją odwiedzi? Spojrzała ponownie na gwiazdy, niemal chcąc je spytać, co to może być, co może jeszcze się zdarzyć, i zamknęła okno. Teraz powietrze w pokoju było świeższe, całe pomieszczenie inne, nowsze. Przez chwilę Maria myślała, że wszystko może się zmienić, ale potem w jej oczach znów pojawiła się jakaś przesłona. Poczowała niepohamowane podniecenie, by dotknąć się, podnieść spódnicę i szukać na własnej skórze źródła tej rozkoszy, która wypływała ze środka. Jej dłonie przesuwaly się po ciele, jakby nie były już jej dłońmi. Przez dłuższą chwilę pomagała sobie jękiem, próbując niemal zatrzymać ten moment, tak jakby nagła żądza panowała nad nią dokładnie w tym krótkim ułamku czasu. Jeszcze sekunda i zniknie. Jednak to grzech. Nie powinna tego robić. Nie wolno jej. Nic jej nie wolno. Ma myśleć tylko o swoich obowiązkach. Przyjemność jest w tym, co widzi, i jedynie oczy mogą w tym uczestniczyć. Była już w wieku odpowiednim do małżeństwa, ale tylko przelotnie myślała o możliwości posiadania kiedyś dziecka. Wydawało się jej nie do pomyślenia, by jakiś mężczyzna mógł się do niej zbliżyć, by ją posiąść, toteż odpędzała wszelką tego rodzaju myśl, uważając ją

za bluźnierczą, bezbożną, niegodną. Seks nie był częścią jej życia. Ona mogła tylko być czcicielką Matki Bożej, świętych, Pana Jezusa. Modlitwa była jedyną pociechą, ale także jedyną siłą, do jakiej miała prawo.

Modliła się, by nie zemdleć. Uklękła, złożyła ręce i poprosiła o wsparcie świętą Ritę. Nie chciała już czuć zła.

Kiedy Giovanni wszedł do kościoła, było już po mszy. Jakaś starsza pani, nabożna i troskliwa, wciąż krzątała się przy głównym ołtarzu z szarego marmuru, usiłując zapalić zgaszone świece albo raz jeszcze pozdrowić świętego Rocha, wpatrując się w obrazek ukazujący silnego mężczyznę cierpiącego z powodu obrzęku na jednym udzie wywołanego dżumą.

Giovanni przeszedł jedyną nawą kościoła, trzymając się prawej strony, i skierował się do zakrystii. Po drodze mógł przyjrzeć się malowidłom na suficie, przedstawiającym świętych Paschalisa i Rocha wśród zadzumionych i aniołów, a także organom piszczałkowym, których imponującej wielkości nie pamiętał. Mięło już przecież ponad czterdzieści lat od czasu, gdy jako chudy i kościsty ministrant usługiwał do mszy, podkradając na boku parę groszy, by kupić sobie jakąś książkę podróżniczą, którą zobaczył w kiosku z gazetami. Uśmiechnął się na to wspomnienie i minął ołtarz, zatrzymując się przed drzwiami do zakrystii. Ksiądz Edoardo zdążył się przebrać. Był sam i prawdopodobnie czuł już przedsmak spaceru z brewiarzem po dziedzińcu zajmującym sporą część za kościołem.

– Księżę Edoardzie... – zawołał Giovanni.

– Tak – odpowiedział ksiądz, zwracając się w jego stronę. – Proszę wejść, proszę.

– Dzień dobry – pozdrowił go Giovanni, podchodząc bliżej. – My się nie znamy...

– Pan mnie nie zna, ale ja pana znam. Fama o panu już do mnie dotarła – przerwał mu ksiądz z uśmiechem.

– Mam nadzieję, że dobra fama.

– Ani dobra, ani zła, jeśli chce pan znać prawdę.

– Wychowałem się w tej dzielnicy.

– To też już wiem. – Ksiądz Edoardo przytaknął, dając wyraz temu, że wie o jeszcze wielu innych rzeczach. – I mogę sobie wyobrazić powód pańskiej wizyty – dodał.

– Chodzi o Marię Forestieri.

– Tak, oczywiście – powiedział, spoglądając z pewnego rodzaju współczuciem. Był to mężczyzna wysoki, o dumnej i pewnej siebie pozie, pedantyczny w zachowaniach, choć w jego oczach rysowała się pewna surowość i ostrość, odczytana jednak przez Giovanniego jako skłonność do wnikliwości i obserwacji. – O czym chce pan ze mną porozmawiać?

– Chciałem zamienić z księdzem parę słów, dowiedzieć się, jakie zdanie sobie ksiądz w tej kwestii wyrobił.

– Czy ma pan czas? – zapytał kapłan, kładąc na ławce książkę, którą trzymał



w ręku.

- Właśnie po to tu przyszedłem.
- Przysłała pana Vincenzina? Od tygodnia już się nie pokazuje.
- Nie, przyszedłem z własnej woli.
- Takie skrzywienie zawodowe?
- Jeśli ksiądz chce, możemy tak to nazwać.

Ksiądz Edoardo uśmiechnął się.

– Zwał jak chciał – powiedział, rozkładając ręce. – Istota rzeczy się nie zmienia.

– Bardzo zależy mi na tym, by zrozumieć, co się dzieje z tą dziewczyną i czy jest coś, co mógłbym dla niej zrobić.

– Zanim ją gdzieś zawiozą i zamkną. – Zasuwał drzwi i wskazał Giovanniemu wolne krzesło. – Co chciałby pan wiedzieć?

Giovanni usiadł na krześle.

– Miał ksiądz okazję rozmawiać z Marią? – zapytał.

– Tak, wiele razy. – On także usiadł, prawie na wprost swego gościa. – I z góry panu powiem, że diabeł nie ma z tym nic wspólnego. Raz na jakiś czas nie ruszajmy go z miejsca!

– Jej matka nadal uważa, że chodzi o działanie złego ducha.

– W naszych stronach bardzo łatwo tak pomyśleć.

– Nie wydaje mi się, by ksiądz pochodził z Kalabрії – stwierdził Giovanni intuicyjnie.

– Nie, jestem z Brindisi. Ale nawykłem już do tych miejsc. Cittanova stała się teraz moim domem.

– Jak długo ksiądz jest tutaj?

– Już ponad dwadzieścia pięć lat. A mam sześćdziesiątkę na karku. – Odchrząknął i dodał: – Rozmawialiśmy o złu. Nie do mnie należy stwierdzenie, czy istnieje, czy też nie. Na niewiele by się to zdało. Co się tyczy Marii, to moje zdanie jest takie, że musiało się zdarzyć coś poważnego, o czym niestety nie umiem panu powiedzieć.

– O niczym księdzu nigdy nie powiedziała?

– Nie – odparł. – Ani ona, ani jej matka.

– A czy był ksiądz kiedyś świadkiem napadu Marii?

– Niejednego – poprawił. – I Bóg mi świadkiem, że wydawała mi się prawdziwie opętana, wyrwana z objęć naszego Pana.

– Co robiła?

– Objawy mogły wręcz nie budzić żadnych wątpliwości. Gdy tylko mnie zobaczyła, natychmiast się ożywiła. Wymyślała na mnie i na krzyż. Zmieniał się jej głos, znęcała się nad sobą, gdy tylko zaczynałem odmawiać modlitwę o uwolnienie.

– A więc początkowo myślał ksiądz, że to diabeł.  
– Przed wszystkim myślałem, że dobra modlitwa będzie w stanie sprawić, by wróciła do siebie.

– Modlitwy o uwolnienie mają na celu wypędzenie złego ducha.

– Tak, ale nie taka była moja intencja.

Giovanni sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się przez chwilę nad tymi ostatnimi słowami.

– Jest ksiądz pewny, że nie chodzi o przypadek diabelskiego opętania? – zapytał.

– Nie mam odpowiednich kompetencji, by o tym mówić – odpowiedział kapłan. – Według mnie Maria jest tylko cierpiącą dziewczyną. I nie ma nic, czego właściwe słowa nie byłyby w stanie wyleczyć, zwłaszcza gdy jest mowa o uczuciach, osobistych przeżyciach. Nie wiem, czy jasno się wyrażam.

Giovanni przytaknął.

– Wyraził się ksiądz bardzo jasno – powiedział. – Znow się zamyślił. – Nie pamięta ksiądz niczego szczególnego, księżo Edoardzie?

– Tak – odparł tamten. – Tym, co mnie najbardziej uderzyło i czego nie mogłem nie zauważyć, była pewnego dnia reakcja Marii, kiedy wszedł do pokoju jej ojciec.

– Ma ksiądz na myśli ojczyma.

– Tak, oczywiście.

– Maria przebywała w pokoju bez okien?

– Tak.

– I co się wtedy stało?

– Absolutnie nie chciała go widzieć. On próbował nalegać, a ona chwyciła do ręki krzyż i biła się nim, drapała.

– A więc pomyślał ksiądz, że ojczym jest w jakiś sposób odpowiedzialny za jej stan.

– Może tak być.

– Czy przyszło księdzu do głowy, że może chodzić o przypadek kazirodztwa, choć nie można mówić o kazirodztwie we właściwym sensie?

– Tak, przyszła mi na myśl taka możliwość, zważywszy na wątpliwą moralność tego człowieka.

– Co ksiądz o nim wie?

– Mogę panu tylko powiedzieć, że zupełnie nie szanuje swojej rodziny i że jest niegodny nazywać się „ojcem”.

Giovanni odczekał chwilę.

– A matka? – zapytał.

– Vincenzina jest kobietą pełną bojaźni Bożej.

– Często się księdzu zwierzała?

– Tak. – Jakiś błysk przemknął w jego obojętnych oczach, jakby nie mógł się zdecydować, czy mówić dalej, czy nie. – Stale ma ogromną potrzebę spowiadania się. Myśli, że nieustannie żyje w grzechu – dodał wreszcie.

– A Maria? Czy może być uzależniona od matki, choćby nawet mimowolnie?

– Chyba tak. Albo może tak właśnie jest.

– Czy Maria często chodzi do kościoła?

– Jeszcze do niedawna przychodziła codziennie.

– Czy kiedykolwiek zdradzała zamiar wstąpienia do zakonu?

– Nie, nigdy. A przynajmniej nigdy ze mną o tym nie rozmawiała.

– Livia Antonietta powiedziała mi, że jest naprawdę obiecującą krawcową.

Ksiądz Edoardo zrozumiał, do czego zmierza Giovanni.

– Ale nie to chce w życiu robić – powiedział.

– Czy kiedykolwiek mówiła księdzu, co chciałaby w życiu robić?

– Być misjonarką – odpowiedział z życzliwym uśmiechem. – Albo raczej świętą! Uczy się na świętą, powiedziałaby ktoś, kogo znam.

– W znaczeniu, że chętnie poświęciłaby się bliźnim.

– Tak.

– Przecież Maria nie skończyła nawet gimnazjum. Dlaczego?

– O to powinien pan spytać jej matkę. Ja mogę tylko powiedzieć, że w okolicy jest wielu młodych ludzi, którzy porzucają szkołę, aby pójść do pracy lub aby tylko wyuczyć się jakiegoś zawodu. Niestety, nie samymi książkami żyje człowiek.

– Czy poradził coś ksiądz Vincenzinie? – zapytał Giovanni, kierując swoje myśli w inną stronę.

– By całkowicie zdała się na Boga – odpowiedział kapłan. – Żeby Go prosiła ze wszystkich sił, aby wskazał nam najwłaściwszą drogę. – Szukał oczami Giovanniego. – Łatwo się zagubić na tym świecie, a modlitwa i akt wiary są najsilniejszymi i najskuteczniejszymi środkami, które mamy do naszej dyspozycji.

– Ostatnia sprawa, księżo Edoardzie – powiedział Giovanni, podtrzymując kontakt wzrokowy z rozmówcą. – Co mówiła Maria w czasie swoich napadów? Czy pamięta ksiądz jakieś zdanie, jakiś szczegół, który utkwił księdzu w pamięci?

– Nie – odparł pewny siebie kapłan. – Nic, tylko pomstowała i bluźniła, i dotykała się.

– Czy według księdza robiła to celowo? Udawała czy była inną osobą?

– Kiedy się na nią patrzyło, wydawała się właśnie inną osobą.

– Dobrze – rzekł Giovanni i wstał. – Zająłem księdzu mnóstwo czasu.

– Niech Pan Bóg broni! – Położył mu rękę na ramieniu i odprowadził do drzwi. – Zajmie się pan Marią? – zapytał.

– Mam nadzieję, że mi się uda.

– Niech jej pan nie zostawia w rękach Forestieriego – doradził. – Niech mu

pan nie pozwoli jej dotknąć.

– Nie robi tego – zapewnił go Giovanni.

Ksiądz Edoardo otworzył drzwi i odsunął się.

– Proszę przychodzić, kiedy pan chce, i nie tylko w sprawie Marii.

– Dziękuję, księżu Edoardzie.

– I proszę przychodzić częściej do kościoła. Na pewno panu to nie zaszkodzi.

Giovanni nieznacznie się uśmiechnął, uścisnął mu rękę i odszedł. Dotarł na środek nawy i opuścił kościół bocznym wyjściem. Wiatr znów zaczął wiać, unosząc całe tumany liści z parku miejskiego. Było jeszcze zbyt wcześnie, by pójść do Marii. Pomyślał znów o dziewczynie i zdziwił się, jak bardzo była mu już bliska. Nie mógł zapomnieć jej oczu, ich niezwyklej żywości, wyjątkowości jej ruchów, głębokiego smutku na twarzy. Popychany wiatrem dobiegł na róg, który krzyżował się z ulicą Grimaldiego. Kasztanowy las stał nieruchomy, jakby wiatr go nie sięgnął. Przypomniawszy sobie matkę, która o świcie wychodziła, aby zrobić pranie w potoku, i wydawało mu się, że wciąż ją widzi, jak zmęczona i zapracowana spina sobie warkocz na głowie. Brakowało mu jej. Być może nigdy nie umiał jej naprawdę docenić.

Kiedy Vincenzina otworzyła drzwi domu, od razu zrozumiał, że coś jest nie tak. Kobieta przyjęła go z pewną niechęcią, jakby miała nadzieję, że on jednak nie przyjdzie.

– Śpi – szepnęła, mając na myśli Marię.

– Czy Antonietta już przysłała? – zapytał, badawczo patrząc w zagubione oczy kobiety.

– Nie, jeszcze nie.

Giovanni wszedł do kuchni i położył rękę na oparciu krzesła, czekając, aż Vincenzina zachęci go, by usiadł.

– Niech pan siądzie – istotnie powiedziała kobieta, usuwając ze stołu serwetki, gotowe już do schowania. – Proszę wybaczyć nieporządek.

– A w jakim domu nie ma bałaganu? – zauważył, siadając.

– No właśnie, to nie do pojęcia – niemal wyrecytowała Vincenzina, prawdopodobnie chcąc jakoś się pozbyć ze swojego chwilowego zakłopotania. – Im więcej ktoś sprząta, tym dom wydaje się brudniejszy. Zresztą, przy całym kurzu, jaki wszędzie się unosi dokoła...

– Jak się miewa Maria? – uciał krótko Giovanni.

– Wczoraj i dziś nic się nie działo.

– Rozmawiałem z księdzem Edoardem – poinformował ją.

Vincenzina wzdrygnęła się.

– I co panu powiedział?

– Bardzo dobrze mówił o Marii, ale także on nie potrafi pojąć, co się mogło jej stać.

Jakaś myśl przemknęła kobiecie przez głowę, ale tylko westchnęła, wargi jej drżały, a oczy były bliskie płaczu.

– Czy jest coś, co chciałaby mi pani powiedzieć?

Kobieta ponownie westchnęła, unosząc głowę, by odpędzić łzy. Potarła dłonią czoło i usiadła za stołem, blisko Giovanniego. – Mój mąż chce z panem porozmawiać – ujawniła. – Chce się dowiedzieć, co pan zamierza zrobić. On nie wierzy w te rzeczy. Według niego potrzeba lekarza, odpowiednich leków.

– Może tak być – zgodził się Giovanni. – Ale skoro Maria nie mówi, to jak ustalić, jakie lekarstwa jej podać?

– Mógłby pan ją wyleczyć lekami?

– Myślę, że na razie lepiej zostawić ją w spokoju – doradził. – Maria potrzebuje czegoś innego. Niech mi pani wierzy, Vincenzino. Maria potrzebuje mówić, wypowiedzieć to, co czuje, co myśli. Najpierw musimy spróbować dowiedzieć się, co nie działa jak należy, a dopiero potem możemy zastanowić się, co dalej robić.

– Według pana, co jej jest? – zapytała Vincenzina, niemal błagając o jakąkolwiek odpowiedź.

– Nie wiem – odparł Giovanni. – Mogę tylko pomóc wam znaleźć rozwiązanie. Ale żeby to zrobić, musicie mi pozwolić porozmawiać z Marią.

– Tak – odparła kobieta. – Mój mąż wraca około szóstej.

– Niech mu pani powie, żeby przyszedł do mnie. Wie pani, gdzie mieszkam?

– Tak, koło fontanny.

– Dokładnie. Dom na rogu.

– W takim razie każę mu pójść do pana.

– Wieczorem zastanie mnie w domu. Może przyjść kiedy chce.

– Dziękuję... – Zaalarmował ją dobiegający z pokoju na górze hałas, przypominający głucho tąpnięcie. – Prawdopodobnie Maria się obudziła.

Już miał wstać, ale odgłos powolnych i lekkich kroków na schodach zatrzymał go na miejscu. Minęło kilka sekund i Maria stanęła w progu kuchni, od razu kierując wzrok na Giovanniego. Miała na sobie podomkę, a włosy wstydliwie zakrywały jej odkrytą część piersi.

– Czego ten tam chce? – zapytała mamę.

– To nasz przyjaciel – odpowiedziała, wskazując na mężczyznę.

– I ty z nim rozmawiasz?

Giovanni zauważył ledwie widoczne drżenie rąk i zaciśnięte szczęki dziewczyny, jakby powstrzymywała wybuch wściekłości.

– Po co przyszedł? – dodała Maria ze wzburzonym wyrazem twarzy. – Dlaczego z nim rozmawiasz?

– Nie martw się – powiedziała zdezorientowana Vincenzina, starając się uspokoić córkę.

– Jestem tutaj dla ciebie – wtrącił Giovanni. – Jestem tutaj, aby ci pomóc.

– Kim pan jest? Czego pan chce?

– Porozmawiać z tobą – odrzekł. – Powiedziałem ci już: jestem tu, aby ci pomóc. Chcesz stąd wyjść, prawda? – ciągnął, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej.

Maria doznała gwałtownego wstrząsu, zgrzytnęła zębami, jakby nie była w stanie znieść dłużej tej sytuacji, i upadła zemdlna na ziemię.

Forestieri napełnił kieliszki grappą własnej roboty i jeden postawił przed Giovannim. Przetarł dłonią podkrążone i zapuchnięte oczy i usiadł przy stole naprzeciwko swego gościa. Wykonał ręką ruch na znak toastu i wypił bez mrugnięcia okiem jednym łykiem cały trunek. Giovanni skosztował swojej porcji i odstawił kieliszek na stół. Nie był zbyt nawykły do picia.

– Nie wiem już, co robić – powiedział Forestieri, opierając łokcie na stole i łącząc dłonie na wysokości czoła w postawie rezygnacji.

– Rozumiem – przyznał Giovanni, aby skłonić go do mówienia, przez chwilę obracając w rękę kieliszek.

– Niech mi pan powie, co mam robić.

– Na pewno nie da się rozwiązać problemu, faszerując ją lekami.

Forestieri spojrział na niego.

– A co pan potrafi zrobić? – zapytał prosto z mostu.

– Wszystko i nic – odpowiedział. – To zależy od Marii, od jej chęci mówienia.

Po chwili, przystępując do przesłuchania, zapytał:

– Czy panu nigdy nic nie mówiła?

– O czym?

– O tym, co się z nią dzieje.

– Maria nie cierpi mojego widoku.

Powiedział to tak, jakby chodziło o jakiś niepodważalny fakt, ale jednocześnie – jak zauważył Giovanni – oczy mężczyzny pozostały nieczule, całkowicie obojętne.

– Dlaczego mi pan to mówi? – zapytał.

– Bo tak jest.

– Od jak dawna jest pan ze swoją żoną?

– Będzie już prawie dziesięć lat.

– Poznał pan Marię, kiedy była mała.

– Tak, miała sześć lat, jak ją zobaczyłem po raz pierwszy.

– I jak się początkowo układało między wami?

– Zawsze było tak samo – odpowiedział. – Maria mnie nie znosi, a ja nic nie mogę zrobić, żeby zmienić ten stan rzeczy.

– Czy coś się wydarzyło między wami?

– Nigdy. – Forestieri niemalże się bronił. – Nigdy nie miałem z nią o czym gadać. Zawsze traktowałem ją jak córkę, nawet lepiej niż córkę – sprostował. – To złota dziewczyna i nie zasługuje na to, co się z nią dzieje.

– Co pan myśli o tym, co się z nią dzieje?

– A co mam myśleć? – powiedział strapiony. – Co mogę myśleć? Nie jestem lekarzem, ale mogę panu powiedzieć, że im więcej dni mija, tym bardziej wydaje mi się obłąkana. – W tych słowach kryło się trochę niechęci.

– Z tego, co panu wiadomo, było coś, co mogło spowodować w Marii uraz? – spytał Giovanni.

– Skąd mam wiedzieć? – wykręcił się Forestieri. – Maria nigdy ze mną nie rozmawia. Nic o niej nie wiem. Zupełnie nic.

– Nie wie pan, czy ma jakiegoś narzeczonego?

– Nie, nie jest zaręczona – odpowiedział podenerwowany, odrzucając taką możliwość.

Giovanni wypił resztę grappy, wyczuwając na języku i w gardle jej mocny i palący smak.

– Kiedy zaczęła się ta historia? – zapytał. – Pamięta pan? Czy był jakiś szczególny powód?

– Vincenzina nic panu nie powiedziała?

– Tak, opowiedziała mi, ale ona twierdzi, że wszystko zaczęło się nagle, bez jakiegoś konkretnego powodu.

– I tak właśnie było – zgodził się Forestieri. – Była spokojna i chodziła do krawcowej, a potem zaczęła się stawać coraz bardziej nerwowa. Zwłaszcza wieczorami. Kiedy wracałem, zawsze była jakaś awantura. Wystarczył drobiazg i zaczęła płakać albo wrzeszczeć. Później, którejs nocy, znalazłem ją przed drzwiami, chciała wyjść z domu. Spała. Miała zamknięte oczy i próbowała wyważyć drzwi, ponieważ chciała wyjść. Zachowywała się jak wściekła wariatka. Dłonie miała spoczone i nie była nawet w stanie mówić. Próbowałem ją uspokoić, ale dostała ataku, aż w końcu otworzyła oczy i wtedy było jeszcze gorzej. Wezwaliśmy lekarza, zrobił jej zastrzyk, ale teraz już nie wiadomo, co jej podawać. Stała się jeszcze bardziej obłąkana...

– Myśleliście, że jest opętana przez złego ducha.

– No jasne – powiedział dobitnie Forestieri. – Jest opętana – podkreślił raz jeszcze. – Wszyscy tak myślą. Inaczej, jak wyjaśnić to wszystko, co wyprawia? Nie wiem, czy to diabeł, czy obłąkanie, ale teraz w tym domu nie ma już spokoju. Nie da się dalej żyć, doktorze!

– Jeszcze bardziej się strapił. – Chodzę do pracy, wypruwam sobie żyły i jaka spotyka mnie za to wdzięczność? Widać taki już mój los.

– Wziął butelkę grappy i nalał sobie kolejną porcję. Pokazał butelkę Giovanniemu. – Może jeszcze odrobinę? – zapytał.

– Nie, dziękuję, dla mnie wystarczy.

– Zdrówko! – powiedział Forestieri, podnosząc kieliszek. Wlał w siebie trunk i otarł usta rękawem marynarki.

– Zdrówko! – powiedział Giovanni, kiedy tamten skończył pić.



Forestieri pochylił się ku niemu, ożywiony trunkiem.

– Nie powiedział mi pan, co może zrobić dla Marii? Dlaczego nie leki? Nie będzie lepiej oddać ją pod czyjąś opiekę? Nie ma szpitali, gdzie mogliby ją trzymać?

– Jeśli chce pan zniszczyć córkę... – zganiał go Giovanni.

– A jak pan zamierza jej pomóc? Gadaniem?

Giovanni uśmiechnął się.

– Tak to działa, panie Franco. Słowa mogą wiele.

– Nawet nie wiem, jaki zawód pan wykonuje.

– Jestem psychoterapeutą.

– Napisał pan jakieś książki.

– Tak, kilka.

– I wie pan, jak leczyć Marię?

– Mogę ją wyleczyć – odpowiedział. – Ale Maria musi także sama chcieć się leczyć. Już to panu powiedziałem.

– Ile pan bierze? – zapytał. – Przepraszam, że pytam, ale przecież musimy porozmawiać też o kosztach.

– Nic.

– Jak to „nic”?

– Nie jestem tu, żeby domagać się od pana pieniędzy.

Forestieri wyciągnął się na krzesło, wpatrując się w butelkę grappy. Pomyślał o Teresie, o jej piersiach, o tym, jak się porusza i o beztroskich chwilach z nią spędzonych. To właśnie tam powinien się znaleźć, w jej objęciach. Popęłił błąd, żeniąc się z Vincenziną. Zrobił to dla pieniędzy, aby mieć jakieś zabezpieczenie, lecz teraz ten dom stał się dla niego więzieniem.

– Jeśli Vincenzina się zgodzi – powiedział.

– Ona chce, żeby pan się zgodził.

Forestieri wzruszył ramionami. Jakie znaczenie może mieć jego zdanie? Maria nie jest jego córką, a on nie oczekuje niczego innego, jak tylko odpowiedniej chwili, żeby odejść. Zniknąć gdzieś na północy. Wystarczy tylko poczekać na stosowną okazję.

Przed odejściem upewnił się, że Maria czuje się dobrze. Oddech miała regularny i wciąż jeszcze spała głębokim snem. Pod powiekami gwałtownie przewracała oczami. Coś jej się śniło, ale ciało było odprężone, jakby walka toczyła się w samym tylko jej umyśle. Od czasu do czasu w ledwie zauważalny sposób poruszała dłońmi, ale prawdopodobnie wynikało to stąd, że jej mięśnie się rozluźniały. Ciekawe, z czym jej dusza toczy tak zacięty bój – powiedział do siebie Giovanni. Wyglądała niewinnie, a jednak zło działało w niej, niszcząc prócz duszy również jej nieskalaność.

Giovanni pożegnał się z Vincenziną, polecając jej, by pozostawała blisko córki, i poszedł na dół. Forestieri odprowadził go do drzwi. Uścisnęli sobie dłonie, a potem Giovanni oddalił się uliczką, wzdłuż której ciągnęły się w większości niskie zabudowania, niektóre powstałe z bloków tufowych. Życie mieszkańców tej dzielnicy wciąż było nacechowane biedą.

Dotarłszy do domu, nastawił czajnik, żeby zaparzyć sobie herbatę. Przyzwyczaił się już do życia w tych pokojach, a obecność matki była w nich namacalna, zwłaszcza w przedmiotach, które pozostały na swoim miejscu, tak jakby czekały na jej powrót. We wnęce wykutej w grubym murze z tyłu domu, przeznaczonej na składzik, znalazł swe miejsce blaszany rondel, różne drewniane łyżki, morderz i sito. Giovanni przypomniał sobie wielki kocioł, w którym matka gotowała wodę, i popiół, który potem rozcierała na rzeczach do prania. Poczul ukłucie w sercu. Podążył myślą za matką, która płukała bieliznę, a następnie szła rozłożyć ją na kamiennym dnie potoku. Wyobraził sobie, że jest tam wciąż z nim i że czas wcale nie upłynął.

Nalał sobie herbaty i usiadł na łóżku. Jego matka zawsze tam była. Teraz poprawiała podpórki łóżka i drewniane deski, kładła na nich materac, który starała się wytrzeć przynajmniej dwa razy w miesiącu. Obraz Matki Bożej towarzyszył jej we wszystkim, co robiła.

Giovanni wypił herbatę i zaczął wsłuchiwać się w ciszę. Wszystko było żywe w jego pamięci, ale czas jakby go oszukał. Dawne obietnice zostały dochowane, ale co mu zostało z przeszłości? Dlaczego nie był już w stanie przywołać wyraźnie postaci ojca? Czy kiedykolwiek go kochał? Czy opiekował się nim? Czy był serdeczny wobec niego i matki? I dlaczego nikt mu nie wyjaśnił, co się stało? Dlaczego odszedł? Dlaczego ojciec decyduje się odejść?

Nie poszedł odwiedzić grobu swojego dziadka. Był wprawdzie na cmentarzu, ale ani myślał go szukać. Nie pamiętał, gdzie został pochowany, może nawet nigdy tego nie wiedział. Być może przez lata wierzył, że zmarli są tylko ciałami przeznaczonymi do ziemi i muszą się obrócić w proch, i że dusze błądzą w jakichś

zapomnianych przestrzeniach, niedostępnych dla żyjących.

Ktoś zapukał do drzwi. Dźwięk odbił się nieprzyjemnym echem o belki stropu i podłogę. Przez chwilę jakby coś nim wstrząsnęło, ale potem wstał i poszedł otworzyć. To był ksiądz Edoardo.

– Nie przeszkadzam? – powiedział kapłan, uśmiechając się fioletowymi z zimna ustami.

– Jeszcze by tego brakowało – odpowiedział Giovanni, prosząc, by się rozgościł.

– Nie – odparł ksiądz Edoardo, unosząc rękę. – Muszę jeszcze iść w kilka miejsc. Staruszkowie na mnie czekają. Beze mnie nie pójdą nawet spać.

– Odpowiednia pora na herbatkę. Właśnie sobie zaparzyłem. Woda jeszcze ciepła.

Księdzu zebrano się na wesołość.

– Gdybym w każdym odwiedzonym domu miał wypić i zjeść wszystko, co mi podają, nie spałbym przynajmniej przez rok.

– Uśmiechnął się szeroko, ukazując gęstą sieć zmarszczek wokół kącików oczu i ust. – Wpadłem tylko, żeby panu powiedzieć coś o Marii.

– Proszę mówić.

– Rozmawialiśmy o niej jak o dziewczynie, która jest chora. Niektórzy nawet traktują ją jak opętaną, ale tak nie jest. Maria ma w sobie siłę, jakiej pan sobie nie jest w stanie wyobrazić, Giovanni. Ona ma siłę wiary i być może właśnie ta siła ją przeraża.

– Co chce ksiądz przez to powiedzieć? – Giovanni ściągnął brwi.

– Nic prócz tego, co już powiedziałem – ciągnął dalej ksiądz Edoardo. – Maria jest wyjątkową dziewczyną, a duch porusza się w niej jak w jakiejś świętej. Pan nigdy jej nie widział, jak rozmawia ze starszymi osobami, jak się nimi opiekuje, jak im dodaje otuchy, jak bierze ich sobie do serca. To pobożna dusza, pełna łaski i miłosierdzia, oddana Panu Bogu tak jak oddana życiu. Nie wiem, jak inaczej to panu wytłumaczyć. Diabeł nie może się zagnieździć w kimś takim jak ona. Nie ma dość siły, by to uczynić. W życiu nie widziałem nikogo bardziej przepojonego chrześcijaństwem niż ona. Jest pełna serdeczności, ufna, otwarta na innych. Jest córką i będzie żoną, jaką wszyscy chcieliby mieć, albo godną zaufania zakonnica, jaką każdy pragnąłby znać. To wzór dla naszej wspólnoty. Dlatego niech pan weźmie pod uwagę to, co mówię, ponieważ jest ważne, ważniejsze, niż się panu może wydawać.

Giovanni przytaknął z powagą.

– Uczynię to bez dwóch zdań, księżo Edoardzie – dodał.

– Chcę także panu powiedzieć – mówił dalej kapłan – że coś musiało się jej stać. Coś, co dotknęło ją do głębi, co ją uraziło lub zraniło, co ją zdradziło. Maria jest dziewczyną, która chce tylko żyć, ale postępując w ten sposób, oni ją upoka-

rzają, zabijają.

– Kogo ma ksiądz na myśli?

Ksiądz Edoardo zacisnął wargi, zanim odpowiedział.

– Wychowanie czasami rani także te najbardziej szlachetne dusze. Rozumie mnie pan?

– Myślę, że tak.

– Czasami wydaje się nam, że robimy dobrze, a tymczasem wyrządzamy jedynie krzywdę. Na przykład wyrzuty sumienia mogą wywoływać poczucie zhańbienia, mogą rodzić wstyd, którego wcześniej nie czuliśmy. Mogą ranić. – Raz jeszcze zacisnął wargi, rozszerzając nozdrza. – Ileż zła zostało wyrządzone tej dziewczynie? W ile nieprawdziwych rzeczy kazali jej wierzyć? Poczucie grzechu jest węzłem, który zagnieżdża się w każdym z nas. Czy mówię jasno?

Giovanni przez chwilę ważył słowa kapłana.

– Mówi ksiądz o jej rodzicach? – zapytał.

– Również – odpowiedział. – Ale mówię przede wszystkim o jej matce. Niech pan to zbada, Giovanni. Matka powinna się wypowiedzieć. Ona wie więcej niż to, co mówi, że wie.

– Z pewnością – odrzekł Giovanni. – Ale to Maria musi mówić. Podejrzewam, że jest w tym coś jeszcze, coś dużo więcej, niż jesteśmy w stanie zobaczyć.

– O czym pan myśli?

– Jeszcze nie wiem.

– Proszę dać mi znać – poprosił ponownie ksiądz. – I w razie czego jestem zawsze do dyspozycji, cokolwiek by było potrzebne.

– Dziękuję.

– Dziękuję panu.

Ksiądz Edoardo przytrzymał dłoń Giovanniego ściśniętą w swoich dłoniach i pobłogosławił go. Później, unosząc sutannę z jednej strony, ruszył w kierunku kasztanowego lasku, za którym inne rodziny czekały na jego przybycie.

Livia Antonietta położyła na swoich udach stopę matki Lauretty i posypała ją odrobiną talku. Potarła ją i wymasowała, a następnie pociągnęła czerwonym lakierem grube i powyginane paznokcie. Matka, drobna, ale pełna temperamentu kobieta, pogładziła jej włosy na znak wdzięczności i rozparła się na szerokim wiklinowym krześle, dając się uwieść ostatnim popołudniowym światłom. Już od kilku lat nie mogła się schylać z powodu zwyrodnienia stawów i opuchnięcia nóg.

Livia Antonietta klepnęła dłonią stopę, pomogła matce postawić ją na ziemi i przeszła do drugiej, aby powtórzyć tę samą czynność. Lauretta Gervasi bardzo starała się dbać o siebie i zależało jej na zachowaniu osobistej higieny. Nigdy nie zapominała o tym, żeby się umyć i uczesać, skropić się perfumami o zapachu magnolii, przysyłanymi jej z Rzymu dokładnie co dwa miesiące. Był to jedyny zwyczaj, którego nigdy nie porzuciła. W środku, w duszy nadal czuła się dziewczyną, a zapach magnolii najlepiej potrafił przenieść ją do czasów młodości, pełnej czystych jak lawendowa woda kwiatów.

– Jak się czujesz, mamó? – zapytała Livia Antonietta, z zaangażowaniem masując jej stopę.

– Dobrze.

– W dalszym ciągu kręci ci się w głowie?

– Od rana już mi się nie kręci, moja droga.

Jak na tak smukłą osobę miała dźwięczny głos, którą to cechę w pełni przekazała córce.

– Jutro załatwię, żeby ci pobrali krew.

– Nie trzeba, Livio. Czuję się dobrze, naprawdę. To tylko lekkie przemęczenie.

– Ostatnio ciągle jesteś zmęczona – zauważyła córka. – Tak nie może być.

– A ty – powiedziała starsza pani, zmieniając temat rozmowy – nie powinnaś wyjść dziś rano?

– Tak.

– Miałaś pójść do Marii.

– Tak.

– Umówiłaś się z nim.

– Z kim?

– Z Giovannim Buscemim.

– Tak, prosił mnie, żebym mu na początku towarzyszyła.

– Pamiętaj, że mamy bardzo dużo zaległości w pracy.

– Wiem, mamó. I wiem też, że nie możesz już się tymi sprawami zajmować. Dlatego pomyślałam, że więcej czasu poświęcę szkole kroju i szycia niż konfekcyj-

nowaniu ubrań. Nie daję już rady sama.

– Słusznie – odrzekła matka, przyglądając się świeżo nałożonemu lakierowi na paznokciach. – Dopóki się nie pozbięram, tak zrób.

– Nie, mamó, nie dopóki się nie pozbięrasz. Od tej pory już tak będzie. Mniej pracy dla wszystkich, bo jeśli nie, to kto się będzie tobą opiekował?

– Nie potrzebuję opieki.

– Potrzebujesz odpoczynku – przypomniała jej Livia Antonietta. – Jeszcze się nie pozbięrałaś.

– Po czym?

– Dobrze wiesz, po czym.

Na twarzy Lauretty pojawił się grymas dezaprobaty zmieszanej z obojętnością.

– Lekarz stwierdził, że to nie był udar – oświadczyła.

– Powiedział tak, żeby cię uspokoić.

– A teraz ty mnie denerwujesz? – zaprotestowała.

– Teraz czujesz się lepiej, ale musisz nadal odpoczywać.

– Ale ja nie potrafię odpoczywać!

– Przywykniesz.

– Co będę robić przez cały dzień?

– Będiesz schodzić i mi pomagać, ale bez przesady.

– I każeś mi spacerować.

– To musisz robić codziennie.

Livia Antonietta pomogła mamie postawić nogę na ziemi i wstała z fotelika.

– Widujesz się z nim? – zapytała matka.

– Z Giovannim?

– A z kim, jeśli nie z nim?

– Nie w takim sensie, jak myślisz.

– Spotykacie się?

– Zdarza się, że się widzimy.

Lauretta ukryła uśmiech i mrugnęła do córki.

– Widać, że ci się podoba – powiedziała.

– To przystojny mężczyzna.

– Czy nie pora, żeby się trochę narzucić? – stwierdziła matka lekko drżącym głosem. – Nie wydajesz mi się nawet krawcową.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że krawcowa i uwodzenie idą w parze. Czy muszę ci mówić pewne rzeczy?

– Co mam zrobić? Pokazać mu się w zwiewnej nocnej koszulce?

– Wystarczy to body, którenosisz, żeby zrobić na nim wrażenie. Powabu ci nie brakuje. Natura hojnie się z tobą obeszła. Mnie dała dwójeczkę, ale do twojej

krągłej czwóreczki mężczyźni lgną jak pszczoły do miodu.

– Zapomniałaś o okrągłym tyłku.

– Mężczyźni lubią okrągłe tyłki – odpowiedziała kobieta. – Są w modzie.

– Były w modzie lata temu, chyba.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś niemodna?

– Nie, chcę powiedzieć, że mam prawie pięćdziesiąt lat.

– I co z tego? Znajdź mi taką, która byłaby bardziej kobieca od ciebie w całej dzielnicy. A nawet w całej Cittanova. No, znajdź mi.

Livia Antonietta pochyliła się nad mamą, przejechała dłonią po jej bladej i zmęczonej twarzy i zapytała, czy chce filiżankę herbaty.

– Nie lubię herbaty.

– Kawa źle na ciebie działa.

– To może sok z pomarańczy?

– Zaraz ci przygotuję – powiedziała z cierpliwością Livia Antonietta i skierowała się do kuchni.

– W każdym razie lepsza byłaby jakaś nylonowa koszulka nocna niż ten biustonosz i majtki z lycry, które stale nosisz.

– Dzięki za radę, mamó – powiedziała Livia Antonietta, opuszczając pokój.

Kiedy Laretta została sama, popatrzyła jeszcze raz na paznokcie u nóg i zaczęła się dochodzącą wonią talku. Jej oczy spoczęły na ulotce reklamowej marki Mitoufle, zachęcającej do kupna pończoch, i pomyślała, że każdy sezon przynosi nowe czasy. Zobaczyła się na nowo w biustonoszu bez fiszbinów, w szykownej opiętej sukience, sweterku ściągającym w pasie i w długich jedwabnych koronkowych majtkach. Był rok 1930, mieszkała wtedy w Paryżu, otoczona zalotnikami, którzy marzyli o miłosnej nocy. Ale ona oddała się tylko swojemu mężowi. Przypomniała sobie zdobiony koronkami gorset i otuliła się wspomnieniem swej pierwszej miłosnej nocy jak połyskującym, jedwabistym okryciem. Tyle wystarczyło, by przywrócić jej ochotę do życia. Tyle wystarczyło, by wywołać w niej drżenie.

Maria siedziała na brzegu łóżka. Matka powiedziała jej o pewnym mężczyźnie, a ona zgodziła się go przyjąć. Potrzebowała pomocy, zaś łzy matki przekonały ją, że to najlepsze, co można zrobić. Ubrała się w plisowaną spódniczkę i bluzkę z golfem, ale czuła się nieswojo. Nie była też przyzwyczajona do botków, jednak chroniły jej nogi przed zimnem i sprawiały, że wydawała się wyższa. Rozpuściła włosy i pomyślała, że na pytania, które zapewne będzie zadawał, lepiej odpowiadać nie w dialekcie, ale po włosku. Była podniecona jak przed czymś nowym, jednak jak długo to mogło trwać?

Vincenzina wprowadziła Giovanniego do pokoju dokładnie o piątej po południu. Na zewnątrz było ciemno, jednak w pomieszczeniu paliła się lampka, która zwisała samotnie z białego sufitu, a także większa lampa postawiona na komodzie obok łóżka. Światło wydawało się nieco ponure, a pokój opustoszały, ale jako miejsce pierwszego spotkania było w sam raz – uznał Giovanni. Podeszedł do Marii i podał jej rękę. Maria odwzajemniła ten gest, a kontakt z mężczyzną sprawił, że przebiegł ją dreszcz. I to jeszcze takie mocne dotknięcie, i ciepło, niemalże opiekuńcze. Przez chwilę poczuła się odprężona, jednak potem znów opanował ją strach przed tym spotkaniem. Starła się kontrolować, ale mimo to uciekała wzrokiem z obawy, by nie zdradzić, że się boi. Głęboko westchnęła, kiedy matka przymierzała się, by usiąść w pobliżu drzwi.

– Musi pani wyjść – polecił jej Giovanni, siadając na krześle naprzeciwko Marii.

– Nie powinnam zostać? – zapytała Vincenzina.

– Nie – odpowiedział Giovanni i odwrócił się w stronę Marii, zakładając z góry, że kobieta wyjdzie z pokoju w ciągu paru sekund.

– Pamiętaj! – powiedziała Vincenzina do córki.

Maria poruszyła głową, przetykając ślinę. Niepokój coraz bardziej w niej narastał, tym bardziej że nie była przyzwyczajona do przebywania sam na sam z mężczyzną. Vincenzina zamknęła drzwi niemal z namaszczeniem, a Giovanni skierował wzrok na Marię, która ze złączonymi rękami czekała na jego słowa.

– Wiesz, jak się nazywam? – zapytał.

Maria przytaknęła.

– Już się kiedyś widzieliśmy.

Dziewczyna ponownie przytaknęła.

– Co twoja matka ci powiedziała?

Serce mocniej zabiło jej w piersi.

– O panu? – zapytała.

– Tak.



- Że jest pan lekarzem i że chce pan ze mną porozmawiać.
- Giovanni lekko się uśmiechnął.
- A ty? – powiedział. – Chcesz ze mną rozmawiać?
- O czym mamy rozmawiać? – zapytała, tym razem z większą przezornością.
- Na razie to nie ma wielkiego znaczenia – odpowiedział Giovanni, omijając problem. – Chwilowo ważne jest samo rozmawianie.
- Będzie mi pan zadawał pytania?
- Byłaś u kogoś, kto ci zadawał pytania? – odpowiedział pytaniem.
- Tak, to był inny lekarz.
- Czy to rzeczywiście był lekarz?
- Tak, pojechaliśmy do niego specjalnie do Polisteny.
- I dobrze się czułaś u tego innego lekarza?
- Śmierdział – odpowiedziała Maria. – Strasznie śmierdział.
- Ale oprócz tego ci pomógł?
- Nie.
- Ile razy u niego byłaś?
- Dwa razy.
- I opowiedziałaś mu coś o sobie?
- Chciał wiedzieć, jak się czuję.
- I odpowiedziałaś mu?
- Tak i nie.
- Giovanni cofnął się na krześle.
- Mogę cię zapytać, dlaczego nie pojechałaś więcej do niego?
- Nie podobał mi się. Był fałszywy. Fałszywy do szpiku kości – dodała zgryźliwie. Wyraz jej twarzy zdradzał większą ostrożność, tak jakby tę swoją uwagę o lekarzu rozciągnęła również na Giovanniego. – Skasował sto tysięcy lirów i chciał mnie wysłać do szpitala na badania. Powiedział mi, że cierpię na nerwy.
- A ty myślisz, że to prawda?
- Nie – odpowiedziała zdecydowanie.
- Giovanni pomyślał, że dziewczyna niewątpliwie wie więcej, niż jest gotowa ujawnić.
- Posłuchaj, Mario – rzekł, dostrzegając w niej sprzeczne uczucia. – Twoja matka powiedziała mi, że w ostatnich miesiącach czułaś się bardzo źle.
- Co panu powiedziała? – przerwała mu zaalarmowana.
- Zobacz – ciągnął dalej Giovanni – ona nie rozumie tego, co się z tobą dzieje, niepokoi się o ciebie, a jeśli ja jestem tutaj, to tylko po to, aby ci pomóc. Ale to zależy od ciebie. Od tego, jak bardzo sama zechcesz, aby ci pomóc.
- A w czym może mi pan pomóc?
- Abyś poczuła się lepiej.
- Nie czuję się źle.

– Mówię również o chwilach, w których jesteś lunaticzką – wyjaśnił.  
– Ale ja naprawdę czuję się lepiej.  
– Jeśli tak jest, to bardzo się cieszę – powiedział Giovanni. – Postaraj się to pokazać także swojej matce. – Wstał z krzesła, uśmiechając się do niej. – W każdym razie – kontynuował – pomyśl o tym, co ci powiedziałem. I pomyśl przede wszystkim o swoim życiu.

– Myślę o moim życiu.

Giovanni ograniczył się do uśmiechu.

Maria zobaczyła, że szykuje się do wyjścia, ale nie wiedziała, co mu powiedzieć, żeby go zatrzymać. Miała nadzieję, że powie jej coś jeszcze. Mężczyzna doszedł do drzwi i przez chwilę zwlekał. Ryzykował, ale chciał, aby to dziewczyna przyszła do niego, a nie na odwrót. Musiał spróbować.

– Myśl zawsze o swoim życiu – oznajmił w drzwiach. – Myśl zawsze o tym, czego chcesz naprawdę. To jest właśnie droga, którą powinnaś iść. Droga twoich marzeń, bo masz ich wiele, prawda?

Maria wpatrywała się w niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Właśnie twoje marzenia są najważniejsze, Mario.

– Wiem – szepnęła dziewczyna.

– Mieszkam niedaleko stąd – powiedział. – Gdybyś mnie potrzebowała, choćby tylko żeby porozmawiać, zadzwoń.

Maria pozostała zatopiona w myślach jakby w jakiejś nowej ciszy.

Giovanni wyszedł z pokoju, zostawiając niedomknięte drzwi. Zarzucił przybraną. Teraz musiał tylko cierpliwie czekać.

Giovanni zatrzymał się przed uliczką. Nieliczne domki, przyklejone jeden do drugiego, pokryte były mchem u podstawy kamiennych murów albo w najbardziej wilgotnych miejscach, zwłaszcza w okolicach rur spustowych. Obrosnięty był nim również niewielki murek na końcu uliczki, odgradzający ją od leżących za nią pól. W powietrzu unosił się intensywny zapach ziemi zmieszany z wonią dzikich warzyw i cebul, które ktoś gotował.

Z domu Livii Antonietty nie docierało żadne światło. Giovanni wahał się. Ma zapukać do drzwi czy się wycofać? Nie chciał przeszkadzać ani sprawiać wrażenia natręta, ale Livia Antonietta nie pokazała się ani nie odezwała. Chyba jednak powinien się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

Zrobił pierwszy krok, ale usłyszał, że ktoś go woła. To był Ciccio, który szybko zmierzał w jego stronę. Miał w ręku pustą plastikową torebkę i jakiś sporej wielkości pakunek.

- Giovanni... – zaczął, jakby miał mu wiele do powiedzenia.
- Cześć, Ciccio.
- Co robisz?
- Nic.
- Stoisz tu jak głupi.
- Czekam na Livię Antoniettę – skłamał.
- Posłuchaj – podjął mężczyzna, wyraźnie demonstrując pakunek – opróżniłem ogródek. Jeśli chcesz, dam ci klucze.
- Tak, w porządku – odparł Giovanni.
- Zostawiłem ci wszystko jak jest – powiedział z dumą. – W zasięgu ręki masz, czego dusza zapagnie.
- A ty?
- Jak mi będzie trzeba, to wpadnę, żeby sobie wziąć to i owo. Nie przejmuj się. Wystarczy, że zachowasz to, co posadzone. W przeciwnym razie zmarnieje, a byłoby szkoda.
- Musisz mi wytłumaczyć, jak to się robi.
- Kiedy możemy się spotkać?
- Jesteś wolny jutro rano?
- Przyjdę do ciebie.
- W porządku, to jesteśmy umówieni.
- O której?
- Kiedy chcesz.
- Koło dziesiątej?
- Może być i wcześniej.

– Wpadnij do domu, to pójdziemy razem.  
– W porządku. – Podał paczkę Giovanniemu. – Weź. Sam to otwórz, bo ja mam brudne ręce.

– Co to jest?

– Kawałek dzika. Weź sobie ze dwa plastry, dobrze ci zrobią.

– Sam go upolowałeś?

– Nie, dostałem w prezencie.

– Od dwudziestu lat nie jadłem mięsa z dzika.

– To jeszcze się rusza.

Giovanni otworzył paczkę, a w tym czasie Ciccio, umorusany i uśmiechnięty, wyciągnął z torebki kartkę impregnowanego papieru.

– Włóż dwa plastry do środka, no dalej!

Giovanni wziął dwa plastry mięsa i położył je na impregnowanym papierze. Ciccio owinał je i włożył do torebki, po czym przekazał Giovanniemu, a sam wziął od niego resztę mięsa.

– Naprawdę dziękuję.

– Należy ci się – wyrecytował Ciccio. – Do zobaczenia jutro.

– Tak, do jutra.

Ciccio oddalił się, a Giovanni poszedł w stronę zaułka i zatrzymał się przed domem Livii Antonietty. Zapukał.

– Kto tam? – usłyszał jej głos.

– To ja, Giovanni.

Drzwi otworzyły się po paru sekundach.

– Co tu robisz?

– Przyszedłem, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku.

– Musisz mi wybaczyć, ale mama słabo się poczuła – usprawiedliwiła się Livia Antonietta.

– A teraz jak się miewa?

– Lepiej, dziękuję.

– Mogę w czymś pomóc?

– Wszystko jest w porządku, Giovanni. Naprawdę.

– To znaczy nie ma powodów do niepokoju?

– Nie, dzięki Bogu. Ale, wiesz, w jej wieku musi odpoczywać.

Miała na sobie bluzeczkę z golfem i plisowaną spódniczkę. Jest ciągle taka młoda – pomyślał Giovanni – ale zarazem tak różna od osób, które poznał w minionych latach. Czas się dla niej zatrzymał, drwiąc sobie jednak z jej młodzieńczych marzeń, jej oczekiwań, i zamieniając je w małe zmarszczki zawodu i rozczarowania.

– Udało ci się porozmawiać z Marią? – spytała.

– Mieliśmy pierwsze spotkanie, ale bardzo krótkie – odpowiedział Giovanni.

- Jak się zachowywała?
- To dziewczyna bardzo powściągliwa – wyjaśnił. – Zobaczymy.
- Kiedy macie się znów spotkać?
- To ona musi zdecydować.
- Jak to?
- Tak jest lepiej. Ona musi zrobić pierwszy krok. To jest także kwestia woli.

Ona sama musi tego chcieć.

Livia Antonietta przytaknęła, odwracając wzrok, jakby trapiła ją jakaś inna myśl.

- Może przeszkodziłem? – zapytał Giovanni.
- Nie, tylko postawiłam garnki na piecu, a mama stała się ostatnimi czasy niebezpieczna...

- W takim razie nie zawracam ci głowy.
- Przykro mi, że nie mogę cię przyjąć.
- Nie szkodzi. Chciałem tylko wiedzieć, czy dobrze się czujesz.

Livia Antonietta skinęła głową.

Giovanni podał jej torebkę z dwoma plastrami mięsa.

- Mięso z dzika – powiedział. – Dostałem od przyjaciela.

Livia Antonietta chwyciła torebkę obiema rękami, jakby nie mogła odmówić przyjęcia podarunku.

- Dziękuję – powiedziała.
- Nie ma za co.
- Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłam dzika.
- Nie musisz mi tego mówić.

Livia Antonietta spojrzała na niego zamyślona.

- Ciągłe nie masz telefonu? – zapytała.
- Nie, jeszcze nie.

Nie miała odwagi zapytać go, jak długo zamierza się zatrzymać w Cittanova. Może nie miał żadnego powodu, by założyć sobie linię telefoniczną, a może to przeznaczenie przywiodło go z powrotem do domu. Jak miała mu to powiedzieć? Jak miała zgadnąć, co kryje się za jego nieodgadnionymi, chociaż wyraźnymi rysami, za jego tak ciemnymi i podejrzliwymi oczami, które okazywały się nieprzeniknione? Nie wiedziała już, kim jest ten człowiek. I była niemal pewna, że któregoś dnia wstanie i dowie się, iż odszedł tak jak przyszedł, bez żadnej zapowiedzi, po kryjomu, jak złodziej w nocy albo jak ktoś, kto nie wie już, gdzie się ukryć.

Obudził się zlany potem, czuł ucisk w piersiach wzdłuż linii blizny. Otworzył oczy i zobaczył brązowego pająka, który okręcając się wokół własnej osi, wznosił się ku sufitowi, w kierunku wilgotnej plamy tego samego koloru. Zrozumiał, że to chwilowe halucynacje i czekał, aż znikną. Zmysły czasami go zawodziły, zwłaszcza w nocnych godzinach, kiedy nachodziły go wspomnienia o Magdzie, jeszcze bardziej utrudniając i tak już niespokojny oddech. W takich momentach czuł ucisk w piersiach, a jego głowa doznawała wstrząsów, które zawsze go wyczerpywały.

Wstał z łóżka i poszedł się napić. Lampa oświetlenia miejskiego kołysała się na środku ulicy. Wiatr dał jednostajnie, a on poczuł w sobie silne pragnienie wyjścia na zewnątrz, zmieszania się z żywiołami natury, stania się na nowo jej częścią. Dobrze znał te odczucia, często ich doświadczał, ale teraz niemal go przerażały. Odszedł od okna, jakby wiatr znienacka go nakrył, zdemaskował. Był teraz słaby. A przeszłość, *jego chwalebna przeszłość*, przeminęła. Nigdy nie uważał się za część świata akademickiego, nie twierdził, że jest jego ważną postacią, ale przecież nie mógł wymazać sukcesów i obietnic związanych z wieloma latami nauki. Zostawił niedokończone prace, które kosztowały go lata poszukiwań, porzucił swoich współpracowników, zapomniał o celu, do jakiego z takim zapałem dążył. Wrócił, ale czego mógłby się teraz uchwycić? Czy było coś bardziej rzeczywistego niż tajemnica, która pozwoliła mu niemal śnić, że któregoś dnia nagle, nieoczekiwanie, będzie mógł stanąć przed obliczem Boga? Wczuć się w naturę, aby uruchomić procesy umysłu, uczynić go bardziej wolnym, rozległym; pracować nad percepcją, otwierać kanały, które nie pozwalają *widzieć*. Oddziaływać na sny, na wymiar oniryczny, na zdolność przepowiadania wpisaną być może w każdą istotę ludzką: inny, ukryty sens, ten jeszcze przemilczany z powodu wieków niewiedzy lub lęku przed śmiercią.

Co mu pozostało z tamtych tak upajających dni?

Przeciągnął dłonią po bliźnie i powiedział sobie, że czas wyleczy go z wszelkich lęków, przywracając im właściwy wymiar. Teraz mógł jedynie odczuwać obawę przed jutrem, strach, że nie da rady wrócić, że zabraknie mu odwagi. Ale w jego myślach była także Maria. Weszła w nie z pewną subtelnością. Nie mógł już myśleć o niczym innym poza nią. Wiedział, że ma do czynienia z dziewczyną inną od pozostałych, z historią, którą trzeba opowiedzieć. On chciał wiedzieć. Chciał zrozumieć sens tych dreszczy budzących w nim na nowo odczucia, które nie należały do niego, tak jakby już kiedyś przeżył inne życia, z których teraz nic już nie pamiętał.

Umówili się na trzydzieści tysięcy lirów miesięcznie. Dla Giovanniego pieniądze nie były problemem, a Ciccio zachował prawo korzystania z plonów ogrodu oraz z miejsca przeznaczonego na składzik pod wiatą, którą zbudował własnymi rękami.

Kiedy Giovanni został sam z kluczem od kłódki w ręku, postanowił obejrzeć dokładnie ogród, aby się przekonać o jego rzeczywistym stanie. Miejsce za ogrodzeniem dla świni było puste, więc od jego usunięcia powinien zacząć. Miał zamiar z tej części uzyskać trochę terenu pod uprawę papryki i bakłażanów. Chciał powiększyć też hodowlę poziomek, które w tych stronach rosły większe i bardziej soczyste. Zresztą, właściwa część ogrodu mogła pozostać taka, jaka jest. Być może powinien spróbować wykorzystać teren wokół orzecha, ale tam był problem z korzeniami. I na tym kończyły się jego kompetencje. Musiał się jeszcze wiele nauczyć, toteż zadał sobie pytanie, czy tego naprawdę chce.

W rogu zobaczył gigantyczną dynię opróżnioną w środku, postawioną jako ozdoba. Na murze Ciccio zostawił zawieszane różne narzędzia, które mogły okazać się przydatne. Ruszył dalej ścieżką dzielącą na dwie części rozmaite uprawy i wszedł po schodach prowadzących na taras obrosnięty wybujałymi winoroślami. Winogrona oczywiście nie należały do tych najsmaczniejszych, ale przecież nie zależało mu na winie, jakie mógłby z nich uzyskać. Była to jednak część najbardziej dekoracyjna i należało ją lepiej wykorzystać. Mury dokoła były wyłożone ozdobnymi płytkami, które przywoływały tematy jesienne i w ogóle związane z winobranem. Giovanni wychylił się na zewnątrz i spoglądając na ulicę Grimaldiego, obserwował przechodzących ludzi. Jakiś starszy mężczyzna prowadził muła wiozącego jako bagaż dwa kosze jabłek, które musiały zostać dopiero co zebrane. Co cztery lub pięć kroków gwizdał i wołał na gospodynie, które już wyglądały z okien, by zobaczyć, o co chodzi. Niektóre wychodziły, aby przyjrzeć się bliżej towarowi, a po paru minutach, zważywszy na przystępną cenę, starszy mężczyzna był już otoczony kobietami z odliczonymi pieniędzmi w ręku. Żadna się nie targowała, lecz raczej wszystkie wychwalały jakość jabłek.

Giovanni cofnął się i pomyślał, że jak najszybciej będzie musiał pozamiatać posadzkę, a następnie poszedł zerknąć na drugą stronę tarasu, skąd mógł zobaczyć dziedziniec domu należącego niegdyś do księcia, sprzedanego kilka lat wcześniej na potrzeby nowego liceum ogólnokształcącego. Giovanni zobaczył kilkoro uczniów pochylonych nad zeszytami, docenił ciszę, jaką to miejsce zdawało się oferować, i zauważył, że w najbardziej zakrytej części została urządzona stolarnia pod zadaszeniem z blachy. Biała konstrukcja z dwoma balkonami zamkniętymi drewnianymi kratami, służąca wcześniej jako boczne wejście do domu, teraz stała

osamotniona, niemal zgaszona wspomnieniem przeszłości, która już nie wróci. Długi żywopłot z bukszpanu ograniczał teren od wschodu pod wysokim murem ogrodu. Parę kur grzebało tam w ziemi, chroniąc się od czasu do czasu w bardziej zacisznym kącie.

Przez chwilę obraz uczniów za oknami, niewyraźny z powodu słabego światła dziennego, i obraz dziedzińca, który zdawał się streszczać w sobie wszystkie wspomnienia Giovanniego, zlały się w jedno. Czy tego właśnie szuka? Czy istnieje jakiś sposób, by mógł kontynuować swoje studia, nie oddalając się stąd, z tej dzielnicy, w której się wychował? A Livia Antonietta? Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, potrzebował jej wsparcia oraz spojrzenia dodającego otuchy. Nie wiedział jednak, jak dać jej to do zrozumienia, a nie wydawało mu się stosowne wymagać tego od niej.

Zagubił wszelką pewność. Nie istniała już żadna przyszłość, a przeszłość zamykała się w jego własnej skórze i we wrażeniach, w jakich była uwięziona. Pozostawała mu tylko teraźniejszość. Dzień był jeszcze długi, a on miał wiele rzeczy do zrobienia.



Myślała o mężczyźnie i o tym, co jej powiedział, teraz nie wystarczało jej już nawet światło dnia, które wpadało do pokoju. Chciała wyjść, chciała znów żyć, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Kiedy czuła zbliżający się atak, kryła się w sobie, jakby musiała sama znosić tę kalwarię. Miała swoje marzenia, ale teraz one zaczynały blednąć, stawały się coraz odleglejsze, coraz bardziej rozmyte. Ludzie wychodzili na zakupy albo na spacer, a ona nie mogła sobie na to pozwolić. Również samo oddychanie kosztowało ją wiele wysiłku. Strach ścisnął ją w piersiach i w gardle, nocą czuła się jakby miażdżona ciężarami, które przykuwały ją do łóżka, wpychając w objęcia zmarłych, o ile to byli zmarli. Nie potrafiła zrozumieć. Może naprawdę wpadała w obłąd. Może diabeł brał ją w posiadanie kawałek po kawałku, najpierw jej oczy, potem słowa, a wreszcie głowę ze wszystkimi myślami i marzeniami o jutrze. Ale czego zmarli od niej chcieli? Może powinna pozwolić im przychodzić? Wpuścić ich do swoich snów? Czy tego chcieli? Być może oni chcieli tylko z nią porozmawiać, przekazać jakieś wiadomości, tak jak to się zdarzało mistykom. A może to Matka Boża posyłała ich, aby ją przed czymś przestrzec, ale ona nie była w stanie zrobić nic poza przyjęciem ich do swojego łóżka. Być może powinna porozmawiać o tym z doktorem. Niepokoił się o nią i zależało mu na jej dobru. Odwiedził ją tylko po to, żeby spróbować jej pomóc. To rzeczywiście mogła wyczuć, a więc dlaczego w takim razie mu nie zaufała? Dlaczego miałyby nadal upierać się, że nie będzie z nikim rozmawiać? Miała luki w pamięci, które wprawiały ją w osłupienie.

Otwierała oczy i myślała, że znajduje się gdzie indziej, w jakimś innym świecie, ale potem uświadamiała sobie, że jednak jest stale na swoim miejscu, w swoim pokoju, w tych czterech ścianach, lub stoi przed drzwiami domu, gotowa do wyjścia, by iść nie wiadomo gdzie. Ale dokąd chciała pójść? Stale się o to pytała. Przychodził jej na myśl kasztanowy lasek, a później dom księcia, brama, wysokie buki i ziemia. Często myślała o ziemi i mówiła sobie, że chce się z nią złączyć. Co to może znaczyć? Dlaczego Matka Boża nie przychodzi, żeby pomóc jej lepiej się poczuć? Dlaczego musi cierpieć? Nie chciała już być sama. Zastanawiała się nad tym i płakała. Samotność sprawiała, że czuła się coraz gorzej. To nie powinno się już więcej zdarzyć. Musi szukać pomocy. Od czasu do czasu patrzyła na siebie w lustrze i nie poznawała się. Nie chciała, by to się znów zdarzyło.

Głośno zawołała na matkę, a później jeszcze raz, bełkocząc. Nie chciała powstrzymać płaczu. Chciała się wyładować, ale pragnęła uczynić to sama. Nie była opętana i czekając na matkę, powtarzała to sobie, przeplatając to modlitwą lub błogosławieniem Pana. Tylko Bóg mógł jej naprawdę pomóc. Tylko Ojciec wszystkich. Na słowo *ojciec* wzruszyła się. Osunęła się na ziemię i wybuchła nieutulonym

płaczem.

Matka zastała ją w takiej sytuacji i od razu podbiegła, by ją podnieść z podłogi.

– Co ci jest, córko moja, co ci jest? – zapytała przez łzy.

– Pomóż mi, mamó. Pomóż mi.

Maria objęła matkę i dała się zanieść na łóżko.

– Chcę wyjść, mamó. Nie daję już rady. Chcę wyjść.

Vincenzina odsunęła jej włosy z twarzy, przesuwając dłonią najpierw po jednym policzku, a następnie po drugim.

– Teraz będziesz wychodzić – zapewniła ją. – Teraz widzisz, że czujesz się lepiej i będziesz wychodzić codziennie.

– Pomóż mi, mamó.

– Pomagam ci, bądź spokojna. Twoja mama ci pomaga. Teraz widzisz, jak wiele rzeczy pozwalam ci robić.

Maria uspokoiła się w jej objęciach, wzywając wciąż pomocy i ściskając od czasu do czasu ramię matki, by wyładować złość. Co to za choroba? Nie ma nazwy, ale nęka ją bardziej niż jakaś nieuleczalna zaraza. Wyobraziła sobie siebie w zakładzie psychiatrycznym, samą albo pośród innych wariatów, i potrząsnęła głową na znak poddania się. Nie dawała już rady. Nie wyjdzie nigdy z tego stanu.

Matka przekonała ją, by położyła się na łóżku, i po paru minutach poczuła się lepiej. Teraz było to jakby unoszenie się na powierzchni wody, tak jak to robiła, kiedy jako dziecko szła nad morze razem ze swoimi francuskimi kuzynami. Kładła się na wodzie i pozwalała się kołysać przez lekko poruszające się fale, które unosiły ją to górę, to w dół jak patyk albo jak gąskę – myślała – jak gąskę, która nie chciała robić nic innego. Kuzyni przestali ją odwiedzać. Nie odzywali się. Żyli swoim życiem z dala od Cittanova, zapewne pokończyli już szkoły, tymczasem ona stanęła w miejscu, między innymi ulegając woli matki. Zbyt dużo chłopców kręciło się dokoła, a ona, Maria, powinna była myśleć o nauczaniu się zawodu. Dobrze jej szło jako krawcowej i zapewne to by w życiu robiła, aż któregoś dnia przyszedłby jakiś młody człowiek, by poprosić ją o rękę. Byli już tacy, którym wpadła w oko, ale Vincenzina trzymała wszystko pod kontrolą, szukając informacji o pretendencjach, o ich rodzinie i stanie majątkowym. Jeśli nie posiadali znacznego majątku, nie mieli nawet po co pukać do drzwi. Nie dałaby swojej córki pierwszemu lepszemu, nawet gdyby przyjechał z Ameryki albo Australii, przywożąc z sobą taczkę pełną pieniędzy. Scheda była ważna, reszta przyjdzie sama. Można przecież nauczyć się kochać drugą osobę, a wiek czasami nie jest aż tak istotny. Przeciwnie, dojrzały mężczyzna jest bardziej doświadczony i może wyrządzić mniej szkód. O tym jednak nigdy nie rozmawiała z Marią.

– Spróbuj zasnąć – powiedziała do córki, kładąc rękę na jej czole.

Maria odwróciła się na drugi bok i zasnęła.



Teresa Accardo zapaliła papierosa i podeszła do okna, odwracając się plecami do Forestieriego.

– Nie chcę, żebyś tu przychodził, kiedy jesteś pijany – nakazała mu.

– Przeszkadza ci to? – kpiąco odparł Forestieri.

– Tak.

– Musisz mnie znosić również takiego.

– Taki mi się nie podobasz.

– Wypiłem tylko dwa kieliszeczki.

– Dwa kieliszeczki za dużo – poprawiła kobieta, trzymając w górze papierosa poplamionego szminką.

– Ty nigdy nie pijesz?

– Nie.

– Święta się odezwała – powiedział Forestieri, próbując walczyć z upojeniem.

– Zostaw w spokoju świętych, przynajmniej tyle.

Forestieri uderzył dłonią w komodę, opierając się natychmiast o ścianę. Wzburzona Teresa nagle odwróciła się w jego stronę, otrzymując w odpowiedzi pełne zadowolenia spojrzenie.

– Idź precz! – zawołała. – Wynocha z mojego domu!

– Co cię ugryzło, moja ty utrzymanko!

– Ty nikogo nie utrzymujesz.

– Ty tak mówisz.

– Ja tak mówię, mój panie.

– Daję ci przynajmniej dwieście tysięcy lirów miesięcznie i masz robić, co ci każę.

– Nie jestem twoją dziwką!

– Nie, ale ją przypominasz.

– Łajdak!

Zaciągnęła się papierosowym dymem, ale już nie zdążyła go wypuścić. Forestieri chwycił ją od tyłu i popchnął do ściany, zatykając usta.

– Teraz sobie krzycz – powiedział niemal z obrzydzeniem.

Kobieta próbowała się uwolnić, ale to jedynie zwiększyło podniecenie mężczyzny. Forestieri puścił jej usta, ale chwycił mocno za włosy. Chciał ją posiąść. Wino uderzyło mu do głowy i żąda obnażenia jej, by skosztować jej ciała, pozbawiła go wszelkich hamulców.

– Będę krzyczeć! – zagroziła Teresa.

– A krzycz sobie! – zachęcił ją Forestieri.

– Z innymi też tak robisz?

Mężczyzna nic nie powiedział. Rozchylił jej nogi, częściowo zrywając z niej ciasną spódnicę, i zaczął obmacywać majtki, próbując znaleźć sobie drogę. Teresa stała nieruchomo. Wiedziała, że wcześniej czy później do tego dojdzie. Zaciągnął ją na łóżko, położył i uniósł jej spódnicę. Ze wzbierającą rozkoszą poluzował pasek od spodni.

– Czy ty masz odwagę potem wrócić do domu? – zapytała Teresa.

– Co cię to obchodzi?

– Jak ci nie wstyd potem wrócić do domu i spojrzeć swojej córce w oczy?

– Co ma z tym wspólnego moja córka?

Teresa nie odpowiedziała.

– Co ma z tym wspólnego moja córka? – powtórzył poirytowany. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że jesteś ohydny!

Forestieri nagle zamilkł i rozłożył się na łóżku. Zaczerwienił się ze wstydu, ale zaraz się ocknął. Wpatrywał się w sufit, a w głowie nadal mu się kręciło od wina.

– Nie mogę się z nią spotkać u was w domu, pani Vincenzino – powiedział Giovanni.- To niemożliwe.

– Dlaczego? – odparła zdumiona kobieta.

– Bo w ten sposób to nie zadziała. Terapia w domu nie odniesie żadnego skutku w przypadku Marii. Potrzebujemy jakiegoś miejsca na osobności – wyjaśnił, szukając najwłaściwszych słów. – Maria musi wychodzić ze swojego pokoju. Już to będzie dla niej ogromną pomocą.

– To co mamy zrobić?

– Mogę spytać moją kuzynkę Angelinę, czy ma klucze do pomieszczeń księcia, tam, gdzie wcześniej był gabinet.

– W tym domu za rogiem?

– Tak, właśnie tam.

Vincenzina poruszyła się na krześle, łypiąc okiem na komodę, którą wiele razy otwierała, kiedy matka Giovanniego przychodziła ją odwiedzić.

– A co to może zmienić? – zapytała ostrożnie.

– Z doświadczenia mogę pani powiedzieć, że jest całkowicie bezużyteczne prowadzenie leczenia w domu pacjenta – wyjaśnił raz jeszcze Giovanni. – Maria musi myśleć, że czeka ją nowe życie, nowe spotkania, nowe sytuacje. Neutralne miejsce jest idealne, by się otworzyła lub przynajmniej zaczęła mówić.

– Skoro pan tak uważa...

Kobieta nie była wcale przekonana do takiego rozwiązania, ale nie sprzeciwiała się. Ten mężczyzna był ostatnią nadzieją, jaka jej pozostała, a Maria mu ufała, była skłonna z nim porozmawiać. Livia Antonietta kilka razy ją do niego przekonywała, tak iż teraz mogła jedynie zaakceptować to, co oferuje jej los.

– Zobacz pani, że Maria z pewnością będzie miała z tego pożytek – dodał jej otuchy Giovanni.

Kobieta słuchała uważnie.

– Jak długo potrwa takie leczenie? – zapytała.

– Może się ciągnąć miesiącami albo i latami – odpowiedział. To zależy od wielu czynników, zwłaszcza od chęci ozdrowienia samego pacjenta.

– Co jej właściwie jest?

Na jej twarzy malowała się rozpacz, tak jakby nie wierzyła w możliwość uzdrowienia. Jeśli nie udało się księdzu Edoardowi i na nic się zdały wszystkie modlitwy, jakie zanosili, to co może zdziałać ten człowiek?

– Nie ma słów, które by wyjaśniły, na co choruje Maria. Myślę, że jej dusza bardzo cierpi, dlatego niech pani dalej się modli – powiedział Giovanni, jakby czytając w myślach Vincenziny – a ja postaram się jej pomóc za pomocą środków, któ-

re mam do dyspozycji.

- A jak się nazywa to, co pan robi?
- Widzę, że się pani niepokoi.
- Nie rozumiem tego, co pan zamierza zrobić.

Giovanni pochylił się w stronę kobiety, nawiązując z nią kontakt wzrokowy.

- Czy uważa pani, że można mi zaufać, Vincenzino?
- Tak – odpowiedziała, nie potrafiąc nic dodać.
- Czy myśli pani, że chcę wyrządzić jakąś krzywdę pani córce?
- Nie, ale jak to tak sami, w jednym domu... – wyrwało się jej.

Giovanni uśmiechnął się dyskretnie. Od samego początku było dla niego jasne, że obawy kobiety wywołuje właśnie ten szczegół.

– Proszę mi uwierzyć, pani Vincenzino, nie mamy innego sposobu, by pomóc Marii. Ale jeśli to miałyby być dla pani jakimś problemem, to zostawmy to. Pani musi być przekonana do tego, co robi, tak jak musi być pani gotowa pomóc mi we wszystkim, co ja robię. Rezultaty zależą także od pani i od pani męża. A zwłaszcza od waszego zachowania.

Vincenzina odwróciła wzrok od Giovanniego. Oczy mężczyzny onieśmiały ją, tak jakby wystarczyło mu jedno spojrzenie, by odgadnąć, co ona myśli.

– Dlaczego? Jak mamy się zachowywać? – zapytała.

– Na razie po prostu z miłością, którą na pewno zawsze jej okazywaliście – odpowiedział. – Teraz jest za wcześnie, by stwierdzić, co mamy lub czego nie mamy robić.

– Kiedy będzie pan to wiedział?

– Choćby pojutrze, jeśli ona będzie gotowa zacząć.

– Prosiła mnie, by jej pomóc.

– Potrzebuję tylko czasu, by porozmawiać z moją kuzynką, i umówimy się, co dalej robić.

– A jeśli się okaże, że z gabinetu księcia nie będzie można skorzystać? – powiedziała Vincenzina niemal z nadzieją w głosie.

– Znajdziemy inne rozwiązanie.

Vincenzina przytaknęła i wstała.

– W takim razie żegnam pana. I tak już stracił pan przeze mnie dużo czasu.

– Czasu mi nie brakuje, proszę pani. Wszystko zależy od tego, czy go dobrze wykorzystujemy.

Kobieta raz jeszcze przytaknęła i wydawało się, że zadaje sobie pytanie, kim naprawdę jest ten stojący przed nią mężczyzna. Może on naprawdę jest w stanie pomóc jej córce. Może to ważna osoba, jak wszyscy powiadają, mag, który potrafi czytać w sercach ludzi. Musiała uwierzyć w niego, liczyć, że wszystko, co o nim mówią, jest prawdą.

Gabinet księcia pozostał niezmienny. Długie biurko, podobne do katedry, przesączone zapachem tytoniu, znajdowało się wciąż pod ogromnym oknem, wychodzącym na bukowy gaj, który ciągnął się niemal aż po sam kasztanowy las. Lampka ze szklanym kloszem była rozbita, ale globus z mosiężnymi i złotymi wykończeniami wciąż górował z wysokości regału o ciężkich półkach, pozbawionego jednak swoich najpiękniejszych i najcenniejszych woluminów. Pozostały tylko książki w wydaniach ekonomicznych lub popularnych, których nikt nie chciał. Ceglana podłoga wciąż dobrze się trzymała. Kilka kafelek zostało wprawdzie usuniętych, ale centralna część, gdzie znajdowało się biurko, nadal była w pełni dostępna. Dwa krzesła z wysokimi i nieco odchylonymi oparciami postawiono w rogu, być może z zamiarem ich wyrzucenia, ale Giovanni, przyjrzawszy się im z bliska, stwierdził, że wciąż nadają się do użytku. Należało tylko zaprowadzić pewien porządek w pokoju, a światło słoneczne było bardziej niż wystarczające do pracy. Miał wrócić po południu, aby wszystko ustawić na swoim miejscu. Już następnego dnia mógłby zacząć terapię. Zastanowił się, jak zareaguje Maria i jak bardzo będzie się bronić. Było jasne, że napotka na liczne opory ze strony dziewczyny, a teraz nawet w ogóle nie był już pewien tych spotkań na neutralnym gruncie.

Spojrzał na regał. Książki należało lepiej ułożyć, niektóre może nawet usunąć. Miał całą resztę dnia, by nadać pomieszczeniu właściwy wygląd.

Opuścił gabinet, zszedł po stromych schodach i przemknął przez garaż, którym się tu dostał, a następnie wyszedł na zewnątrz. Spuścił zasuwkę i zamknął kłódkę kluczem, który powierzyła mu Angelina, ale dopiero po nakazaniu mu, aby zostawił wszystko na swoim miejscu. Książę mógł wrócić w każdej chwili, a nigdy nie zapowiadał, kiedy to zamierza zrobić. Zresztą to był przecież jego dom. Mógł swobodnie wyjeżdżać i przyjeżdżać, jak mu się żywnie podobało.

Giovanni pomyślał o księciu. Przypomnił sobie jego wysoką i majestatyczną postać, ale były to tylko wspomnienia dzieciaczka przestraszonego ideą szlachectwa, która teraz w istocie już nie istniała.

Czekał na niego ogród. Tylko tam był w stanie odnaleźć potrzebny mu odpowiedni spokój i skupienie. Podążył w kierunku ulicy Grimaldiego.



Pracował w ogrodzie aż do pory obiadowej, tnąc drewniane kloce i porządkując worki z węglem pod wiatą. W rogu zgromadził wykarczowane krzaczyska i uschłą trawę, a następnie zajął się podłogą tarasu przykrytą liśćmi i butwiejącymi winogronami, które wciąż wydzielały słodkawą woń. Zebrał parę dojrzałych już granatów, a kilka minut przed pierwszą poszedł w dół do sklepu Gabbavintiego, by kupić sobie nadziewaną bułkę. Praca fizyczna dobrze mu robiła, ale jego myśli wciąż krążyły wokół Marii.

Po posiłku poszedł do domu dziewczyny. Otworzyła mu Vincenzina. Maria niezbyt dobrze czuła się w nocy, ale na szczęście nie zdarzyło się nic niepokojącego. Umówili się na spotkanie o dziesiątej rano następnego dnia. Vincenzina miała przyprowadzić Marię do gabinetu i czekać na nią na dole, w sąsiednim pokoiku pełniącym rolę kuchni, gdzie Angelina zwykła przygotowywać posiłki dla księcia Alberta i jego żony Letizii, ilekroć przyjeżdżali z wizytą.

Po południu Giovanni wrócił do gabinetu. Usunął różne stare rupiecie i poukładał książki na regale. Większość tytułów stanowiły historie miłosne lub przygodowe z lat czterdziestych lub pięćdziesiątych, o pożółkłych i zeszywniałych kartkach. Następnie wytarł kurz z mebli, umył okno, aż w końcu przeszedł do podłogi. Następnego ranka zamierzał przynieść lampę stojącą i lampkę na biurko, na deszczowe lub w każdym razie pochmurne dni.

Wieczorem, kiedy już mrok okrył również te nieliczne domy przylegające z drugiej strony do kasztanowego lasu, postanowił odwiedzić Livię Antoniettę. W jej dwukondygnacyjnym domu paliło się światło, więc zapewne nadal pracowała. Zastanawiał się, czy warto jej przeszkadzać. Wahał się przez chwilę, zanim stanął przed drzwiami domu. Ze środka dochodziły głosy paru dziewcząt, przypuszczalnie uczennic ze szkoły. Śmiały się i żartowały, ale on nie był w stanie uchwycić sensu ich rozmowy. Poczuł się zbyteczny i pomyślał, że lepiej będzie odłożyć tę wizytę. Wrócił do domu, rozpałił ogień w kominku i wspomagając się odrobiną alkoholu, usiadł i wsłuchiwał się w odgłosy nocy. Dom był źle posadowiony, tak iż w pełni brał na siebie poddmuchy wiatru lub fale deszczu. Ale Giovanni przywykł już do tego. Sny jego dzieciństwa pełne były takich odgłosów. Wiatr towarzyszył sporej części jego życia, toteż niekiedy sam go szukał, jakby ten szum mógł do niego przemówić lub wskazać jego myślom pewniejszą drogę. Czekał, by usłyszeć jego powiew, ale tamtej nocy panował spokój gór i zimnego gwiazdzistego nieba. Około pierwszej zgasił ogień w kominku i okrywszy się kocem, zasnął w fotelu.

Była podekscytowana. Położyła się do łóżka, zaczekała, aż matka pójdzie spać i otworzyła okno. Często robiła to w ukryciu, ale ważne dla niej było móc poczuć wpadające świeże powietrze, to powietrze, które przynosiło jej zawsze nowe wieści, a także radosne, wolne uśmiechy. Tej nocy nie czuła niczyjej obecności. Głosy były spokojne albo może nawet zupełnie sobie odeszły. Czuła się właśnie tak, jakby już nic w niej nie było. Znow stała się Marią – mówiła do siebie – ale skąd może być pewna, że ta choroba, którą nosi w sobie, nie otworzy nagle drzwi, jakby chciała zrobić jej na złość? Pomyślała o Giovannim Buscemim i odnalazła siłę, by przeciwstawić się tym myślom. Ten mężczyzna jej pomoże, była tego pewna. Mówiły jej o tym jego oczy i jego słowa. Ona odczytała to w jego duszy, a zmarli nie zbesztali jej za to, że z nim rozmawiała. Nic się z nią nie działo w ostatnich dniach. Patrzyła na swoje odbicie w lusterku i widziała się taką, jaką zawsze była. Od czasu do czasu obawa, że się nie zobaczy lub że ujrzy swoją twarz bardzo odmienioną znow doprowadzała ją do drżenia, ale trwało to krótko. Wciąż była tą Marią, z zapachami swoich marzeń i przyszłością, o której wiedziała, że jest zapisana w czasie.

Kto wie, co ją czeka. Kto wie, jakie pytania jej zada lekarz. Będą rozmawiać długo, jak dwie zaprzyjaźnione osoby, tylko że on znajdzie drogę, aby ją poprowadzić w przeszłość. Przypomniała sobie nić Ariadny, tę legendę, którą czytała, będąc dzieckiem, kiedy jeszcze chodziła do szkoły, i grymas złości i rozczarowania wykrzywił jej twarz. Ona też chciała się cofnąć. Ona też chciała poznawać świat. I może właśnie to było jej najpiękniejsze marzenie. Podróżować. Jakże tego pragnęła. Jakże liczyła, że pewnego dnia będzie mogła wydostać się z tej ciasnej uliczki, która więziła jej ducha. Ale jak to zrobić? Jak opuścić miasteczko? Matka nigdy by jej na to nie pozwoliła. Musi pozostać na swoim miejscu. Czyż nie tego stale ją uczyli? W życiu trzeba być zawsze na swoim miejscu. Urodziła się, aby żyć w tej dzielnicy i nie powinna domagać się niczego innego. Nauczy się być krawcową, poślubi jakiegoś młodzieńca jak się patrzy. Przyjechał nawet pewien chłopak z Australii i pozwolił sobie podejść do niej w czasie *Affruntaty*<sup>2</sup>, po tym, jak święty Jan i Matka Boża, zrzuciwszy z siebie płaszcze, pobiegli w stronę zmartwychwstałego Jezusa. W tym momencie młody człowiek się jej przedstawił, ale ona go niegrzecznie odrzuciła, przeczuwając reakcję matki. Wiedziała, że ten człowiek szuka żony, a ona przecież nigdy nie mogłaby opuścić Włoch i wyjechać do Australii. Wróciła do domu zafrasowana. Od tamtej pory coś w niej zaskoczyło: świadomość, że nigdy nie opuści swojej dzielnicy, swojego miasteczka. Jej życie tu się zatrzymało.

Teraz jednak miała możliwość porozmawiania z kimś. Słyszała, że Giovanni Buscemi jest magiem, ale ludzie wyrażali się o nim także z szacunkiem. Troszczył

się o ducha i duszę. Tak to ujęła Livia Antonietta. O ducha i duszę, w imię Pana – pomyślała. Wróciła do łóżka i zasnęła, zapominając o otwartym oknie.

Błada poświata przedzierała się przez pochmurne niebo i listowie buczyny, ledwie rozjaśniając pokój. Maria czuła, że pociąga ją ten blask, jakby ten powstały półmrok był jakimś przywilejem lub nieoczekiwanym dobrodziejstwem. Starła się nie rozglądać dokoła, ale atmosfera jej się podobała, sam zaś gabinet był dokładnie taki, jak go sobie wyobrażała. Urzekło ją biurko, na którym przez chwilę oparła dłonie. Kto wie, ile razy książkę siedział na miejscu Giovanniego i pisał list albo czytał książkę, albo korespondencję, albo tylko rozmyślał, zanurzony w świetle przenikającym przez ogromne okno.

Giovanni położył pióro na notatniku.

– Jak się miewasz, Mario? – zapytał.

– Dobrze, dziękuję.

– Przypuszczam, że przez minione dni myślałaś o tym, co sobie powiedzieliśmy, kiedy się ostatni raz widzieliśmy.

– Tak – odpowiedziała cichym głosem. Była wystraszona, ale zarazem zadowolona, że tu jest.

– Jest wiele rzeczy, o których moglibyśmy porozmawiać... -napomknął.

– Tak.

Giovanni uśmiechnął się ze zrozumieniem, wyczuwając trudność, jaką ta rozmowa sprawia dziewczynie.

– Chcesz mi sama coś powiedzieć? – zachęcił ją.

– O czym mam panu opowiadać?

– Opowiedz mi o sobie.

– O swoim dzieciństwie?

– Tak – odrzekł Giovanni. – O swoim dzieciństwie, jak najbardziej.

– Niewiele pamiętam – broniła się, oblewając się rumieńcem.

– Kiedy się tutaj sprowadziłaś?

– Jak miałam sześć lat.

– Pamiętasz coś z czasów, zanim skończyłaś sześć lat?

– Pamiętam, że mieszkaliśmy nieopodal kapucynów, na ulicy, która prowadzi na cmentarz.

– Podobało ci się tam?

– Bo ja wiem...

Przyjęła wyczekującą pozę, lękliwie unosząc ramiona.

Giovanni wziął pióro do ręki.

– Opowiedz mi, co pamiętasz z czasów, kiedy tu zamieszkaliście.

– Mieszkaliśmy w pobliżu pola – odpowiedziała Maria, ledwie rozchylając wargi. Mówiła z oporem, niepewnie rozglądając się po pokoju. – Był też mój

tata... – Przerwała, chcąc chyba przemyśleć to, co właśnie powiedziała, jakby nie chciała lub nie mogła dodać nic więcej.

– Twój tata... – powtórzył Giovanni, by ją zachęcić do dalszego mówienia.

– Mój tata zmarł, kiedy się tu sprowadziliśmy – przypomniała sobie, dzielnie wytrzymując spojrzenie Giovanniego, mierząc się z tym wspomnieniem, które wciąż musiało ją dręczyć.

– Pamiętasz go?

– Tak.

– Pamiętasz, jak umarł?

Maria zmarszczyła czoło.

– Nie, nie pamiętam – odpowiedziała rozkojarzona. I dodała cicho, jakby nieco zdziwiona: – Nie myślę o tym.

– Od dawna nie myślałaś o swoim ojcu? – zapytał Giovanni. Niespodziewanie dla niego rozmowa potoczyła się we właściwym kierunku i musiał wykorzystać tę okazję.

– Od czasu do czasu myślę o nim.

– Pamiętasz, jaki był?

– Pamiętam go ze zdjęć.

– Dużo ich masz?

– Kilka – odpowiedziała. – Ale wszystkie są czarno-białe.

– Wolałabyś kolorowe?

– Tak. Nie wiem.

Giovanni położył pióro między białymi kartkami notatnika.

– Może miałabyś ochotę kiedyś przynieść zdjęcia swojego ojca?

– Tak...

Przez kilka sekund nic nie mówili, potem Giovanni rzekł:

– Zatem sprowadziłaś się tutaj, kiedy miałaś sześć lat, jeśli dobrze zrozumiałem.

– Tak, miałam sześć lat.

– I jak się tu poczułaś?

– Dobrze.

– W tej dzielnicy jest wielu młodych ludzi w twoim wieku.

– Tak.

– Od razu się z kimś zaprzyjaźniłaś?

– Tak – odpowiedziała. – Z Grazią i Immacolatą. Ale teraz one wyjechały.

Wyszły za mąż.

– Wyszły za mąż w młodym wieku.

– Jako osiemnastolatki.

– Są nieco starsze od ciebie.

– Tak. Chodziłyśmy razem do krawcowej.

- A gdzie teraz mieszkają?
- Grazia wyjechała do Australii. Immacolata do Niemiec.
- Utrzymujecie jakieś kontakty?
- Nie, od tamtej pory nie miałyśmy ze sobą żadnego kontaktu. Giovanni przytaknął i zauważył, że Maria ma zaciśnięte pięści.
- Jak się czujesz, Mario? – zapytał.
- Dobrze.
- Rozluźnij dłonie i oddychaj – poradził jej.
- Maria zobaczyła, że nerwowo zaciska dłonie i otworzyła je.
- Oddychaj – powtórzył Giovanni.
- Przy pierwszym wdechu Maria ledwie rozchyliła wargi, drugi był już nieco głębszy.
- Przywyknij do myśli, że przychodzisz tutaj, aby poczuć się lepiej – dodał jej odwagi Giovanni.
- Jestem podekscytowana – powiedziała Maria. Jej czoło lekko szkliło się od potu.
- To normalne – ocenił.
- Nie wiem, co mam panu powiedzieć...
- Tymczasem masz tak wiele do opowiedzenia – odparł Giovanni z uśmiechem. – Zamknij oczy i oddychaj, może przypomnisz sobie coś, o czym chciałabyś mi opowiedzieć.
- Maria zamknęła oczy i wciągnęła powietrze przez nos.
- Powoli – zasugerował. – W przeciwnym razie zakręci ci się w głowie.
- Maria przytaknęła i znów skoncentrowała się na swoim oddechu. Giovanni zostawił ją w spokoju, dopóki nie otworzyła ponownie oczu, obudzona światłem poranka.
- Czasami myślę o ziemi... – powiedziała po kilku sekundach.
- W jakim sensie?
- O ziemi – powtórzyła Maria, wskazując na podłogę. – O ziemi kasztanowego lasku na przykład. Zawsze to mi przychodzi na myśl, ale nie wiem dlaczego.
- Lubisz myśleć o ziemi?
- Nie wiem. Myślę o niej.
- Czy masz jakieś wspomnienie związane z ziemią?
- Nie wiem.
- Co sobie wyobrażasz, kiedy o niej myślisz?
- Nic – odpowiedziała. – Wyobrażam sobie ziemię. – Wstrząsnął nią długi dreszcz, aż uniosła ramiona.
- Masz na myśli konkretną ziemię kasztanowego lasku?
- Może.
- Często chodzisz do tego lasku?

– Nie.  
– Jak byłaś dzieckiem, często tam chodziłaś? – zapytał, podążając za jakimś nieznanym jeszcze odczuciem.

– Tak.  
– Razem z przyjaciółkami?  
– Chodziłyśmy się tam bawić.  
– W chowanego? – powiedział, by dać jej jakiś punkt zaczepienia do dalszej opowieści.

– Między innymi.  
– W co się jeszcze bawiłyście?  
– Grałyśmy w klasy, skakałyśmy przez skakankę...  
Maria mówiła z oporem, toteż Giovanni pomyślał, że może lepiej będzie dać jej spokój. Nie chciał przesadzić. Przynajmniej nie podczas pierwszego spotkania, nie wypracował przecież jeszcze określonych elementów oceny.

– Twoje przyjaciółki skończyły szkołę? – zapytał.  
– Grazia i Immacolata nie.  
– Nawet nie ukończyły gimnazjum?  
– Nie.  
– Tak jak ty.  
– Tak.  
– A ty lubiłaś chodzić do szkoły?  
– Tak. Ale nie lubiłam matematyki.  
– Chodziłaś do sióstr?  
– Do podstawówki.  
– Jak się dogadywałaś z siostrami?  
– To zależy. Były siostry dobre i siostry złe.  
– Dlaczego „złe”?  
– Niektóre siostry są złe.  
– Ale z innymi dobrze się dogadywałaś.  
– Tak, zwłaszcza z taką jedną, nazywała się siostra Ernestina.  
– A jak się nazywała ta, z którą niezbyt się zgadzałaś?  
– To była matka przełożona. Nie znosiłam jej, a ona nie znosiła mnie.  
– Dlaczego?  
– Bo mówiła, że jestem dzika.  
– I to była prawda?  
Zaśmiała się.  
– Robiłam to, co wszyscy – odpowiedziała. – Ale raz, żeby zrobić jej na złość, wytarłam sobie tyłek ręcznikiem, który był w łazience, a potem wrzuciłam go do gabinetu.

– I ona cię nakryła?

- Nie.
- Ale pomyślała, że to ty zrobiłaś?
- Nie wiem.
- To dlaczego uważała cię za dzikuskę?
- Bo kiedy byłam mała, złościłam się na wszystkich.
- A teraz? – zapytał, by skierować rozmowę na teraźniejszość.
- Teraz jestem spokojna.
- Miałabyś ochotę opowiedzieć mi o tym, co się z tobą ostatnio dzieje?
- Dlaczego?
- Jeśli masz ochotę...
- Chce mi pan powiedzieć, że nadal jestem dzika?
- Nie.

Maria poruszyła głowę w geście odmowy.

- Nie chcę o tym mówić.
- Powinnaś o tym mówić tylko wtedy, gdy czujesz się na siłach, by o tym opowiadać, Mario – przykazał jej stanowczo Giovanni.
- Nigdy nie zmuszę cię do mówienia o czymś, o czym nie chcesz mówić.
- Dobrze.
- Jeśli chcesz się poczuć lepiej – ciągnął – musisz spróbować się coraz bardziej otwierać. Uzdrawienie na tym właśnie polega. Im więcej będziesz mówić o sobie, tym lepiej się poczujesz.
- Tak.
- Wystarczy ci na dzisiaj?
- Jak pan uważa.
- Jesteś zmęczona?
- Teraz tak.
- W takim razie na tym skończymy.
- Tak.

Rozmawiali jeszcze parę minut, po czym Maria wstała i wyszła na zewnątrz, gdzie spotkała matkę czekającą na nią przed garażem. Dziewczyna była zmęczona i musiała oprzeć się na ramieniu matki, by wrócić do domu.



Livia Antonietta włożyła brokuły do zlewu i poszła otworzyć drzwi. Matka dopiero co się położyła do łóżka, a ona od razu skorzystała z okazji, by dokończyć pewne sprawy, które miała jeszcze do zrobienia. Spróbowała zerknąć przez okienko obok drzwi, ale szyby zaszyły mgłą z powodu pary dobywającej się z kuchni. Nie była w stanie zobaczyć, kto to może być.

– Kto tam? – zapytała cicho, otwierając jednocześnie drzwi.

– To ja – odpowiedział ksiądz Edoardo trzymający w dłoni różaniec.

– Witam, księżo Edoardzie – powiedziała Livia Antonietta, odsuwając kosmyk włosów z twarzy. – Proszę wejść.

– Nie, tylko tędy przechodziłem – odparł kapłan, podnosząc rękę, by zapobiec dalszym zaproszeniom.

– Czemu zawdzięczam taki zaszczyt? – zapytała, jakby nie widzieli się od dawna.

– Przede wszystkim, jak się czuje mama?

– Teraz lepiej.

– Nie widziałem jej już od ponad tygodnia.

– Musi wypoczywać. Zalecenie lekarza – powiedziała Livia Antonietta, niemal tracąc cierpliwość. – Proszę nie stać na zewnątrz. Jeszcze się ksiądz przeziębi.

– Tymczasem jestem rozgrzany. Spaceruję już od siódmej rano.

– Gdzie ksiądz był?

– Doszedłem aż do ostatnich domów przed kasztanowym laskiem.

– Aż tam?

– Tak – odparł ksiądz. – Odwiedziłem także Gino, zarządcę, bo źle z nim. Bardzo źle.

– Co mu jest?

– Ach! – powiedział ksiądz Edoardo z westchnieniem ulgi. – Wstrętne chorobsko, niestety. Jedno z tych, które nie odpuszczają.

– Przykro mi.

– To taki dobry człowiek.

Potrząsnął głową.

– Ale niech się dzieje wola Boża! – dodał.

– Na wieki wieków – wyrecytowała Livia Antonietta. – Na pewno nie chce ksiądz się rozgościć?

– Tylko jedno słówko – powiedział, podchodząc bliżej. – Czy ma pani jakieś wieści o Marii?

– Nie.

– Nie widziała się pani z Giovannim?

– Nie, nie widziałam się z nim parę dni.  
– Pukałem do niego, ale go nie było.  
– Zwykle wychodzi wcześniej rano.  
– Wie pani, dokąd chodzi?  
– On też lubi spacerować. Często przechadza się po kasztanowym lasku.  
– Mówi pani, że mogę go tam spotkać?  
– Może ksiądz spróbować.  
– Wobec tego tak zrobię.  
– Ale będzie musiał ksiądz wrócić aż tam na górę.  
– Przyzwyczaiałem się. – Chwycił ją za rękę. – Serdeczności! I całusy dla mamy!

– Dziękuję, księżę Edoardzie.  
– Dziękuję pani.

Ksiądz ruszył dalej.

– A może zrobię coś ciepłego? – zawołała za nim Livia Antonietta.

Kapłan odwrócił się i poruszył palcem wskazującym prawej ręki na znak odmowy. Potem skręcił za rogiem. Livia Antonietta wróciła do siebie, wstawiła brokuły pod bieżącą wodę i poszła na górę upewnić się, czy mama czuje się dobrze. Spała głęboko. Wróciła więc na dół i starannie umyła zieleninę. Od paru już dni próbowała nie myśleć o Giovannim. Mocno go pożądała, ale nie chciała ulec pokusie. To było zbyt łatwe w jej wieku. Potrzeba miłości i czułości, może także pewnej stałości, dawała się jej we znaki, ale wiedziała zarazem, że Giovanni może nie być odpowiednim dla niej mężczyzną. Przeszłość nie miała z tym nic wspólnego. Dawne zauroczenie zdążyło już wyblaknąć. Albo może z biegiem lat nauczyła się je tylko lepiej kontrolować. Z Giovannim wiązało się zbyt wiele znaków zapytania. Zastanawiała się, na ile może być wiarygodny tego rodzaju mężczyzna, ale nie potrafiła znaleźć na to pytanie odpowiedzi. Zakręciła kran z wodą i poszła usiąść na tapczaniku przy wejściu. Lustro obok kredensu odbijało jej bezbarwny obraz. Nie rozmawiała również z Vincenziną. Nie wiadomo, czy w ogóle Maria zaczęła już terapię. Ciekawe, jak się czuje. Obiecała sobie, że skoczy do niej późnym popołudniem, po czym wzięła z gazetnika jakiś magazyn mody. Przekartkowała go, odłożyła na bok i wstała z tapczanika. Zarzuciła płaszcz i wyszła z domu.

Po jakichś dwudziestu minutach spotkała Giovanniego, który właśnie wychodził z ogrodu ubrany w barchanowe spodnie wsunięte w ubłocone kalosze. Zawołała na niego i podeszła bliżej. Deszczowe chmury gęstniały nad wierzchołkiem kasztanowego lasku.

- Cześć – pozdrowiła go lekko podnieconym głosem.
- Cześć, Anto – odpowiedział, zamykając zasuwkę.
- Widzę, że ostro się wzięłeś do roboty.
- Chcę trochę uporządkować przed Wielkanocą, a potem zacznę sadić.
- Ciccio ci pomaga?
- A któż by inny?

Uderzył w nich silny podmuch wiatru.

- Lepiej chodźmy stąd – doradził Giovanni.

Schronili się pod sypiącym się balkonem jakiegoś opuszczonego domu.

– To miejsce przypomina mi dom obrośnięty glicynią – powiedziała Livia Antonietta.

Giovanni lekko się wzdrygnął.

- Nadal istnieje? – zapytał.
- Oczywiście.
- Przecież już wtedy nikt tam nie mieszkał.
- Ale glicynia wyrasta wciąż co roku.
- Musiał to być dom jakiegoś wieśniaka, może miejsce schronienia – domyślał się.

– Nigdy o tym nie słyszałam – powiedziała Livia Antonietta. – Stał tam, zanim się urodziła moja mama.

- Był zrobiony ze słomy i tufu, jeśli się nie mylę.

- Ledwie się trzymał.
- Kiedy tam byłaś ostatni raz?
- Nie więcej niż rok temu.

Pierwsze krople deszczu rozbiły się o ziemię, gęste niczym żelatyna.

- Złapie nas deszcz – zauważył Giovanni. – Lepiej chodźmy stąd.

Ledwie to powiedział, a deszcz lunął jak z cebra. Giovanni i Livia Antonietta przysunęli się do muru. Na szczęście wiatr jeszcze nie wiał w ich kierunku. Gwałtowna ulewa przetoczyła się przez ulicę Grimaldiego, okrywając cieniem domostwa oraz tarasy obrosnięte winoroślą.

- Nie możemy się stąd ruszyć – zauważyła Livia Antonietta.

– Przemokłaś? – zapytał Giovanni, patrząc, czy woda już zaczęła zalewać jej stopy.

- Nie, jeszcze nie.

– Mogłaś włożyć wygodniejsze buty, na przykład kalosze, a nie te buciki na obcasie.

- Skąd mogłam wiedzieć, że zacznie padać?
- Nie mogę ci dać moich kaloszy – zażartował.
- Myślę, że nie – zgodziła się z nim. – Jaki numer nosisz?
- Czterdzieści cztery.

Zaczęli się śmiać.

- Szukał cię ksiądz Edoardo.

- Tak. Widzieliśmy się.

- Pytał o Marię.

- Wyjaśniłem mu, jak się rzeczy mają – zreferował Giovanni.

– Maria zaczęła przychodzić na wizyty. Właściwie była tylko raz, ale jestem pewien, że nadal będzie przychodziła.

Livia Antonietta sprawiała wrażenie, jakby zaczęła ją nurtować jakaś myśl.

- A ksiądz Edoardo nie został przypadkiem gdzieś na zewnątrz? – zapytała.

– Gdzie go widziałeś?

– Nie martw się – uspokoił ją Giovanni. – Kiedy się rozstaliśmy, poszedł prosto do kościoła.

Rozpadało się na dobre, a od zacinającego deszczu zaczęły moknąć im ubrania.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko tu przeczekać – powiedziała.

- Dwa kroki i jesteśmy u mnie w domu – zaproponował Giovanni.

– Tak, i w ten sposób będziemy cali w błocie – zaprotestowała Livia Antonietta.

- Idę po parasol.

- Nie, daj spokój, nie ruszaj się. Za parę minut przestanie padać.

- Nie sądzę.

Livia Antonietta podniosła ku niemu oczy. Już od paru minut pragnęła spojrzeć mu w twarz.

- Nie chcę, żebyś się przemoczył.
- Ale może ty musisz wracać do domu.
- Nie, jak wychodziłam, mama spała.

Giovanni przypatrzył się strugom deszczu, jakby chciał znaleźć jakiś przesmyk, by się między nimi prześlizgnąć.

- Idę po parasol – powiedział.
- Nie ruszaj się!

Giovanni zarzucił kaptur kurtki na głowę i pobiegł w stronę domu. Po krótkiej chwili już wracał z parasolem, który musiał trzymać obiema rękami, by nie dać go sobie wyrwać z powodu podmuchu wiatru lub deszczu.

- Odprowadzę cię do domu – powiedział.
- Dobrze.

Livia Antonietta przytuliła się do niego i razem podążyli w kierunku ulicy San Pasquale.

W końcu zdołała ją przekonać. Vincenzina próbowała protestować, ale Maria była nieugięta. Nie zgodziła się, by matka odprowadziła ją do doktora, chciała pójść tam sama, przejść ulicą bez jej towarzystwa, wejść do garażu i po mocno powykrecanych stromych schodach dostać się do wąskiego przejścia, które prowadziło prosto do gabinetu.

Ubrała się i wyszła z domu wcześniej niż należało. Ileż myślała o tym pierwszym spotkaniu i jeszcze teraz nie przestawała przypominać sobie pewnych momentów z tamtej wizyty. Spodobała się jej rozmowa z Giovannim Buscemim, choć trudno jej przychodziło nazywać go „doktorem”. Ten mężczyzna zupełnie na takiego nie wyglądał. Był bardziej spowiednikiem, a przede wszystkim w jego spojrzeniu nie było cienia fałszu. Nie pierwszy raz o tym myślała. W jego sposobie zachowania była jakaś prostolinijność, która czyniła go kimś godnym zaufania, bliskim. Taki potrafi być tylko przyjaciel.

Zatrzymała się w pobliżu fontanny i rozejrzała dokoła. Powietrze było nieruchome, a kilka przechodzących tamtędy osób nie zwróciło na nią wcale uwagi. Pomyślała, że wszystko znów staje się normalne. Jeszcze trochę i minie zima, zabierze z sobą cały ten koszmar, który jej zablokował duszę, nie pozwalając być sobą, sprawiając, że nie poznawała siebie.

Napiła się ze źródelka.

Ileż rzeczy miała do opowiedzenia. Nie wiedziała, od czego zacząć, ale teraz była pewna, że chce to zrobić. Posmutniała na chwilę. Na pewno powinna opowiedzieć o swoich nocach, o zmarłych, którzy ją odwiedzali, o tym cieniu, który niepokojnie krążył po jej domu i chciał być przy niej blisko. Od wielu już dni go nie widziała, a od jeszcze dłuższego czasu jej sny jakby się rozrzedziły, były bez konsystencji, pozbawione tego napięcia, które powodowało, że czuła się źle i już wczesnie rano musiała wymiotować.

Czy powinna o tym wszystkim powiedzieć doktorowi?

Poczuła się przybita swoją własną historią, tak jakby tworzyła ona barierę dla jej uzdrowienia. Na ile jej przeszłość i wszystkie te rzeczy, które się jej przydarzyły, mogły być dla niej przeszkodą? Może powinna ukryć część prawdy? Tymczasem doszła do garażu. Ledwie minęła dziesiąta. Po drugiej stronie ulicy rosło pochylone niewielkie drzewko oliwne, tak jakby niezdarnie posadzone korzenie na kilku metrach ziemi nie wystarczały mu, aby się utrzymać. Spodobał się jej kolor jego listków. Nie było piękniejszej barwy, która byłaby w stanie zdefiniować jej dzieciństwo albo nawet jej życiowe zamiary. Ona była jak gałązka oliwna: chciała nieść pokój. Zawsze o tym myślała i nadal w to wierzyła.

– Dobrze się wyspałaś? – zapytał Giovanni, kryjąc twarz w cieniu przed oknem gabinetu.

– Tak.

Uśmiechnął się.

– To dobry znak, że przyszedłaś dokładnie o umówionej godzinie.

– Dlaczego?

– Bo zależy ci, aby tu być.

– Skąd pan to wie? – zaintrygowana spytała bez ogródek.

– W tej pracy punktualność jest ważna. I świadczy o pragnieniu poczucia się lepiej. – Usiadł.

– Wczoraj wieczorem robiłam wdech – powiedziała Maria. – Tak jak mi pan doradził. Oddychałam i przywoływałam wspomnienia.

Giovanni lekko poruszył głową. Maria podjęła grę. Wzrokiem zachęcił ją, by mówiła dalej.

– Ustawiłam je sobie po kolei – ciągnęła dalej dziewczyna. Miała starannie ułożone włosy i ani śladu makijażu na twarzy oraz rozbiegane i lekko podkrążone oczy.

Giovanni zauważył pewien niepokój, który towarzyszył każdemu jej gestowi lub wypowiedzi, i podniósł rękę, żeby jej przerwać. – Pamiętaj, Mario, że ważny jest oddech – zachęcił ją po ojcowsku. – Koncentruj się zawsze na swoim oddechu: to pomoże ci odnaleźć spokój.

– Dobrze.

– Mówiłaś mi, że poukładałaś swoje wspomnienia po kolei. Masz na myśli w porządku czasowym?

– Tak.

– Odkryłaś coś nowego?

– Tak, jedno – odparła. – Moje pierwsze wspomnienie.

Giovanni splótł dłonie na wysokości twarzy i oparł podbródek o nadgarstki.

– Przyszło mi na myśl nagle – kontynuowała Maria, rozpalona na twarzy, jakby przed ujawnieniem czegoś ważnego. – Jest w tym także mój tata. – Musiała to dodać od razu.

– Chcesz mi o tym powiedzieć? – zapytał Giovanni. – Co się dzieje w tym wspomnieniu? Jest jakiś szczegół, który utrwalił ci się w pamięci?

– Stoję przed fontanną i daję sto lirów mojemu ojcu. Ale nie pamiętam jego twarzy. Staram się w niego wpatrywać, lecz ta twarz ciągle się zmienia.

– Chcesz powiedzieć, że widzisz inne twarze? – zapytał zaciekawiony Giovanni.

- Tak, twarze, których nigdy wcześniej nie widziałam.
- Również twarze ci znane?
- Jedną.
- Pamiętasz czyją?
- Majstra Alfonsa.
- Czy majster Alfonso przypomina twego ojca?
- Był do niego podobny. Umarł ponad dziesięć lat temu.

Giovanni przytaknął.

- Był podobny do twego ojca? – poprawił się.
- Nie.
- Ale przypomina ci go z jakiegoś powodu?
- Nie wiem. Był cholewkarzem.
- Szewcem.
- Tak, szewcem.
- A czym się zajmował twój ojciec?
- Sprzedawał owoce i warzywa. Miał winnice i posiadłości.
- I co, macie je nadal?
- Jakieś tam posiadłości mamy.

Giovanni oparł rękę na poręczu, a tymczasem dzwony kościoła Świętego Rocha oznajmiły koniec mszy. Pokój był oświetlony wielobarwnymi promieniami słońca, które rozmywały się na wysokości ścian i posadzki.

- Pamiętasz, dlaczego dałaś sto lirów swojemu ojcu?
- Nie – odpowiedziała Maria, poruszając głową. – Może dlatego, że mama była w szpitalu.
- Pamiętasz, dlaczego była w szpitalu?
- Wyrosła jej jakaś kość w ustach. Chyba dlatego.
- Pamiętasz swoją matkę z tą kością w ustach?
- Tak, czasami nie była w stanie ich zamknąć. Cały czas miała usta lekko otwarte.
- A na co miało być przeznaczone te sto lirów?
- Żeby opłacić lekarza, chyba.
- Jak się czułaś, widząc swoją matkę z tą kością w ustach?
- Było mi przykro.
- A twój ojciec?
- Jemu również było przykro.
- Dobrze ci było z ojcem?
- Tak.
- Chcesz mi o nim opowiedzieć? To, co pamiętasz?

– Pamiętam, że był wysoki... – zaczęła mówić, ale nie znalazła siły, by kontynuować. Grymas bólu przemknął po jej twarzy, przenikając także zdezorientowa-



ne oczy. Próbowwała powstrzymać płacz, ale Giovanni chciał ją właśnie do tego doprowadzić. Tylko płacz i świadomość, która by z niego wypłynęła, mogły pomóc tej dziewczynie.

– Tata był dobry...

– Tak.

– Co pamiętasz z czasu, który z nim spędziłaś?

Maria spuściła głowę.

– Zawsze mnie szuka, mój tata – wypowiedziała dziecięcym głosem. – Nigdy mnie nie opuszcza. Kocha mnie. Troszczy się o mnie zawsze...

Wyprostowała się na krześle, jakby dopiero co wybudziła się z jakiegoś transu, i rozejrzała się dokoła zdezorientowana. Sprawiała wrażenie, jakby pytała, gdzie jest i kim jest ten człowiek, który nie przestaje się w nią wpatrywać. Przypomniała sobie o oddechu, zaczerpnęła powietrza i wówczas to chwilowe zagubienie zdawało się zanikać, rozmywając się w jej oczach. Była znów sobą, a Giovanni czekał, aż znów zacznie mówić.

– Czujesz, że twój ojciec jest bardzo blisko ciebie – wysnuł przypuszczenie.

– Tak.

Raz jeszcze zamilkła, przybierając bardziej sztywną i surową pozę. Było jasne, że tego ranka już się nie rozluźni, ale coś w niej jednak znalazło ujście na zewnątrz. Giovanni odniósł wrażenie, jakby Maria stale musiała przejmować kontrolę nad sobą, jakby musiała uważać, by nie pozwolić odsłonić jakiejś części siebie, nad którą nie mogła w żaden sposób zapanować. Na kilka ułamków sekundy jej głos się zmienił, stał się bardziej modulowany, może nawet bardziej swobodny w wyrażaniu prawdziwych uczuć, ale ile mogło ją kosztować pełne wypowiedzenie tego, co naprawdę czuje? Co mogło wyjść na zewnątrz? I co miał wspólnego z tym wszystkim jej ojciec?

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć? – nalegał.

– O czym?

– O swoim ojcu. Opowiedz mi o jakimś dniu z nim spędzonym.

– Niewiele pamiętam.

– Byłaś kiedyś z nim w pracy?

– Tak.

– Chodziłaś zbierać owoce i warzywa?

– Zbierałam owoce, które spadły z drzew.

– A potem?

– Układałam je w skrzynkach – odpowiedziała. – To pamiętam. Wkładałam *perziche* – powiedziała w dialekcie, ale zaraz się poprawiła: – Wkładałam brzoskwinie do skrzynek pojedynczo, w rzędzie, ładniejszą i bardziej kolorową stroną do góry. Mój tata mi mówił, żebym tak robiła. – Przerwała na chwilę. – Miałam je odpowiednio poukładać, a po zapełnieniu kolejnej skrzynki dawał mi pięćdziesiąt

lirów. Ja zaś je zbierałam. Wkładałam je do stojącego koło łóżka garnka z przykrywką.

Wydała się zdumiona tym, co właśnie opowiedziała.

– Nie pamiętałaś tych szczegółów? – domyślił się Giovanni.

– Nie...

– Lubiałaś zbierać różne rzeczy?

– Chciałam zbierać pieniądze, pragnęłam mieć ich dużo. Chciałam pomagać wszystkim.

– To z tego powodu je zbierałaś?

– Tak.

– Dla ciebie ważne jest pomaganie innym?

– Pan Bóg chce tego ode mnie. Chce, abym pomagała tym, którzy tego potrzebują.

Giovanni przyznał jej rację, aby zrobić sobie chwilę przerwy. Musiał być teraz ostrożny. Jedno niewłaściwe zdanie mogło zaprowadzić go w ślepy zaułek.

– Jesteś bardzo mocno związana z Kościołem – powiedział, aby sprawdzić reakcję Marii.

– Tak.

– Widzę, że masz bardzo silną więź ze swoją najbardziej religijną częścią.

– Tak, ja zawsze myślę o Bogu, a On mi odpowiada.

– W jaki sposób?

– Słyszę to, co chce mi powiedzieć.

– Co ci mówi?

– Wiem, co mam robić. Zawsze to wiedziałam.

– Interesuje mnie ten temat. Chcesz mi o nim opowiedzieć?

Maria nadal trzymała ręce na brzuchu, w pozycji, która musiała być dla niej zwyczajna.

– Kiedy się modlę i proszę o coś Boga, wiem, że On mi odpowiada, bo czuję się lekka – powiedziała. – Kiedy staję się lekka, to dlatego, że Pan mówi mi, iż czynię coś słusznego, że to, co chcę zrobić, jest słuszne.

– Masz na myśli tych, którym chcesz pomóc.

– Tak.

– Myślisz, że Pan chce tylko tego, abyś pomagała innym.

– On chce tego ode mnie.

– A kiedy zaczęłaś to odczuwać?

– Kiedy miałam dziesięć lat.

– Co się wtedy wydarzyło?

– Był taki chory kotek – odpowiedziała. – Umierał, a ja tego nie chciałam.

Modliłam się do Boga i do Matki Boskiej, do obojga, aby nie pozwolili mu umrzeć. Kotek miał w oczach wypisaną chorobę, niechybnie groziła mu śmierć, ale ja mo-

dliłam się, a im bardziej się modliłam, tym bardziej stawałam się lekka, i wtedy zrozumiałam, że to, co robię, jest słuszne.

Maria przerwała, oczekując następnego pytania Giovanniego.

– A co z kotkiem? – istotnie zapytał.

– Nie zdechł. Ale potem, po kilku latach, odszedł. Nigdy go więcej nie widziałam.

Giovanni zacisnął usta. Bardzo łatwo byłoby mu zinterpretować to, co się wydarzyło, ale chciał, aby Maria sama mu o tym opowiedziała. W jej wyznaniu – zakładał – kryje się znacznie więcej, niż można było wywnioskować na pierwszy rzut oka.

– Mów dalej... – zachęcił ją.

– Zdarza mi się tak – podjęła myśl Maria. – Od tamtej pory modłę się za wszystkich. I zdarzało mi się wiele innych tego rodzaju historii.

– Myślisz zatem, że modlitwa może zbawić ludzi, może im pomóc wyzdrowieć.

– Tak, tak właśnie jest. Ale nie wszyscy mogą to uczynić.

– Ty możesz to zrobić?

– Ja tak, ale nie zawsze. – Westchnęła, jakby chciała powiedzieć coś zupełnie innego. – To nie o to chodzi. Ja muszę pomagać innym...

– I właśnie dlatego odwiedzasz starsze osoby?

– Skąd pan o tym wie? – zapytała, złowrogo wyostrozając spojrzenie.

– Mówił mi o tym ksiądz Edoardo.

– Starsi ludzie nas potrzebują... – powiedziała, niemal jakby chciała się usprawiedliwić.

– Masz rację.

– Kiedy jestem przy nich blisko, czuję się dobrze – stwierdziła.

– Czuję, że cała moja skóra jest świeża, ale nie jest to taka świeżość, jak kiedy indziej. Czuję, że to jest Bóg – wypowiedziała to na głębokim wydechu. – Czuję świeżość świata, a wie pan, co to jest?

– Co?

– To radość – odpowiedziała. – Starzy ludzie widzą ją we mnie, a ja potem widzę ją w ich oczach. Tego właśnie Bóg chce ode mnie.

Widok słońca jeszcze bardziej ją rozradował. Niebo było przejrzyste, jasne i połyskujące błękitem jak suknia Matki Bożej. Od miesiący nie była na spacerze, nie widziała parku. Poczwała, że może to zrobić, że ma siłę, by poruszać się między ludźmi, by znosić również spojrzenia tych, których znała, starszych pań siedzących przed domami lub napelniających koryta resztkami dla świń. Zeszła wzdłuż ulicy Grimaldiego i podążyła w stronę parku miejskiego imienia Carla Ruggiero. Zawsze lubiła przechadzać się między alejkami wewnętrznego parku, przyglądać się drzewom pochodzącym z całego świata, zachwycać się widokiem kwiatów i ozdobnych roślin. Kilka lat wcześniej był tu ogród w stylu angielskim, a ona niemal znajdowała jakąś wspólnotę z tym widokiem, tak odległym od jej sposobu życia. Przed paroma laty czytała jakąś książkę, w której między innymi była mowa o wrzosowiskach. Tam właśnie chciała pojechać. W swą pierwszą prawdziwą podróż udałaby się do Anglii. Całymi dniami chodziłaby po wrzosowiskach, spacerowałaby uliczkami małych miasteczek, spotykałaby nowych ludzi, a może nawet znalazłaby tam miłość. Tę prawdziwą. Tę, dla której jej serce biło i cierpiało. Z dala od tych miejsc, starych ruin i porywów duszy. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła czuć. Doświadczyć wielkości uczuć, spróbować je zmierzyć i wzrastać razem z nimi.

Minęła kościół Świętego Rocha, odwróciła się, szukając księdza Edoarda, który o tej porze zwykł przechadzać się po wybrukowanym dziedzińcu za zakrytą, po czym ruszyła prosto do pierwszej bramy z kutego żelaza, prowadzącej do parku. Weszła i pomaszerowała od razu do pospolitej jodły, drzewa, które lubiła najbardziej ze wszystkich. Nazywano je księciem lasów. Drzewo miało przynajmniej piętnaście metrów wysokości, a jego korona była koloru ciemnozielonego, a nawet granatowego, jego igły zaś białawe i błękitnawe. Nie było nikogo dokoła. Przyklękła więc i skierowała do niego modlitwę. Wstała, dotknęła kory, jakby chciała otrzymać jego błogosławieństwo, po czym ruszyła dalej żwirową aleją. Zobaczyła klon japoński, tulipanowiec i czerwony jałowiec z jagodami używanymi przez niektórych również jako przyprawa, aż w końcu dotarła do stawku z łabędziami. Były tam wciąż dwa ptaki od czasu do czasu spotykające się na swojej drodze, niewielkim obszarze wody, który miały do dyspozycji, wśród ławic czerwonych i złotych rybek. Przeszła pod tunelem wydrążonym w skale, pochylili się, by napić się z niewielkiej fontanny, i podążyła w stronę drugiego wyjścia, zamierzając dotrzeć aż do stawu, aby przedłużyć sobie tę chwilę rozkoszy. Niedawno otwarty plac zabaw wypełniony był dziećmi. Również ona zaczęła teraz myśleć o macierzyństwie. Była już w odpowiednim wieku, ale idea miłości, miłości fizycznej, burzyła jej spokój, jakby kryła w sobie jakąś tajemnicę cierpienia. Nie potrafiła sobie

tego wytłumaczyć i jej myśl pobiegła ku Giovanniemu. Mogła o tym z nim pomówić, ale jeszcze nie teraz. Było zbyt wcześnie, by podejmować pewne tematy. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiała, nawet ze swoją matką, mającą wyobrażenie grzechu, którego ona nie podzielała, choć wiedziała, że sama jest nim dotknięta i w jakiś sposób sama je powieła.

Dźwięk syreny oznajmił południe. Zrobiło się późno. Pomyślała o matce i o tym, co może jej powiedzieć, a potem pośpiesznie wróciła do domu.

– Wczoraj wybrałam się do parku – zaczęła mówić Maria. – Sama.

– Od dawna tam nie chodziłaś? – zapytał Giovanni.

– Tak.

Wstała wcześniej rano i całe przedpołudnie myślała o chwili, kiedy usiądzie na krześle i będzie mogła rozmawiać z Giovannim. To była jedyna ważna rzecz, jedyna, która się liczyła. Czuła, że godzi się sama z sobą, gdy tylko zobaczyła dwa krzesła z wysokimi oparciami, z czerwonymi obiciami, czyste i szerokie biurko oraz to duże okno, z którego przelewała się, ledwie przytłumiona, światłość dnia. Było ono podzielone na wiele kwadratów i można je było otworzyć na dwie strony, przekręcając brązową rączkę o antycznym kształcie. Często wpatrywała się w tę rączkę, była ona dla niej punktem odniesienia, aby zachować koncentrację. Chciała ją zachować. Każde słowo wypowiedziane przez Giovanniego miało konkretną wartość, którą ona przechowywała w pamięci jako cenne dobro.

– Chcesz mi o tym powiedzieć?

– Chcę spróbować zapomnieć – odparła Maria. – Nie chcę już myśleć o rzeczach, które mi się zdarzały.

– Czujesz się uzdrowiona?

– Czy to niemożliwe?

– Sama musisz mi to powiedzieć.

– A pan co o tym myśli?

– Ważniejsze jest to, co ty myślisz.

– Wczoraj czułam się dobrze – powiedziała łagodnie. – Wszystko było normalnie. – Przerwała, być może uświadamiając sobie, że jeszcze wcale tak nie było, że nic nie mogło jeszcze być normalne.

– Co się dzieje? – zapytał Giovanni.

– Nie wiem – odpowiedziała drżąca. – Być może się boję.

– Czego się boisz?

– Wielu rzeczy.

Giovanni odchylił głowę, dotykając oparcia.

– Wiesz, co myślę? – powiedział spokojnie. – Myślę, że powinnaś mi jeszcze opowiedzieć wiele rzeczy o sobie. Czy to możliwe?

– Tak – raptem odpowiedziała Maria, choć w rzeczywistości chciała milczeć lub częściowo skłamać.

– Daj się nieść słowom – poradził jej. – Pozwól, żeby swobodnie z siebie wypływały. Nie lękaj się mówić o rzeczach, o których nie chciałybyś mówić. Na tym polega sekret, rozumiesz? Sekret uzdrowienia tkwi w rzeczach, które odsłaniaasz, w faktach, które ci ciążyą na sercu, w emocjach, które ukrywasz lub nie masz

ochoty o nich mówić. – Przerwał, oczekując odpowiedzi, ale ta nie nadeszła. Maria wciąż potrzebowała, aby to on do niej mówił. – Wróć do swoich wspomnień – ciągnął dalej. – Zamknij oczy i wróć do swoich wspomnień. Sama zdecyduj, od czego zacząć. Możesz powrócić do swoich wypowiedzi, które pozostały niedokończone. Wiele ich zostało w zawieszaniu...

Maria zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać. Ogarnęła ją ciemność, ale oślepiające światło sączące się z dużego okna natychmiast uczyniło ją srebrzystą. Czowała się w nim dobrze, a wokół był przecież stale ten gabinet, który dawał jej schronienie. Mogła pójść wszędzie, mogła opuścić to miejsce i wrócić tu według uznania. Zobaczyła obraz swojego ojca, ale tym razem go odrzuciła. Pomyślała o zmarłych, o ich dotyku, ale nie chciała o tym mówić. Nie czowała się jeszcze wystarczająco pewnie, by to zrobić. Nie chciała, aby Giovanni wziął ją za kogoś, kim nie jest. Podobało się jej mówienie o Bogu i o lekkości, jaką jej daje, ilekroć się modli lub troszczy o innych, zwłaszcza o ludzi starszych. O tym mogła mówić. Mogła opowiedzieć też o swojej babci, o szczególnej więzi, jaka ją z nią łączyła, ale na co by się to zdało? Przypomniała sobie o ziemi, drążyła w niej, ale nie była w stanie niczego wydobyć na światło dzienne. Przynajmniej nie w tej chwili. Zobaczyła drzwi swojego domu, okno z zamkniętymi okiennicami.

– Czasami myślę, że chcę wyjść – powiedziała wreszcie.

– Wyjść skąd?

Głos Giovanniego dotarł do niej z oddali, jakby z innego pomieszczenia. Wciąż miała zamknięte oczy.

– Z mojego domu.

– Chcesz mi opowiedzieć o swoim domu?

– Nie, chcę opowiedzieć o tych chwilach, kiedy chcę z niego odejść.

– Dokąd chciałabyś pójść?

– Chcę okrążyć świat.

Powtórzyła to zdanie i z jej zamkniętych oczu zaczęły płynąć łzy. Nie chciała, by je widział. Niemal wstydziła się z powodu tego kolejnego płaczu, ale teraz go potrzebowała. Rozluźniła się na krześle i pozwoliła polać się łzom, wypłynąć na zewnątrz, gdzie nigdy jeszcze nie były.

Giovanni pozwolił się jej wypłakać, zadając sobie pytanie, jak by zareagowała, gdyby się do niej zbliżył, aby ją przytulić. Zapewne nie była zbyt przyzwyczajona do kontaktu fizycznego, a ojczym, przynajmniej do tej pory, był dla niej postacią raczej nieprzyjemną, o ile nie wręcz odrażającą.

Maria ogarnęła się. Otarła łzy, ale jej wargi nadal drżały, jakby długo jeszcze miał trwać ten intensywny moment odreagowania.

– Czy kiedykolwiek odbyłaś jakąś podróż? – zapytał ją Giovanni, być może również po to, żeby mogła łatwiej dojść do siebie.

– Nie.

- Nigdy nie wyjechałaś z Cittanova?
- Owszem, byłam u moich kuzynów w San Vito dei Normanni.
- W prowincji Brindisi.
- Tak – potwierdziła. – Tam moi kuzyni opiekują się domem księcia. Byłam tam przez tydzień.
- A poza tym? Zwiedziłaś jakieś miejsca?
- Pojechałam do Ivrei, ponieważ zmarła moja ciocia Vittoria. Pociągiem.
- To długa podróż.
- Tak, ale lubię pociągi.
- Lubisz myśleć o wyjeździe, o podróżowaniu.
- Tak.
- Przed chwilą – rzekł Giovanni, zwalniając tempo – gdy tylko powiedziałaś, że chcesz odbyć podróż dookoła świata, od razu zebrało ci się na płacz.
- Ponieważ czasami już nie mogę tu wytrzymać.
- Co nie pozwala ci podróżować? Odwiedzać krewnych, na przykład.
- Moja mama – odpowiedziała. – Moja mama nie chce, abym się stąd ruszyła.
- To ona nie pozwala ci wychodzić z domu?
- Tak.
- Twoja mama wydaje mi się osobą dość wyrozumiałą.
- Pan jej nie zna.
- Nie jest wyrozumiałą?
- Owszem, ale według niej powinnam pozostać tutaj – powiedziała z dezaprobatą. – Wcześniej przynajmniej spacerowałam z Grazią i Immacolatą. Teraz nawet nie wiem, z kim mogłabym wyjść.
- Brakuje ci tego?
- Odwróciła się do okna.
- Lubię patrzeć na uczniów z liceum, ale potem myślę sobie, że nie jestem taka jak oni, a winna temu jest moja matka.
- Dlaczego?
- Bo nie mogę się nigdzie ruszać – powiedziała niemal poirytowana. – Nie mogę być taka jak inni. Muszę być w domu. Muszę się uczyć na krawcową. Muszę robić to, co ona mówi.
- A czy to, co ona mówi, jest złe?
- Ona myśli, że to właściwe, ale dla mnie to jest złe.
- Próbowалаś jej to wytłumaczyć?
- Nie – odpowiedziała. – I tak wiem, że mam pozostać na swoim miejscu.
- Chciałabyś wrócić do szkoły?
- Chyba tak.
- To dlaczego tego nie zrobisz?



- Bo to niemożliwe.
- Twoja matka tego nie chce.
- Nie, nie chce.

Była rozdrażniona i coraz wyraźniej przyjmowała postawę obronną.

- Co byś zrobiła, gdybyś mogła wyjść z domu? – zapytał Giovanni.
- Chcę tylko wchodzić do domu i wychodzić z niego, kiedy mi się podoba.
- Nigdy tego nie mogłaś robić?
- Nie... – powiedziała niepewnie.
- Nigdy nie miałaś swobody wchodzenia do domu i wychodzenia z niego?
- Nie zawsze.
- Ale ostatnio byłaś stale w środku.

– Tak.

– Co się stało?

– Zaczęłam źle się czuć.

– Co ci było?

– Pewnego dnia niczego już nie rozumiałam.

– Co się wydarzyło?

– Byłam przy stole z moją mamą – zaczęła opowiadać. – Jadłyśmy. Potem, nie pamiętam już, co powiedziała, ale było to coś, co mi się nie spodobało, i wtedy chwyciłam ją za głowę i uderzyłam nią w stół.

– Nie pamiętasz, co mama powiedziała?

– Nie, nie pamiętam.

– Pamiętasz tylko, że uderzyłaś jej głową o stół.

– Tak.

– A twoja matka? Jak zareagowała twoja matka?

– Zemdlałam – przypomniała sobie Maria. – A kiedy się obudziłam, leżałam na łóżku.

– To od tego wszystko się zaczęło?

– Tak.

– A przed tym wydarzeniem? Czy zdarzyło się coś jeszcze?

– Nie.

– Miałaś już wcześniej objawy lunatyzmu?

– Nie.

Zaczęła się zachowywać niespokojnie. Giovanni szukał właściwych słów, by kontynuować rozmowę, ale ona go uprzedziła.

– Kiedy pierwszy raz się widzieliśmy, mówił pan o marzeniach. Powiedział pan, że są ważne.

– Oczywiście – potwierdził.

– Nie chcę spędzić mojego życia zamknięta tutaj – powiedziała.

– I to wprawia cię w złość?

– To również. – Skrzyżowała swój wzrok z jego spojrzeniem. – Nie chcę stracić moich marzeń. Mam je, od kiedy byłam dzieckiem. A gdy się modłę, Pan Bóg uśmiecha się do mnie, by mi powiedzieć, że powinnam nadal w nie wierzyć.

– To nie uchroniło cię przed tym, że czułaś się źle – zauważył Giovanni, między innymi po to, żeby wywołać w niej jakąś reakcję.

– Nie wiem, dlaczego tak się ze mną dzieje – broniła się Maria. – Pan myśli, że ja robię to celowo?

– Nie.

– Ludzie mówią, że jestem opętana, ale to nieprawda. I nie jestem też wariatką. – Zastanowiła się. – Nie wiem, co mi jest. A jeśli jestem tutaj, to dlatego, że myślę, iż pan jest w stanie mi pomóc.

– Spróbuję ci pomóc na wszelkie możliwe sposoby, Mario.

– Nie chcę już dłużej czuć się sama – powiedziała jeszcze, będąc o krok od płaczu.

– Nie jesteś sama, Mario. I nigdy nie byłaś.

– A właśnie że tak. Wszyscy mnie opuścili. Ale to nie moja wina. Nie wiedziałam, co robię.

– Nikt nie chce cię obwiniać za coś, za co nie ponosisz winy.

– Ale wszyscy mówią, że diabeł mnie opętał!

– Ty jednak wiesz, że diabeł nie ma z tym nic wspólnego.

– Nie wiem, z czym to jest związane. Nie rozumiem.

Spojrzała na niego, spragniona pociechy. Potem spuściła głowę na piersi i pozostała nieruchoma jak gołębica skulona z zimna.

- Czy pamiętasz cokolwiek, kiedy się budzisz?
- Nie.
- Pamiętasz jakiś sen, który ci się śnił tej nocy?
- Nie, prawie nigdy nie pamiętam snów.
- Ale w czasie nawrotów choroby ciągle starasz się wyjść z domu.
- Tak.
- Czy jest jakieś miejsce, do którego chciałabyś się udać?
- Nie.

Mówiła powoli, ledwie dosłyszalnym głosem, niemal nieobecny. A jednak to ona zaczęła mówić pierwsza. Przyszła już z taką intencją. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o swoim lunatyzmie, ale jednocześnie miała pewne opory przed podjęciem tego tematu. Odpowiadała rozproszona, pochłonięta tajemniczością światła i stojących w półmroku ciemnych mebli. Od czasu do czasu spoglądała na regał, jedyny punkt, gdzie biel okładek niektórych książek kontrastowała z ciemną szarością gabinetu.

- Czy coś przykuwa twoją uwagę? – zapytał Giovanni.
- Mogę wstać?
- Oczywiście.

Maria podeszła do regału. Palcem wskazującym przebiegła po książkach na półce i wzięła jedną z nich. Odstawiła ją na miejsce i wyciągnęła następną. Giovanni podszedł bliżej.

- *Farandola<sup>3</sup> serc* – przeczytała.
- Napisała przez Liałę<sup>4</sup> – doczytał Giovanni.
- Piękna okładka.
- Podoba ci się?

– Podoba mi się kościółek, który widać w tle – powiedziała. – I to białe drzewo, wygląda jak jodła w parku. – Dotknęła obrazka na okładce. – Ten z lewej to chyba cyprys – zauważyła.

- Duży, rozrośnięty cyprys – podkreślił Giovanni.
- Chętnie zamieszkałabym w takim miejscu.

– Tu u nas, wiele lat temu, kiedy żyła jeszcze rodzina księcia i kiedy nie było liceum, biegła tędy ukwiecona alejka, cała w glicyniach i bugenwillach. Spodobałaby ci się.

Maria położyła książkę na swoim miejscu.

- Jeśli chcesz, możesz ją wziąć – powiedział Giovanni.
- Ale przecież ona należy do księcia.
- Nie sądzę, by księcia lub jego krewnych interesowały jeszcze te książki.

Sprawisz im przyjemność, jeśli je trochę przewietrzysz.

Maria wzięła ponownie książkę i usiadła.

– Świat nie jest romantyczny – powiedziała.

– W jakim sensie?

– Nie jest jak książka o miłości.

– Być może to zależy od nas.

– Tak – rzekła. – Moje wyobrażenie miłości jest romantyczne.

– Sądzę, że wielu myśli tak jak ty.

– I miłość powinna być jedna na całe życie – podkreśliła z przekonaniem. –

Nie znoszę tych, którzy biorą ślub, a potem się rozchodzą albo zdradzają. Gdy ktoś przysięga wieczną miłość, to ona taka powinna być. Małżeństwo jest święte, a jeśli ktoś bierze ślub, to powinien to zrobić z miłości – powiedziała surowo. – Czy pan jest żonaty? – zapytała po chwili.

– Nie.

– Nigdy się pan nie ożenił?

– Nie.

Zmieniła się. Jej łagodna dotąd twarz stała się surowa i gniewna, rysy bardziej wyraziste.

– A ty? – zapytał Giovanni. – Masz narzeczonego?

– Nie – odpowiedziała czujnie Maria.

– Nigdy się nie zaręczyłaś?

– Nie, mama chyba by mnie zabiła.

– Nie pozwala ci wychodzić z chłopakami?

– W tych stronach nikt nie chodzi z chłopakami.

– A twoje dwie przyjaciółki, jak ich poznały?

– Przedstawili się ich rodzinom.

– A tobie nikt się nie przedstawił?

– Jeden, owszem, ale mama nieomal zepchnęła go ze schodów – powiedziała, słabo skrywając uśmiech.

– Dlaczego?

– Bo nie miał majątku.

– Majątek jest ważny?

– Dla mojej mamy tak.

– A dla ciebie?

– Dla mnie nie. Jak pan może o tym wszystkim nie wiedzieć? Jest pan przecież z tych stron.

– Tak, to prawda – powiedział Giovanni z lekkim uśmiechem.

– I nikt inny nigdy się do ciebie nie zalecał?

– Nie, nie mogą sobie na to pozwolić.

– Bo tak mówi twoja mama czy dlatego, że ty tak myślisz?

- Bo tak mówi moja mama.
- Ale ty lubisz, jak się ktoś do ciebie zaleca?
- Muszą to robić we właściwy sposób.
- Romantyczny.
- Oczywiście.

Nieco się zdenerwowała, że ich rozmowa zesłała na te tematy.

Miłość i seksualność to nie są kwestie łatwe do podjęcia podczas terapii – pomyślał Giovanni. A w przypadku Marii powinien być bardzo ostrożny. Kryła się w niej osobowość pełna kontrastów, która w pewnych momentach mogła nawet wyrazić się w wybuchach przemocy lub gwałtownych atakach. Giovanni jednak wyraźnie czuł, że to nie wystarczy, by wyjaśnić ten przypadek. Czegoś jeszcze nie był w stanie uchwycić, z czego być może nawet sama Maria nie zdawała sobie sprawy.

- Wróćmy do tych momentów, kiedy stajesz się lunaticzką – zdecydował.
- Tak...
- Zdarzyło ci się to przynajmniej pięć, sześć razy.
- Tak.
- Pamiętasz, czy przed pójściem spać zdarzyło ci się coś, co cię zaniepokoiło?
- Nie, nic takiego.
- Zdarzyło ci się to w dzień?
- Nie – odpowiedziała. – Nie pamiętam.
- Nigdy nie miałaś wrażenia w ciągu dnia, że budzisz się ze snu?
- Nie.
- A kiedy miałaś ataki?
- Co?
- Kiedy odzyskiwałaś świadomość po napadach, czy coś pamiętałaś?
- Pamiętałam, co narozrabiałam.
- Zaczynały się nagle?
- Tak.
- Bez żadnego wyjaśnienia lub motywu?
- Czasami moja mama powiedziała coś niestosownego i wtedy wpadałam w złość i łatwo traciłam kontrolę...
- Czułaś się inną osobą, kiedy to się zdarzało?
- Tak, właśnie tak się czułam.

Giovanni przez chwilę się zastanawiał. Mówił o tym wszystkim w czasie przeszłym, ale jak długo jeszcze może potrwać ten stan spokoju? I na ile można mówić o podwójnej osobowości? Szukał oczu Marii i stwierdził, że coś tu nie gra. Jest jeszcze coś innego, ale powinien zachować cierpliwość. Maria musi przyzwyczaić się do niego, a przede wszystkim do konfrontacji z samą sobą.



Catuzza, zwana „męczyduszą” wzięła miotłę i zaczęła zamiatać przed swoim domem. Dzieci wyszły już ze szkoły, a dojeżdżający uczniowie wsiedli już do autobusów, by wrócić do swoich domów. Minęło wpół do drugiej i wreszcie ustał deszcz, który nieprzerwanie padał przez całe przedpołudnie. Od wielu lat nie było tak surowej i obfitującej w opady zimy. A teraz musiała jeszcze wyczyścić śliski chodnik z powodu piany, która się nagromadziła od czasu, gdy sama robiła mydło w domu.

Zobaczyła księdza Edoarda idącego drugą stroną ulicy i od razu wyciągnęła ku niemu szyję. Właśnie dlatego nazywano ją „męczyduszą”. Kiedy coś ją zainteresowało, natychmiast oczy się jej otwierały jakby oślezione w nocy światłem.

– Księżę Edoardzie! – zawołała, opierając się o miotłę. – Księżę Edoardzie!

Ksiądz zbyt późno ją zauważył i nie mógł już jej uniknąć. Uśmiechnął się i zrobił dobrą minę do złej gry. Podszedł do niej i najpierw ją pobłogosławił jakby w umówionym geście.

– Niech Pan Bóg księdzu wynagrodzi! – podziękowała mu, machając ręką. Na głowie miała chustkę zawiązaną pod szyją.

– Co tam słyhać? – zagadnął ksiądz Edoardo, mając nadzieję szybko zakończyć rozmowę.

– Nie ma mi ksiądz nic do powiedzenia? – zapytała kobieta.

– A cóż takiego miałbym pani powiedzieć?

– Teraz nawet ksiądz rozmawia z magami?

– Jakimi magami?

– Jak to „jakimi”? A Giovanniego Buscemiego jak ksiądz nazwie?

– Giovanni Buscemi nie jest magiem – wyjaśnił kapłan.

– Ksiądz go nie zna, księżę Edoardzie – odparła Catuzza, kiwając głową. – Ksiądz nie wie, z kim ma do czynienia. Proszę uważać! To prawdziwy szatan! Widziałam go, jak dorastał. Nie ufaj mu, księżę, i daj sobie z nim spokój. Niech idzie w diabły! – Pochyliła się w lekkim ukłonie. – Z całym szacunkiem, ale kiedy trzeba to powiedzieć, to trzeba!

Ksiądz Edoardo musiał uzbroić się w cierpliwość.

– Dlaczego tak pani mówi?

– Bo wiem, z kim ksiądz ma do czynienia.

– A skąd pani to wszystko wie?

– Chciałby ksiądz, żeby nikt o tym nie mówił? – rzekła kobieta, wbijając w niego swoje bystre i przebiegłe oczka. – Ale ja księdza tylko przestrzegam. Mówię to dla dobra księdza i samej Marii, biednej nieboraczki.

– Niech pani zrobi tak, Catuzzo – powiedział ksiądz Edoardo bardziej sta-

nowczym głosem. – Kiedy się pani zobaczy ze swoimi kumoszkami w kościele, niech sobie pani z nimi pogada, że Giovanni Buscemi nie jest taki, jak się wydaje. Ale na razie niech pani uszanuje człowieka, który robi wszystko, żeby pomóc tej udręczonej duszy.

– Tak mówią – próbowała się bronić kobieta, trzymając teraz miotłę w obu rękach.

– To pani o tym rozpowiada.

– Przysięgam na dusze moich zmarłych – oświadczyła, kładąc rękę na sercu.

– Nie ma w tym żadnej niestosowności. Mówię księdzu samą prawdę.

– Sprawy się zmieniły.

– A jak się czuje Maria? – zapytała Catuzza, odwróciwszy się twarzą w stronę rozmówcy.

– Lepiej.

– To dzięki księdzu diabeł został wypędzony!

– Nie ma w tym żadnego diabła, pani Catuzzo. Niech sobie to pani wbije do głowy.

– Jak ksiądz uważa, księżo Edoardzie.

– Może by lepiej pani jakoś pomogła w całej tej sprawie.

– A czy ja nie pomagam zawsze?

– Każdy ma swoje sumienie, przed którym powinien odpowiedzieć.

– Moje jest krystalicznie czyste jak źródłana woda.

– Miło słyszeć.

– I proszę mi wybaczyć, jeśli czymś księdza uraziłam, ale ksiądz wie, że zawsze staram się mówić prawdę i tylko prawdę.

Ksiądz Edoardo uśmiechnął się do niej, okazując więcej wyrozumiałości.

– Powinna się pani zająć polityką.

– Ja?

– Wie pani, jak używać właściwych słów.

– Dziękuję, ale jestem tylko prostą babką z kościoła.

– To jeszcze milej słyszeć.

– Ale nie taką, co to bije się w piersi jak poniektóre. – Mrugnęła okiem. – Rozumie ksiądz, prawda?

– Jakżeby nie?

Kobieta zbliżyła się do księdza Edoarda, niska i przygarbiona, jak kurczaczek do kwoki.

– A ksiądz niech się trzyma tego, co uważa – powiedziała. – Niech sobie ksiądz myśli, co chce. Ale niech nie zapomina moich słów. Ja nie mówię, żeby kogokolwiek urazić. Nigdy! Mówię w imię sprawiedliwości, księżo Edoardzie. Zawsze i wszędzie.

– Dziękuję, pani Catuzzo. Naprawdę.



Pośpiesznie udzielił jej kolejnego błogosławieństwa i wrócił na swoją drogę.  
Catuzza poprawiła sobie chusteczkę i chwyciła ponownie miotłę.  
– Ach, przyjdzie czas, że i ty zrozumiesz! – powiedziała do siebie.

Pokój był niewielki. Forestieri ledwie mógł się precyzyjnie przemieszczać między łóżkiem a oknem, które wychodziło na nieużywany już przez nikogo ciasny przesmyk między domami. Zamierzał jeszcze tylko parę razy zaciągnąć się papierosem, a potem się rozebrać. Sypiał w podkoszulku, nawet zimą, Vincenzina zaś kładła się niekiedy nawet w podomce. W nocy nigdy go nie szukała. Odwracała się do ściany, odmawiała swoje modlitwy i zasypiała, nie wiedząc kiedy, czasami jeszcze mamrocząc coś pod nosem. Forestieri obserwował ją, patrzył na jej posiwiałe włosy i zwiotczałą skórę, chustkę jak u kumoszek, ciężką koszulę nocną, zawiązywaną pod szyją na kokardkę. I zadawał sobie pytanie, jak to się stało, że ożenił się z kimś takim, wdową, dla której pewne rzeczy nie miały najmniejszego znaczenia. Co z tego miał? Może trochę dodatkowych pieniędzy. Pewność, że nie musi się zabijać w pracy, jak to widział u wielu innych. Tyle co konieczne – mówił sobie. Trzeba pracować tyle, co konieczne i zabawić się, kiedy można. Pomyślał o Teresie i zalała go fala bezsilności, zapierając mu oddech w piersiach. To łóżko było zbyt ciasne i nie miał swobody, by dać upust swoim żądzom.

– Trujesz mnie tym papierosem – poskarżyła się Vincenzina. – Nie możesz palić na zewnątrz?

– Na takim chłodzie?

– To przestań palić.

Forestieri zgasił papierosa o wezglowie łóżka i wyrzucił go na zewnątrz, w ciasny przesmyk uczęszczany już tylko przez koty. Zrzucił z siebie ubranie, położył się do łóżka i zgasił światło. Nagle zapalał pożądaniem. Może to z powodu myśli o Teresie. Brakowało mu jej. Nie widział się z nią od wielu dni i bał się, że ją straci. Może to była prawda. Kto wie, ilu mężczyzn było gotowych ją utrzymywać. W gruncie rzeczy miał niemałe szczęście. Ktoś taki jak Teresa to był prawdziwy luksus. Wysoka, zwinna i uparta. Buntownicza. Takie lubił.

Podniecił się.

Próbował przez chwilę się opanować, ale mu się nie udało. Obrócił się w stronę Vincenziny i musnął ją delikatnie. Od kiedy weszła w okres menopauzy, ich stosunki osłabły, a on sam próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek przeżył z tą kobietą jakiś moment prawdziwej namiętności. Żądza przybierała na sile.

– Vincenzino... – powiedział.

– O co chodzi?

– Odwróć się.

Kobieta nic nie powiedziała. Ścisnęła lekko nogi i czekała, aż Forestieri coś powie.

- Chcesz, żebym jeszcze poczekał?
- Nie.
- Nie czujesz się na siłach?
- Nie.
- Chcesz tak zostać?
- Jak sobie życzysz.

Przysunął się do niej, przylegając do jej krągłego i tłustego ciała. Odwinął jej szlafrok, podciągnął nocną koszulę i zawahał się. Jak miał kontynuować? To było jak dotykanie martwego ciała. Męczarnia dla obojga. Ta zwiotczała i zgrubiała blada skóra. Poczuł, jak mija pożądanie, odwrócił się na wznak i zaczął wpatrywać się w sufit. Ten pokój go przytłaczał, jakby nie było już sposobu, by się z niego wy dostać. A z drugiej strony była Maria, która go nie znosiła. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz nazwała go „tata”. Miał wrażenie, że jest w domu sam.

- Chyba lepiej, jak sobie dam spokój – powiedział.
- Vincenzina poruszyła się, nic nie mówiąc.
- Jutro muszę wcześniej wstać.
- Jak sobie życzysz.

Zawsze te słowa, choć on przecież nigdy o niczym nie decydował. Wszystko zależało od niej. Miał ogromną ochotę zapalić następnego papierosa, zrobić po swojemu, pochodzić po pokoju, wyjść i zagrać w karty z przyjaciółmi w gospodzie, napić się albo odwiedzić Teresę. Wyobraził ją sobie rozłożoną na miękkim łożu w świeżo upranej pościeli i pożałował, że ostatnim razem źle się z nią obszedł. Mężczyzna jest mężczyzną, kiedy ma przy sobie prawdziwą kobietę.

Kilka minut później Vincenzina spała, ciężko oddychając przez na wpół przymknięte usta. Forestieri wstał z łóżka i podszedł do okna. Otworzył je na tyle, by móc wypuścić dymek i zapalił papierosa. Wpatrywał się w mrok wąskiego przejścia, aż natrafił wzrokiem na oddzielający mur, który zagradzał wejście. Ten zaułek nie należał do nikogo. Od czasu do czasu służył mu jedynie do tego, by stanąć w oknie, mógł łyknąć świeżego powietrza. Było tam jeszcze jedno nieduże okienko oraz drzwi zabite drewnianymi kłodami, ale w tych domach nikt już nie mieszkał. Przykry los – pomyślał Forestieri. Skończył palić papierosa, zamknął okno, usiadł na brzegu łóżka i zaczął się zastanawiać.

Maria ułożyła na biurku zdjęcia ojca i odsunęła na bok chusteczkę, w którą je wcześniej owinęła. Tak właśnie przysłała, z chusteczką, którą zawiązywała sobie na głowie, gdy szła do kościoła. Pokazywała teraz zawiniątko Giovanniemu, jakby chodziło o jakiś upominek.

– Są stare – powiedziała. – Jedno jest z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Pozostałe dwa, nie wiem. – Odwróciła je w stronę Giovanniego i taktownie cofnęła ręce. – Na jednym z nich również ja jestem, jak miałam pięć lat.

Giovanni wziął jedno zdjęcie i przypatrywał się mniej więcej czterdziestoletniemu mężczyźnie, stojącemu przy małym dostawczaku załadowanym owocami i warzywami ułożonymi w jednakowych skrzyniach. Jego twarz pozostała w cieniu, ponieważ w momencie wykonania fotografii słońce musiało być wysoko. Mimo wszystko mógł jednak dostrzec szczerłość i uczciwość spojrzenia. Musiał być dość korpulentny. Rękawy koszuli miał podwinięte, przepasany był zniszczonym paskiem. Miał krótko obcięte włosy i Giovanni spostrzegł, że mężczyzna nie założył sobie brylantyny.

– Twój ojciec był przystojnym mężczyzną – zauważył.

– Pamiętam go jako przystojnego.

– Na tym zdjęciu musiał mieć nie więcej niż czterdzieści lat.

– Trzydzieści pięć – sprecyzowała Maria.

Giovanni przeszedł do drugiej fotografii. Tutaj mężczyzna wydawał się starszy i ubrany był jak do ślubu. Miał na sobie białą koszulę, która wyraźnie odcinała się od ciemnego garnituru. W tle kilka dziewcząt poruszało się w idącym dokądś orszaku.

– Tutaj twój ojciec był starszy.

– Ja już się urodziłam. Miałam dwa albo trzy latka.

– Był odświętnie ubrany.

– Robił mocne wrażenie.

– Owszem.

– Nie ma daty – powiedział Giovanni, spoglądając na odwrotną stronę fotografii.

– Nie, nie ma.

– Urodziłaś się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku?

– Tak.

– Zatem to zdjęcie pochodzi z końca lat pięćdziesiątych.

– Tak.

Maria uśmiechnęła się, czując się przez chwilę współniczką tego mężczyzny. Przeminięły emocje z pierwszych spotkań, ale wciąż było zbyt wcześnie, by mu się

zwierzać. Chciała być pewna, że może to zrobić. Nigdy z nikim nie dzieliła się swoimi sekretami.

Giovanni wziął ostatnie zdjęcie.

– Tutaj byłaś już panienką – powiedział.

– Miałam pięć lat.

– Krótco przed śmiercią taty.

– Tak.

– Nosisz to zdjęcie stale przy sobie.

– Tak, zawsze.

– Jest całe pomięte.

– Trzymam je pod poduszką razem z obrazkiem świętej Rity.

– Rita z Cascii jest twoją świętą?

– Tak.

– Strzeże cię?

– Tak.

– Twój ojciec także jest stale gotowy cię strzec.

– Mój ojciec nigdy mnie nie opuszcza.

Spojrzeni na siebie. Oboje wiedzieli, dokąd prowadzą te słowa. I rzeczywiście Giovanni powiedział:

– W chwilach ataków są zawsze z tobą, prawda?

Maria poczuła, że to pytanie mogłoby ją poprowadzić w niewłaściwym kierunku. Wymagało zbyt wielu odpowiedzi. Kiedy źle się czuła, modliła się do świętej Rity, aby się nią opiekowała, aby odpędziła złego, aby zatrzymała ją przy sobie, aby nie pozwoliła jej odejść. Jej ojca w takich sytuacjach nie było. Od czasu do czasu pojawiał się w jej snach, ale były to te najbardziej przerażające, które zapierały jej dech w piersiach, pozostawiały wyschnięte usta i odbierały mowę. Kiedy się budziła, świat wydawał się jej niewyraźny jak dym. Bała się go. Myślała, że widzi rzeczy, które nie mogą istnieć, głosy, które nie były jej głosami, które ją wołały, które domagały się, by ich słuchała. Ale któż mógł jej szukać? Dlaczego sny ją wzywały? Jakiś niewyraźny dźwięk, wezwanie, i płynęły, ześlizgiwały się jak woda w kanale ściekowym, czyniąc przerażający hałas, którego nie chciała pamiętać.

Ocknęła się.

Jak mogła opowiadać o takich rzeczach? Cóż mogłaby powiedzieć?

– Czy coś nie tak, Mario?

Głos Giovanniego wywołał w niej ukłucie bólu.

– Nie, nic.

– O czym myślałaś?

– O niczym.

– Właśnie o tych rzeczach powinnaś mówić.

– Co mam panu powiedzieć?  
– Przepraszam – rzucił Giovanni. – Wydałaś mi się poruszona i pomyślałem, że coś cię niepokoi.

– Nie, nic.

– Jesteś pewna?

Wzięła jedną z fotografii i przycisnęła ją do blatu biurka.

– Nie chce pan dłużej oglądać zdjęć? – zapytała, zaciskając zęby.

– Oczywiście, że chcę.

Maria wzdrygnęła się. Zostawiła zdjęcia i obserwowała swoje drżące dłonie. Parę razy szepnęła coś przez zęby i znów zainteresowała się fotografiami. Ułożyła je w rzędzie, oddychając jednocześnie, aby uwolnić się od wzbierającego w niej niepokoju. Mięśnie szczęki w dalszym ciągu się zaciskały, a wargi były jak zapieczętowane, tak iż prawie nie miała śmiałości, by cokolwiek jeszcze powiedzieć.

– Przepraszam – wyrzekła po kilku sekundach, panując znów nad sobą. – Dziś miałam przynieść te zdjęcia i denerwowałam się.

– Dlaczego? – nalegał Giovanni.

– Nie wiem – broniła się. – Byłam zdenerwowana. Nie wiem dlaczego.

– Spróbuj powiedzieć mi, o czym myślałaś.

– Chce pan wiedzieć?

– Tak.

– Myślałam, że mogą pana bardziej zainteresować.

– A tymczasem?

– A tymczasem one chyba pana nie interesują.

– Myślisz, że nic mnie nie obchodzą twoje zdjęcia?

– Nie wiem.

– Wiesz, co ja myślę?

– Co?

– Że myślałaś o czymś naprawdę ważnym dla siebie i dla naszych spotkań – powiedział. – Ale nie jesteś zobowiązana, by mi o tym opowiadać – dodał szybko.

Maria milczała. Bawiła się fotografiami, patrząc raz po raz na tę, na której była ze swoim ojcem, i zagryzła wargi, żeby nie płakać.

– Śni mi się mój ojciec – ujawniła.

Giovanni nic nie powiedział. W tym momencie to Maria powinna mówić. Każda jego ingerencja mogła ją sprowadzić na inny tor, zmienić bieg spotkania.

– Nie wiem, czego chce – podjęła Maria. – Śni mi się, jak mnie woła, ale czasami to nie on, to inni...

– Opowiesz mi jakiś sen? – zapytał cicho Giovanni.

– Zawsze staram się je zapominać.

– Jednak pozostały ci jakieś odczucia, tak mi się zdaje...

– Tak.

– Opowiedz mi jakiś sen – zachęcił ją raz jeszcze.

Maria lekko uniosła głowę, jakby chciała uchwycić jakiś pierwszy obraz.

– W jednym jest mój ojciec, który przychodzi do mnie – zaczęła. Jesteśmy w jakimś pokoju, ale nie widzę twarzy taty. Wiem, że to on, ale nie widzę go wyraźnie. Idzie do mnie, a ja czuję, że smutnieję. – Powiedziała to w dialekcie, bo nie potrafiła znaleźć odpowiedniego włoskiego słowa. Musiała chwilę pomyśleć, zanim powiedziała: – Czuję, że się duszę. Dusi mnie w gardle. Potem mój tata podchodzi do mnie jeszcze bliżej, a później pojawiają się inni, nie jestem w stanie odychać i we śnie mówię sobie, że muszę się obudzić, otworzyć oczy...

Zabrakło jej tchu, w oczach pojawiła się trwoga.

– Kiedy miałaś ten sen?

– Rok temu, mniej więcej.

– Kim są ci „inni”?

– W tym śnie nie wiem. To nie są osoby, które znam.

– A w innych snach? – zapytał. – Czy miałaś inne sny tego rodzaju?

– Tak. W innym śnie jest znów mój ojciec i inni moi krewni, którzy idą do mnie z jakiegoś wzgórza. Dokoła jest wielka łąka, a oni idą do mnie, śmiejąc się i żartując...

– Sen pozytywny.

– Tak, ale to są wszyscy zmarli z mojej rodziny. Wszyscy moi krewni zmarli w minionych latach.

– I idą w twoją stronę.

– Tak.

– I w końcu dochodzą do ciebie?

– Nie, widzę ich, jak idą w moją stronę.

– Mów dalej.

Maria przełknęła ślinę. Miała sklezione usta i z ledwością zdołała je otworzyć. Wcześniej myślała, że nie może mówić o pewnych rzeczach, ale teraz wydało się jej to zupełnie naturalne. Ale musiała przyjść do siebie. Wzruszenie związane z tą chwilą osłabiło ją, zaczęło jej się kręcić w głowie, lecz trwało to tylko parę chwil, lekki kryzys, po którym jednak poczuła się słaba, jakby była głodna.

– W pierwszym śnie czułam się otoczona – mówiła dalej. – Budzili we mnie strach. Ale potem, w drugim śnie, ucieszyłam się z ich obecności. – Uśmiechnęła się. – Był tam mój ojciec. Cieszyłam się, że go widzę, że idzie do mnie. We śnie jest piękny dzień i wszyscy się śmieją. Są szczęśliwi...

– Dlaczego, twoim zdaniem, idą do ciebie?

– Bo chcą być ze mną. Chcą mnie pozdrowić.

– Chcą ci coś powiedzieć?

– Nie, chcą tylko mnie odwiedzić.

– A po tym śnie?

Maria ponownie sposepniała.

– Po tym śnie wszystko się zmieniło – przypomniała sobie. – Potem zaczęłam miewać brzydkie sny, niczego już nie rozumiałam. Zawsze śnili mi się zmarli, a ja tego nie chciałam. Budziłam się spocona i starałam się nie zasnąć, dopóki nie nastanie dzień. W ciągu dnia śpię bardziej beztrusko. Takie sny mi się nie zdarzają. W nocy czuję się bardziej samotna, a zmarli przychodzą zawsze, i jeden mówi jedno, drugi coś innego, jeden ze mną rozmawia, inny mnie obejmuje...

Położyła rękę na piersiach, aby zapobiec kolejnej duszności.

– Czy twój ojciec jest zawsze obecny w tych snach?

– Nie wiem. Może tak, może nie. Nie rozumiem go. – I w końcu z trudem dodała: – Nie chcę śnić.

– Jednak w tym śnie byłaś szczęśliwa, że ich widzisz. Że widzisz swojego ojca i swoich krewnych.

– Tak, ale teraz domagają się ode mnie zbyt wielu rzeczy.

– O co cię proszą?

– O modlitwy, chyba.

– Chcą, żebyś się modliła za kogoś?

– Chyba tak. Albo może chcą przekazać mi jakieś wiadomości dla innych ludzi.

– Tego właśnie chcą zmarli?

– Chyba.

Wypowiedziała to słowo ledwie słyszalnie, tak jakby zmarli chcieli od niej jeszcze czegoś więcej.

– Co się dzieje, Mario?

– Nic.

– O czym myślisz?

Wzruszyła ramionami.

– Czy jest coś, co budzi twój lęk?

– Też – powiedziała, spuszcżając nieśmiało głowę.

– Coś, co cię przeraża.

– Zmarli nie chcą zostawić mnie w spokoju – ujawniła, powstrzymując wybuch płaczu. – Przychodzą stale, teraz, a ja nie chcę.

– Kiedy przychodzą?

– Wieczorami.

– Kiedy śpisz?

– Kiedy jeszcze nie śpię.

– Jak to się dzieje?

– Są tam. Zawsze tam są.

– W twoim pokoju?

– Tak. Jest jeden zmarły, który zawsze na mnie czeka, nie daje mi spokoju.



Ale nie chce mi wyrządzić żadnej krzywdy. On przychodzi do mnie. Przychodzi, żeby być ze mną. Mieszka z nami w domu. Ale chce tylko spać. – Podniosła na chwilę głowę, potem znów ją spuściła, jakby tylko w ten sposób mogła mówić dalej. – Kładzie się obok mnie. A potem, kiedy zasypiam, odchodzi. Zawsze mnie obejmuje. Nigdy mnie nie opuszcza.

– Wiesz, kto to jest?

– Nie wiem.

– Ale pytałaś, kto to jest?

– Tak.

– Kto to może być?

– Nie mogę go zobaczyć. Czuję go i to wszystko.

– Kto to mógłby być?

– Mój tata – powiedziała. Dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

– Być może to jest mój tata.

Zaniemówiła, niespokojna niczym tropiony zwierz, jakby teraz Giovanni miał wystarczająco wiele dowodów, by ją osądzić, by móc wszystkim powiedzieć, że jest wariatką, że trzeba ją zamknąć w jakimś odosobnionym miejscu, z dala od normalnych ludzi. Lepiej nie wdawać się w tę znajomość, pozostać w uścisku swoich zmarłych, swoich wspomnień, swoich upiorów. Dlaczego więc o tym wszystkim opowiedziała? Trzeba było to powiedzieć – przekonywała samą siebie. Trzeba było się zwierzyć, spróbować powiedzieć prawdę, choć to mogło jeszcze bardziej boleć.

Zdołała podnieść głowę na tyle, by móc popatrzeć na Giovanniego, a łzy znów polały się po jej nieruchomej, zrezygnowanej twarzy.

– Dlaczego myślisz, że to twój ojciec? – zapytał Giovanni, by dodać jej otuchy.

– Nie wiem. Czuję to.

– I nie boisz się?

– Początkowo tak. Lękałam się, ale teraz mniej.

– Kiedy zdarzyło się to po raz ostatni?

– Już od ponad dziesięciu dni nic nie czuję.

– Ale to jest coś, co czujesz, czy coś, co widzisz?

– Coś, co czuję – odpowiedziała zgaszonym głosem.

– Nigdy nie widziałas niczego materialnego, jakiegoś objawienia?

– Nie.

– To jest tylko coś, co wyczuwasz.

– Tak.

– Ale mimo wszystko czujesz kontakt fizyczny.

– Nie wiem, co to jest – powiedziała skrzeczącym głosem, jakby już była na granicy wytrzymałości.

– Chcesz skończyć, Mario?

– Nie.

Jej głos odbił się echem w pomieszczeniu. Giovanni był jakiś daleki, niedostępny. Być może nie chciał dłużej z nią przebywać. Być może nikt już tego nie chciał. Właśnie dlatego potrzebowała zmarłych. Nie miała już nikogo. Była sama jak nigdy dotąd.

– W jaki sposób udaje ci się nawiązać z nimi kontakt?

– Przychodzą w nocy...

– Opowiedz mi, jak to się dzieje.

– Przychodzą, kiedy jestem w łóżku – odpowiedziała. – Kiedy już zasypiam.

Czuję ich. To tak, jak jest otwarte okno i robi się przeciąg.

– Zaczęłaś ich czuć od czasu, gdy pojawiły się ataki?  
– Tak, po pierwszym ataku, kiedy omal nie zabiłam mamy.  
– Dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałaś?  
– Bo myślałam, że pan mi nie uwierzy. Że weźmie mnie pan za pomyloną.  
– Czujesz się pomyloną?  
– Nie.  
– Być może to wszystko zdarza ci się z jakiegoś powodu.  
– Z jakiego? – odparła poirytowana Maria. – Dlaczego mam słyszeć zmarłych?  
– Nie chcesz ich słyszeć?  
– Chcę wiedzieć, dlaczego mój tata mnie odwiedza.  
Giovanni zastanawiał się przez chwilę nad tym stwierdzeniem.  
– Niekiedy to nasza dusza chce nam coś powiedzieć.  
– Jak?  
– Być może twoja dusza chce ci powiedzieć, jak bardzo cierpisz – ciągnął. – Chce ci powiedzieć, co masz zrobić.  
– A co mają z tym wspólnego zmarli?  
– Myślisz, że można rozmawiać z umarłymi?  
– Nie wiem – odpowiedziała. – Jak mogę to stwierdzić? Jak można mówić takie rzeczy?  
– Ale ty mówisz, że tobie to się zdarza.  
– Tak, dla mnie to są umarli.  
Giovanni westchnął.  
– Wierzysz w moc modlitwy? – pytał cierpliwie.  
– Tak, dla mnie jest to największa siła.  
– To czemu nie spróbujesz zamknąć oczu i pomodlić się za zmarłych?  
– Dlaczego?  
– Zróbmy to razem – zaproponował Giovanni, kładąc dłonie na biurku. – Myślisz, że zmarli chcą ci wyrządzić krzywdę?  
– Nie.  
– Na pewno twój ojciec by tego nie chciał.  
– Nie.  
Już zdążyła złożyć ręce.  
– W takim razie – zastanawiał się Giovanni – być może chcą tylko porozmawiać z tobą, powiedzieć ci coś. – Poruszył ręką, by nadać większą wagę temu, co mówił. – Może jest coś, co powinnaś wiedzieć.  
– Nie wiem... – nieśmiało zaproponowała Maria.  
– Oddychaj – polecił jej. – Oddychaj i pomódl się przez chwilę.  
Dziewczyna zaczęła głębiej oddychać i modlić się. Giovanni wpatrywał się w nią, śledził ledwie dostrzegalny ruch warg. Miała tak wielką ochotę uczyć się.

Potulnie dawała się prowadzić, była uległa, ale mimo to zło, które ją dręczyło, pozostawało wciąż głęboko ukryte. Być może należało oddać ją w ręce psychiatry, by przeprowadził testy, ale Giovanni w dalszym ciągu czuł, że jest w tym coś jeszcze i że wciąż mu daleko do jasnego zdefiniowania problemu. Maria przychodziła punktualnie na wszystkie spotkania i wykazywała chęć ich kontynuowania, co było znakiem, że nabrała do niego koniecznego zaufania. Nie mógł więc jej teraz opuścić.

Zauważył, że dziewczyna oddycha tylko przez nos.

– Otwieraj usta, Mario. Staraj się oddychać przez nos i usta, ale powoli, bardzo powoli – powiedział.

Maria przerwała na chwilę, poprawiła się na krześle i nieznacznie otworzyła usta. Giovanni zauważył, że ręce ma zaciśnięte i sine, powiedział więc, by rozluźniła uścisk. Maria zgodziła się i poluzniła ręce, łącząc znowu dłonie, by dalej się modlić. Po chwili przestała i nagle zaczęła płakać. Zakryła twarz dłońmi i w dalszym ciągu płakała, dyskretnie, jakby nie chciała wywołać żadnego zamieszania.

Giovanni odczekał kilka sekund.

– Co się dzieje, Mario? – zapytał.

– Nic.

– Możesz otworzyć oczy, jeśli chcesz.

Potrząsnęła głową.

– Mario...

Raz jeszcze potrząsnęła głową, gwałtownie, jakby chciała odpędzić intruza.

– Nie... – powiedziała burkliwym głosem. Następnie odchrząknęła i powtórzyła: – Nie, nie...

– Co się dzieje, Mario?

Dziewczyna wyprostowała palce dłoni przyłożonych do twarzy i zaczęła mocno drżeć. Wybuchła gwałtownym płaczem. Osunęła się na biurko, wstrząsana drgawkami i konwulsjami. Nie była już w stanie się opanować. Giovanni okrążył biurko i dotknął jej pleców, ale ona raptownie wyzwoliła się z tej niepożądaney bliskości, wyrażając dezaprobatę zde gustowanym grymasem ust. Wstała, otworzyła oczy i zatoczyła się aż na środek pokoju. Miała obłąkany wzrok. Spojrzała po raz ostatni na Giovanniego, być może nawet go nie rozpoznała, i upadła omdlała na podłogę.

– Niech pan posłucha, doktorze – powiedział Forestieri. – Niech pan posłucha: Marii nie da się wyleczyć gadaniem. Ona potrzebuje lekarstw, terapii, kogoś, kto by ją miał pod stałą kontrolą. Pociągnie dalej tylko na lekach.

Vincenzina już miała się odezwać, ale zdecydowała jednak, że lepiej będzie milczeć.

Giovanni zauważył jej wahanie.

– Co się dzieje, pani Vincenzino? Chce pani coś powiedzieć?

– Nie... – odpowiedziała zakłopotana kobieta.

Siedzieli w przedpokoju w domu Giovanniego, między starymi meblami jego matki: małżonkowie na sofie koło kredensu, Giovanni na wyplatanej krześle, a jedyną ozdobą był stół o grubym blacie, który jednak wraz z upływem lat wilgoć zdołała wybrzuszyć.

– Nie uważam, by Maria była przypadkiem nadającym się do leczenia środkami psychotropowymi – sprzeciwił się Giovanni. – Zrobilibyście wielki błąd, powierając ją psychiatrze lub oddając do domu opieki. Maria potrzebuje osób, które byłyby przy niej blisko. Jest w niej coś, co nie funkcjonuje, ale to nie jest obłąd. Wasza córka nie jest schizofreniczką.

– A skąd pan to wie? – odparł Forestieri.

– Nie wykazuje żadnych objawów schizofrenii.

– Nie widział pan, co ona wyprawia?

Giovanni przyjął majestatyczną pozę.

– Ludzie wciąż myślą, że wasza córka jest opętana – powiedział, obserwując jednym okiem reakcję Vincenziny. – Również pani w to wierzyła, prawda?

– Dziwnie się zachowywała... – stwierdziła tylko.

– Wciąż tak pani uważa? – przycisnął ją Giovanni.

– Nie wiem, co mam myśleć – odpowiedziała Vincenzina, zamykając się w sobie.

– Jeśli nie jest opętana i jeśli nie jest wariatką, to co jej jest? – wtrącił Forestieri.

– Być może będziecie mogli mi pomóc – powiedział Giovanni, by przeciągnąć ich na swoją stronę. – Maria była bardzo przywiązana do swego ojca.

– Tak – potwierdziła Vincenzina, kreśląc na sobie znak krzyża.

– Ona stale o nim mówi – ciągnął dalej Giovanni. – Jest oczywiste, że w grę wchodzi jakiś wstrząs, który trudno zidentyfikować. Maria nie jest jeszcze zbyt skłonna do mówienia. – Zastanowił się przez chwilę. Niewątpliwie nie mógł ujawnić, że Maria wierzy, iż na swój sposób czuje obecność zmarłych. – Dziś rano spotkanie przebiegało normalnie, ale potem coś się stało. Lecz o tym muszę koniecznie

porozmawiać z Marią. Od pani zaś chciałbym poznać więcej szczegółów o śmierci męża, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

– A czemu miałabym mieć coś przeciwko? – pośpiesznie odpowiedziała kobieta, być może z obawy, że mąż się sprzeciwi tej prośbie. – Co chciałby pan wiedzieć?

– Proszę mi opowiedzieć o tym dniu. Co się wydarzyło?

– Rocco, mój mąż, przebywał w lesie, w głębi, w domu księcia. Od czasu do czasu chodził tam kosić trawę albo pielęgnować roślinki rosnące przed domem, przycinał żywopłoty i wykonywał inne roboty. Dostał zawału i znaleźli go martwego na ziemi, z rozbitą głową, bo kiedy upadł, uderzył w pień.

– Był sam?

– Tak, był sam.

– A kiedy przyszli, żeby pani o tym powiedzieć, Maria była z panią?

– Tak, była ze mną. Byłam wtedy w kuchni, myłam sałatę. To było na początku lata. Byliśmy zadowolone, ale potem przyszedł robotnik pracujący przy budowie domu i powiedział mi o tym.

– A Maria wszystko słyszała?

– Tak.

– I widziała swojego ojca martwego?

– Nie pamiętam.

– Nie poszła razem z panią?

– Nie, myślę, że nie.

– Jest pani pewna?

– Pewna nie – odparła Vincenzina, z trudem łapiąc oddech. – Nic nie pamiętam z tamtego dnia. Miałam zupełny mętlik w głowie. Ludzie coś do mnie mówili, obejmowali mnie, ale ja miałam przed oczami tylko mojego męża i mówiłam sobie, że to nieprawda, że to niemożliwe. Potem przez wiele miesięcy chorowałam, popadłam w depresję. Nawet nie pamiętam Marii z tamtego okresu.

– Kto opiekował się Marią?

– Moja poczciwa mama.

Giovanni wyjrzał za okno, popatrzył na zmierzchające słońce, które zalewało czerwienią taras ogrodu.

– Maria miała sześć lat, kiedy zmarł pani mąż.

– Tak, mniej więcej sześć lat.

– A po tym wydarzeniu, jaka była Maria, pani zdaniem?

– W pierwszych miesiącach nie wiem – odpowiedziała Vincenzina. – Już panu mówiłam: byłam bardzo chora.

– Czy pani matka nic pani nie mówiła na temat Marii?

– Nie. Opiekowała się nią i tyle.

– A kiedy pani doszła do siebie, to jaka była wtedy Maria?

- Normalna.
- Dobrze to przyjęła?
- Wydawało się, że tak.
- Nigdy nie zauważyła pani nic dziwnego w jej zachowaniu?
- Nie.
- A po ilu latach wyszła pani za Franca?

Forestieri, czując się wywołanym do tablicy, poruszył się na sofie.

- Po pięciu latach – odpowiedział.
- Kiedy Maria miała jedenaście lat.
- Miała już dwanaście – powiedział znów mężczyzna.
- I zaakceptowała pana od razu?
- Nie – odpowiedział surowo Forestieri. – I nie akceptuje mnie nawet teraz.
- Zawsze się kłóciliście?
- To ona ma ciągle coś do powiedzenia, ja byłem dobrym ojcem i tego nikt

nie może zanegować.

Giovanni przytaknął, tak jakby w tej kwestii nie było żadnych wątpliwości.

- Jak pana przyjęła, kiedy się poznaliście? – zapytał.
- Powiedziała swojej matce, że zrobiła z siebie dziwkę, przepraszam za wyrażenie.

– Trudna sytuacja – zauważył Giovanni. – Czy poza tym Maria kiedykolwiek wydała się panu jakaś dziwna?

– Nie, zawsze była dziewczynką jak wszystkie inne. A nawet pod pewnym względem jest dziewczyną szczególną, bo zawsze dla każdego ma dobre słowo, z wyjątkiem mnie. – Pomyślał przez chwilę. – Nie, panie doktorze, Maria stała się taka nagle – i to bez powodu. Wcześniej była spokojna, a potem stała się jakaś taka poirytowana... stuknięta wariatka.

– Kto jest teraz z nią w domu? – zapytał Giovanni.

– Antonietta – odpowiedziała Vincenzina.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Musicie dać jej trochę czasu – powiedział Giovanni. – A przede wszystkim musicie uszanować jej wybory. – Spojrzał najpierw na Vincenzinę, potem na Forestieriego. – Jeśli powie wam, że chce kontynuować nasze spotkania, pozwólcie jej. Niech ona decyduje.

I nie wspominajcie jej o żadnych lekach albo zakładach psychiatrycznych. Taka jest moja rada – zakończył stanowczo. – Pozwólcie, aby ona sama zdecydowała. Potem zobaczymy.

Forestieri dał niewyraźnie znak, że się zgadza.

– No to tak się umawiamy – powiedział.

Giovanni odprowadził ich do drzwi. Zaczekał, aż skręcą za rogiem i ruszył w stronę ogrodu. O wieczornej porze kasztanowy lasek tworzył już wyraźny cień.





Naniósł na kartkę ostatnią notatkę i położył pióro na stół. Wybiła już druga w nocy, na zewnątrz powietrze było nieruchome, ciemność niemal nieprzenikniona. Od paru dni ulica była pozbawiona prądu i do tej pory jeszcze nikt z gminy nie przyszedł, by naprawić uszkodzenie. Rzędy ślepych domów ciągnęły się aż do rogu ulicy. Jedyнным dźwiękiem był szum wody w fontannie, rytmiczny, uspokajający.

Giovanni stał przez chwilę przy oknie. Choć się wysiłał, nie był w stanie zobaczyć niczego na zewnątrz. Winorośl na tarasie ogrodu wyglądała jak płatanina czarnych krzaków odciętych od słońca. Budziła w nim lęk i przez moment zdał sobie sprawę, że może wręcz stanowić dokładną miarę stanu jego niepewnego i straconego ducha.

Widział to wcześniej w Marii?

Wyobraził ją sobie, jak w stanie lunatycznym podnosi się z łóżka, by dokądś się udać, nie wiadomo dokąd, jak ofiara jakiegoś wewnętrznego planu, którego nie było jej dane znać. Co ją tak przeraża? Czy powinien jej wierzyć, kiedy utrzymuje, że zmarli odwiedzają ją w nocy, gdy tylko przymyka oczy, by zasnąć? Jaki jest między tym wszystkim związek?

Przypomniał sobie pierwsze spotkanie, kiedy opowiadała mu o ziemi w kasztanowym lasku. Co to mogło znaczyć? Powinien wrócić do tej kwestii, o ile Maria będzie dalej przychodzić na spotkania. Zastanowił się. Jest w niej coś, co tylko czeka, by wybuchnąć, jakieś ukryte i straszne Ja, głębsza świadomość albo może nawet coś więcej, jej duch albo tchnienie życia, rozszalałe jak demon, buntujące się przeciwko temu życiu i walczące w jej wnętrzu, w bańce duszy, która jest bliska pęknięcia. Jak długo ona może jeszcze wytrzymać, zanim na zawsze osiądzie na mieliźnie obłąkania?

Otworzył drzwi domu i wyszedł na dwór. Ogarnęła go ciemność, a rana w piersiach pulsowała, jakby wciąż jeszcze była żywa. Tak właśnie jest: strachy żyją w ciemności, by się nie dać zdemaskować. Zamknął drzwi i wyciągnął się na sofie. Wystarczyło, aby przymknął oczy, i znowu widział swoją matkę, fastrygującą kawałek tkaniny albo wychodzącą z kuchni z dużym garnkiem pełnym zupy, z podwiniętą narzutką na plecach, tak że było widać spódnicę. Przeżywał na nowo tamte wieczory spędzane przed kominkiem, gdy słuchał jej opowieści o czasach młodości, kiedy dziadkowie ukrywali wieprzka pod łóżkiem, bo się bali, że ktoś im go ukradnie, albo o dniu, w którym jego ojciec stanął w drzwiach domu, by prosić o jej rękę, o ceremonii nałożenia pierścionka, o wymianie obrączek i o zaręczynach, które odbyły się wieczorem, kiedy wszyscy wrócili z pól.

Tamten czas jest zbyt odległy – powiedział do siebie. Pomyślał o Livii Antonietcie i zastanawiał się, jak długo jeszcze powinien zostać w Cittanova.



Ktoś zapukał do drzwi. Dzwon kościelny właśnie wybijał godzinę ósmą. Było wcześniej i Giovanni zastanawiał się, kto to może być o tej porze. Spał krótko i źle, na dodatek nie zdążył jeszcze wypić porannej kawy.

– Kto tam? – zapytał i zarzucił na siebie szlafrok, kiedy zmierzał do drzwi.

– Maria – usłyszał.

Otworzył drzwi i zobaczył przed sobą Marię w podniszczonej kurtce i z włosami w nieładzie.

– Co się stało? – zapytał.

– Nic. – Uśmiechnęła się spokojnie. – Moja mama poszła na targ, a ja przyszedłam, żeby panu powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

– Miło mi słyszeć.

– Nie wiem, co mi się stało ostatnim razem.

– To są rzeczy, które się mogą zdarzyć...

– Dowiedziałam się, że rozmawiał pan z moją mamą i moim tatą – przerwała mu.

– Tak.

– Możemy się widywać?

– Czy twoja mama wie, że jesteś tutaj?

– Nie – odpowiedziała. – Ale rozmawiałyśmy. Ja chcę kontynuować. Dobrze się z panem czuję.

– A co na to twoi rodzice? – Chciał się dowiedzieć.

– Moja mama mówi, że chce, abym kontynuowała.

– Ale wyszłaś z domu po kryjomu.

– Sama chciałam to panu powiedzieć. A poza tym chciałam wyjść.

Giovanni przyjrzał się bliżej jej twarzy. Oczy miała lśniące, a skórę napiętą. Wpatrzył się jeszcze dokładniej i zauważył, że jej prawe oko było nieruchome, podczas gdy drugie nieznacznie się poruszało, przez co wydawała się lekko zezowata. Długa kurtka, którą miała na sobie, musiała należeć do ojca. Na nogach miała brudne buty bez sznurówek. Coś się w niej szamotało bardziej niż w pozostałe dni. Postanowił jej pomóc.

– Dobrze zrobiłaś, że wyszłaś z domu.

– Chciałam zobaczyć przyjeżdżające autobusy.

– Autobusy z uczniami?

– Tak.

– Słyszałem, jak przejeżdżały kilka minut temu.

– W takim razie je przegapiłam.

– Będziesz mogła zobaczyć je jutro.

Maria otworzyła oczy i uśmiechnęła się przez ściśnięte wargi.

– Jutro nie będę już mogła wyjść – powiedziała.

– Dlaczego?

– Mama tego nie chce.

– Teraz możesz to zrobić.

– Nie, ona nie chce, żebym wychodziła o tej porze.

– Z jakiego powodu?

– Mówi, że zbyt dużo ludzi kręci się po ulicach.

– Za dużo uczniów?

– Tak.

– Rozumiem – odparł Giovanni wyrozumiale. – Spróbuję porozmawiać później z mamą, umówimy się na najbliższe spotkanie.

– W porządku.

– Teraz wróć do domu.

– Nie powie pan, że tutaj byłam.

– Nie martw się.

– Zobaczymy się później.

– Zgoda.

– Do widzenia.

– Cześć, Mario.

Odeszła w stronę domu, odwracając się jeszcze raz, zanim skręciła za rogiem. Giovanni wrócił do środka i poszedł prosto do kuchni, by zrobić sobie mocną kawę z dodatkiem likieru z czarnego bzu. Nabrał już tego przyzwyczajenia, z którego absolutnie nie chciał rezygnować. Nappełnił kawiarkę, postawił ją na ogniu i usiadł przy oknie. Maria zdradzała przejawy inicjatywy, ale jej konflikty musiały się zaostrzyć przez ostatnie dwa dni, odkąd się nie widzieli. Brak dbałości o wygląd zewnętrzny nie wskazywał na nic dobrego, ale mogło również być tak, że wyszła w pośpiechu, zarzucając na siebie pierwszą rzecz, jaką znalazła, aby po powrocie mama nie odkryła jej wyjścia.

Kawiarka zaczęła parkotać, napęliając powietrze aromatem kawy. Giovanni łyknął sporą dawkę i dopiero wtedy poczuł się bardziej ożywiony i gotowy zmierzyć się z wyzwaniem dnia. Miał jeszcze trochę zaległej pracy do wykonania w ogrodzie, potem zamierzał odwiedzić Vincenzinę. Przez okienko kuchni wpadało rozproszone, jasnobłękitne światło. Pomyślał o swojej matce i o tym, jak wiele razy widział ją właśnie w tym miejscu, w bezlitosnym niekiedy świetle dnia, i poszedł się ubrać.

Mara i Letizia rozmawiały o chłopcach, podczas gdy ich ręce sprawnie się poruszały, przygotowując haftowane obrusy. Podjęły się tej pracy w związku z zamówieniem złożonym przez kilku klientów i za pozwoleniem Livii Antonietty, ponieważ chciały odłożyć trochę pieniędzy na wesela. Jeśliby wszystko poszło jak należy, miały wyjść za mąż tego samego dnia, choć w dwóch różnych kościołach. Mara była wysoką brunetką, Letizia zaś miała rude włosy i była okrąglejsza, ale niewątpliwie atrakcyjniejsza od koleżanki.

Ich nieustanne pogaduszki, które w żaden sposób nie wiązały się z pracą, przeszkadzały Livii Antonietcie kreślącej wykrój na stole.

– Dziewczyny, mówcie ciszej – powiedziała.

Ścisnęła mocniej kredkę w dłoni i w dalszym ciągu kreśliła na papierze rozłożonym na blacie. Była zdenerwowana, ale nie potrafiła domyślić się powodu. Może to menopauza, która się do niej przykleiła, pozbawiając ją tej kobiecej dumy, jaką się zawsze szczyciła. Codziennie zauważała, że jest coraz bardziej wyniszczona, mniej atrakcyjna. Unikała już spoglądania w lustro, by nie mówić sobie, że w gruncie rzeczy nic od życia nie otrzymała. Nigdy nawet nie pojawiła się u niej poważna perspektywa małżeństwa, a kandydaci, wyłaniający się w kolejnych latach, byli dalecy od typu mężczyzny, którego zawsze sobie wyobrażała.

Odłożyła kredkę i podeszła do okna. Zapewne przyjdzie jej dalej podążać tą drogą przez długi jeszcze czas, aż stanie się taka jak staruszka matka, nie zaznawszy nigdy dreszczu miłości, czułych objęć, pociechy z bliskości mężczyzny. Po co jej to wszystko, co ma?

– Anto, dobrze się czujesz? – zapytała Mara, przerywając pracę.

– Tak, w porządku.

– Jesteś blada.

– To chyba zmęczenie.

– Idź odpocząć. Dokończę wykrój.

– Nie, sama go skończę.

– Zrobić ci coś?

– Nie, nie trzeba.

– Przyniosłam szwajcarskie czekoladki – oświadczyła Letizia, by wnieść trochę dobrego nastroju. – Zanim mi je w domu połkną razem z papierkami.

Wzięła torebkę i wyciągnęła z niej pudełko. Otworzyła je i położyła na ławeczce, która stała obok niej.

– Wyglądają na dobre – powiedziała Mara.

– Chodź, Anto – zawołała ją Letizia. – Zjedz czekoladkę. Tak dobrych nigdy nie próbowałam.

– Może później – powiedziała Livia Antonietta. – Pójdę na chwilę na górę.

– Idź, idź – powiedziały dziewczęta.

Livia Antonietta poprawiła spódnicę i skierowała się na schody. Mijając pokój matki, upewniła się, czy kobieta śpi, po czym ruszyła do siebie. Od wielu już dni nie widziała się z Giovannim, ale nie wypadało, aby to ona go szukała. Usiadła na łóżku. Pogrzebała wśród czasopism leżących bezładnie na ziemi i wybrała jakiś numer *Intymności*. Wyrwała ze środka powieściłło, rzuciła okiem na tytuł i zaczęła czytać.

Maria siedziała zatopiona w myślach, jakby pochłonięta rozmywającym się obrazem gabinetu. Ciemne kolory mebli oddalały światło, czyniąc przestrzeń dokoła biurka niemal srebrzystą. Maria przyniosła książkę, którą poprzednim razem wypożyczyła. Nie przeczytała jej. Nie był to rodzaj historii, które ceniła. Zbyt wiele miłości i zbyt wiele intryg. Pozostawała tylko okładka, z której emanował jakiś spokój. Gdyby mogła, powiedziała sobie cicho, kupiłaby ten obraz, a nie książkę.

– Wrócimy do ostatniego spotkania? – zaproponował Giovanni.

Maria skupiła się.

– Tak – odparła.

– Chcę do tego wrócić, ponieważ rzeczywiście coś się wydarzyło – powtórzył, niemal prosząc dziewczynę o większą uwagę. – Zgadzasz się?

– Tak – odpowiedziała słabym głosem. – Nie wiem...

– Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy tamtego dnia?

– O zmarłych.

– Razem się modliliśmy... – podsunął jej Giovanni.

– Chciałam to zrobić, ale potem pan podszedł. – Powstrzymała się przed powiedzeniem czegoś jeszcze. Spojrzała ukradkiem na Giovanniego. – Modliłam się... – dodała.

– A ja zbliżyłem się do ciebie...

– Nie wiem, co się stało...

– W jakiś sposób ci przeszkodziłem?

– Nie.

– Poczułaś coś, o czym nie chcesz mówić?

– Nie – odpowiedziała coraz bardziej zakłopotana.

– Dlatego właśnie zemdlałaś?

– Myślałam o zmarłych i źle się poczułam.

Spojrzeli na siebie.

– Pan mnie dotknął – nieoczekiwanie powiedziała Maria z pewną złośliwością.

– I jak się poczułaś?

– A jak się miałam poczuć?

– Czy według ciebie to się stało dlatego, że cię dotknąłem?

– To pan powinien mi to powiedzieć.

– Chciałbym się dowiedzieć, co ty poczułaś.

– A co miałam poczuć? – powiedziała z pretensją. – Pan mnie dotknął.

– I zemdlałaś.

Nic nie odpowiedziała. Zrozumiała, że w tym, co mówiła, była jakaś

sprzeczność, ale czuła zamęt, tak jakby wiele różnych emocji próbowało nią zawiądnąć.

– Czujesz się na siłach, żeby o tym mówić, Mario?

Wciąż ten daleki głos. Czego on chce? Dlaczego ma o tym mówić? Mówić o czym? Poczowała pulsowanie w kroczu i tego już było dla niej za wiele. Być może to właśnie wtedy się zdarzyło. Doktor był przystojnym mężczyzną, wcale jeszcze nie tak starym. Chyba był młodszy od jej ojczyma, ubierał się bardziej elegancko i nie miał stale ubabranych wąsów, którymi mogłaby się ufajdać. Poczowała ucisk w skroniach i sercu. Zdarzało się to zawsze, ilekroć pomyślała o tych *brudnych sprawach*. Ileż to razy przypominano jej, że pewnych rzeczy nie należy robić? Nie pamiętała dokładnie, ale jakąś rolę odgrywała w tym jej matka. Wystarczyło jej jedno wspomnienie o niej, by wybuchnąć.

– To moja mama jest wszystkiemu winna! – krzyknęła.

– Czemu winna jest twoja matka? – zapytał od razu Giovanni.

– Zawsze mówiła mi o tych rzeczach.

– O jakich rzeczach?

– Odkąd byłam dzieckiem – opowiadała Maria. – Zawsze mi mówiła, że nigdy nie powinnam patrzeć na mężczyzn, że nigdy nie powinnam się z nimi dotykać, że nigdy nie powinnam się z nimi oddalać, i że jeśli mnie kiedyś znajdzie samą z kimś, to zamknie mi...

Giovanni zaczekał kilka sekund.

– Co? – zapytał.

– Zamknie mi *kwiatuszek*.

Giovanni wahał się. Nie spodziewał się tak natychmiastowej reakcji ze strony Marii. Pragnienie uwolnienia się od tego nadmiernego ciężaru napięcia było zbyt silne, i teraz on nie mógł tak łatwo zakończyć tej części ważnej wypowiedzi. Jednak bał się kontynuować. Obawiał się, że Maria zareaguje kolejnym napadem albo jej wynurzenia wywołają w niej bardziej szkodliwe, o ile nie wręcz niszczyielskie skutki. Co pchnęło ją do mówienia o swojej matce?

– To, o czym mówisz, jest naprawdę bardzo ważne, Mario – rzekł. – Ale jeśli uważasz, że mówienie o tym mogłoby ci zaszkodzić, to na razie nie musisz.

– Nie.

– Chcesz o tym mówić?

– Tak.

– W porządku.

Wolno upływały kolejne sekundy. Maria miała teraz trudny do rozszyfrowania wyraz twarzy, tak jakby nie potrafiła dojść do ładu w natłoku uczuć, które cisnęły się jej do serca.

– Moja mama zawsze mówiła, że mi go zamknie – zaczęła wyczerpana. – Kiedyś byłam w kasztanowym lasku z jednym chłopcem. Ona zastała nas razem,



ale my nie robiliśmy nic złego. Zaprowadziła mnie do domu, zdarła ze mnie ubranie i chwyciła mnie tam rękami, tak jakby chciała mi wszystko wyrwać. – Instynktownie ścisnęła nogi. – Nie rozumiałam, co chciała mi przez to powiedzieć, ale ona nic, tylko codziennie mi powtarzała, że jeśli coś złego zrobię, ona mi tamto ukreści. – Pokazała gest, jakby coś wykręcała. – Że mi to zgruchocze, mówiła. I że mnie zabije, bo takiej córki nie chce...

– Ile lat to wszystko trwało?

– Do dziesiątego, a może jedenastego roku życia – odpowiedziała Maria. – Nie pamiętam dokładnie.

– Potem przestała ci mówić o tych rzeczach?

– Tak, ale wystarczyło, że na mnie spojrzała, bym nie ruszyła się z miejsca.

– Czy kiedykolwiek zrobiła to naprawdę?

– Co?

– Próbowwała wyrwać ci genitalia.

– Pewnego razu była bliska tego, żeby to zrobić.

– Dlaczego? Zastała cię z chłopakiem?

– Nie – odpowiedziała. – Nie pamiętam dlaczego. Przypominam sobie, że wpadła jak szalona do mojego pokoju i zaczęła zdzierać ze mnie ubranie, by zrobić to, co miała zrobić. Krzyczałam i płakałam, ale ona nie ustępowała...

Nie była w stanie kontynuować.

Giovanni pomagał jej, szanując jej milczenie. Potrzebowała zastanowić się nad tym, co właśnie ujawniła o sobie samej. To musiało być trudne.

– Dlatego zemdlałam – powiedziała po paru minutach, pochłonięta swoimi myślami. – Nikt mnie nigdy nie dotknął tak jak pan.

– Nie miałem żadnych seksualnych zamiarów.

– Wiem – powiedziała Maria zakłopotana. – Ale ja tak. To mi się zdarza. Zwłaszcza w pewnych dniach.

– Że jesteś podniecona?

– Tak.

– To normalne, nie?

– Nie wiem. – Zaśmiała się nieco na siłę. – Nie wiem już, co jest normalne.

– Akt miłosny jest czymś bardzo normalnym.

– Ale ja się tego boję.

– Dlaczego?

Zaczerwieniła się.

– Nie wiem już, co mam w sercu – powiedziała. – We mnie zawsze najpierw odzywa się serce. Seks mnie nie interesuje, a jeśli mnie interesuje, to tylko dlatego, że któregoś dnia chcę mieć dziecko. Pan Bóg nas tego uczy.

– Pan Bóg chce również, abyś była szczęśliwa ze swoim towarzyszem życia.

– A wiadomo, czy kiedykolwiek znajdziesz jakiegoś towarzysza?

– Na razie myśl o tym, by dobrze się czuć sama z sobą. Reszta przyjdzie sama.

– A co ma przyjść? – rzekła z przykrością. – Dokąd mam pójść?

– Zawierz Panu Bogu. – Giovanni poczuł się w obowiązku jej to powiedzieć.

Maria przytaknęła. Spojrzała na wielkie okno, a potem na książkę Liali, leżącą na skraju biurka. Samotna, paląca i pełna urazy łza przeorała jej policzek.

Mena Fioravanti usiadła na balkoniku, otworzyła papierową torebkę, którą jej przywieziono z Bagnary<sup>5</sup>, i oczy jej rozbłysły, kiedy zobaczyła prażoną *calię*<sup>6</sup> zmieszaną z pistacjami i nierozłupanymi orzeszkami. Oczywiście w takiej sytuacji dbałość o zdrowie trzeba było zawiesić na kołku, jednak nie była w stanie oprzeć się pokusie. Cierpiała na zapalenie żył, miała też lekką cukrzycę, ale dieta w tym momencie była ostatnią rzeczą, jaka przyszła jej do głowy. Mena liczyła siedemdziesiąt cztery lata i w dzielnicy cieszyła się poważaniem jako starsza kobieta. To ona nadawała rytm modlitwom w kościele i zbierała pieniądze na tacę w czasie mszy. Miała koślawą nogę, a kiedy się śmiała, w jej ustach nie było widać nic poza ciemną jamą. Zostało jej zaledwie kilka zębów trzonowych i dlatego mogła jeść tylko kleik lub co najwyżej chleb i kaszę. Ale kiedy dostawała *calię* i orzeszki od swojej kuzynki Benedetty, która specjalnie przyjeżdżała z Bagnary, aby ją odwiedzić, z niespodziewaną energią zmuszała do pracy wszystkie zęby, które jej zostały. Była to jedna z nielicznych przyjemności, na jakie mogła sobie jeszcze pozwolić.

Schrupała pistację i wyjrzała na zewnątrz. Samochody rzadko przejeżdżały po jej ulicy, przechodzącej w miejscu, gdzie mieszkała, w podwójny zakręt. Drzewo oliwne sięgało już balkonu na pierwszym piętrze. Przypomniała sobie czasy, kiedy całymi dniami zbierała oliwki, stale pochylona ku ziemi, ze zgiętym w pół kręgosłupem i z coraz bardziej zakrzywionymi, ale wciąż masywnymi jak bloki marmuru nogami. To właśnie w gaju oliwnym księcia poznała Pasquale. Była to miłość od pierwszego wejrzenia, i to tam, na ziemi, pośród oliwek czekających dopiero na zbiór. Ileż to czasu musiało minąć od tamtej pory? Co się z nim stało? Mieszka chyba jeszcze nadal w Niemczech. Ożenił się z Niemką, zostawiwszy ją z dnia na dzień, bez żadnej zapowiedzi. Dobrze, że chociaż nie była w ciąży. Jeszcze tego by brakowało!

Mena rozłupała orzeszka i zobaczyła Marię wychodzącą z garażu księcia. Dziewczyna była uśmiechnięta. A nawet bardzo zadowolona – jak kochanka szukająca ukradkiem drogi do domu, wciąż jeszcze rozpamiętująca zaznane pieszczoty. Musiała się bardzo starać!

– Ciekawe, na co ona liczy? – powiedziała do siebie, żując orzeszka. – Kogo ty sobie chcesz przygruchać? Coś mi się zdaje, żeś za bardzo wesoła, moja droga. Za bardzo! Uważaj, żebyś nie wyrznęła tyłkiem o ziemię.

Śledziła ją wzrokiem, gdy ta zmierzała do swego domu; wznosiła ręce ku niebu, jakby prosząc Boga o łaskę.

– Niszczy się własnymi rękami!

Zamknęła torebkę i wstała. Musiała porozmawiać ze swoją kumoszką Natą.

Ta historia musi się skończyć. Najpierw była opętana. Teraz zadaje się z magami. Po co w ogóle ten Giovanni Buscemi przyjechał do Cittanova? Chce zniszczyć tę biedną niebogę? Uśmiechnęła się sarkastycznie. Zresztą, kto ją tam wie, czy ona naprawdę taka nieboga.

– Kto się rodzi okrągły, nie może umrzeć kwadratowy! – przypomniała sobie to przysłowie i zeszła po schodach, by udać się do kumoszki.

Livia Antonietta szła wolno w kierunku kasztanowego lasku, kiedy usłyszała, że woła ją Giovanni. Zatrzymała się, gdy tylko przekroczyła bramę książęcego domu, otoczonego zaniedbanym obecnie ogrodem, i zaczęła, aby to on ją dogonił. Bita droga prowadziła do pierwszych zabudowań, następnie dochodziła do rozdroża, gdzie rozgałęziała się na dwie dróżki, z których jedna wiodła do parku miejskiego, a druga w stronę ścieżki biegnącej do leżącego naprzeciw kasztanowego lasku pola, na którym wyróżniało się potężne drzewo wiśni.

– Gdzież to się wybierasz? – zapytał Giovanni, zbliżając się do kobiety.  
 – Umówiłam się z moją przyjaciółką u niej w domu – odpowiedziała. – Pójdziemy do Matki Bożej zmienić kwiaty i trochę tam uporządkować. Dziś w nocy wiało, a jakiś czas temu w kapliczce rozbiła się szyba. Nie wiadomo jak. Lepiej pójść i sprawdzić.

– Chodzisz codziennie do kapliczki Matki Bożej – zauważył Giovanni.  
 – Prawie codziennie – poprawiła go Livia Antonietta. – To zależy, ile mam pracy do zrobienia.

– Jak się czuje mama?  
 – Dobrze – powiedziała. – Teraz już coraz dłużej śpi. Ciągłe potrzebuje odpoczynku.

– Odpoczynek na pewno jej nie zaszkodzi.  
 – Tak, ale trochę mnie to niepokoi.  
 Giovanni położył dłoń na jej ramieniu.  
 – Nie widzieliśmy się już ponad tydzień – obliczył.  
 – Tak – odparła kobieta z twarzą rozpaloną promieniami wczesnego poranka.  
 – W tym tygodniu musiałam pokończyć sporo zamówień. Robiłam również stroje na zabawę karnawałową. Dla sióstr – poinformowała go. – Zamówiły dwadzieścia ubrań na jakieś przedstawienie. Nie mówiąc o całej reszcie.

– Praca bardzo cię pochłania.  
 – Aż za bardzo.  
 – Nigdy nie udaje się nam spotkać.

Livia Antonietta próbowała odczytać coś z jego twarzy. Czego mógł naprawdę od niej chcieć? Dawniej pewnie przypuszczała, że może się w niej podkochuje, ale teraz, w ich wieku, coś takiego byłoby nie do pomyślenia? Czego mogła się spodziewać od kogoś takiego jak on?

– Wiesz, gdzie mieszkam – powiedziała, próbując wydać się zabawną.  
 – Tak – odparł, prawdopodobnie rozumiejąc jej zakłopotanie. – Maria jest naprawdę niezwykłą dziewczyną – dodał.

– Co z nią?

– To dziewczyna, która chce poznać siebie – odpowiedział. – Jest bardzo zmotywowana, by poprawić swój stan zdrowia, ale jej sytuacja jest bardzo złożona. Myślę, że to będzie wymagało sporo czasu, jednak dużo zależy też od zachowania jej matki.

– Dlaczego? Jak ona się zachowywała?

– To osoba bardzo zamknięta. Mam na myśli seksualność.

– I ten fakt wpłynął na Marię.

– Z pewnością tak – powiedział Giovanni. – Ale są pewne sprawy, których jeszcze nie potrafię zrozumieć i o których niestety nie mogę ci powiedzieć.

– Jasne – odparła.

– Marii nie pozwalano na wiele rzeczy – kontynuował. – Ale to silna dziewczyna...

– Jest pełna miłosierdzia, Giovanni – uściśliła Livia Antonietta. – Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ona. Jest święta z natury, rozumiesz? Nie zasługuje na to, by być tak nieszczęśliwa.

Giovanni przyznał jej rację, ale nie dodał ani słowa.

– Teraz muszę już iść – powiedziała Livia Antonietta, patrząc na zegarek. – Mimma czeka na mnie od dziesięciu minut.

– Tak, idź, nie zatrzymuję cię.

– Do zobaczenia.

– Wpadnę do ciebie.

– Czekam.

– Może któregoś wieczoru zaproszę cię gdzieś na kolację.

– Pod warunkiem, że mama będzie się lepiej czuła.

– Będzie się lepiej czuła, nie martw się.

– Ona jest z żelaza.

– Tak, to naprawdę wyjątkowa kobieta.

Zaśmiali się.

Livia Antonietta poszła w górę drogi, natomiast Giovanni skierował się w stronę ogrodu. Szpaler topól spokojnie falował na wietrze. Luty szybko mijał, zaczęły się już pojawiać pierwsze oznaki wiosny, która zapowiadała się na zimniejszą niż w poprzednich latach. Chłód panował zbyt długo i był uciążliwy, ale śnieg ani razu nie spadł na wysokości domostw. Tylko na kilka dni pobielił wierzchołek kasztanowego lasku, ale wystarczyły pierwsze promienie słońca, by definitywnie się roztopił.

Giovanni otworzył furtkę ogrodu, a następnie zamknął ją za sobą. Skierował się prosto pod wiatę i wyciągnął na zewnątrz worek węgla. Wysypał trochę na gazetę i postawił worek z powrotem na swoim miejscu. Na ten wieczór miał ciepło, którego potrzebował. Być może powinien był wziąć telewizor, ale na to było jeszcze za wcześnie. Wolał po prostu być tam, ogrzewać dłonie przy ogniu, nad czar-

nymi i rozżarzonymi węglami, i rozmyślać, wyobrażać sobie swoje życie, układać w jedną całość swoją przeszłość i pytać się o powody tej szczególnej tkliwości, promieniującej z twarzy Livii Antonietty.

Jej ojciec był tam. Wciąż tam był. Otworzyła ponownie oczy, ale sen nie minął. Wszystko było zamglone i niewyraźne. Jakby jakaś żelatyna przyklejała się do jej oczu niczym klej. Mierziło ją to, nie mogła tego znieść, ale to nie wyrządzało jej żadnej krzywdy.

Przerażona otworzyła oczy i przez chwilę dygotała jeszcze, zanim zdecydowała się wstać z łóżka. Powinna pozwolić, aby sprawy toczyły się swoim torem. Być może zmarli chcą jej coś powiedzieć. Takie były ostatnie słowa Giovanniego.

Pomyślała raz jeszcze o śnie i zobaczyła jakiś cień, swojego ojca, który kogoś jej wskazywał.

– Pocałuj go, pocałuj go! – mówił i zbliżał jej twarz do tego drugiego. – Pocałuj go, pocałuj go!

Ale dlaczego miałyby go pocałować? Czemu miałyby kogoś pocałować? Może to był jakiś inny zmarły. Ale dlaczego jej ojciec tak bardzo nalegał? Chce ją mieć przy sobie. Nie wiedziała, jak inaczej to sobie wytłumaczyć. Czy chce, aby ona przyszła do niego, przyłączyła się do niego?

Zaczęła płakać.

– Zostaw mnie! – powiedziała. – Idź sobie, tato. Zostaw mnie na zawsze! I tak cię kocham. Tato, zostaw mnie w spokoju. Tatusiu mój...

Skuliła się w łóżku, nie bacząc na chłód nocy, i zasnęła ponownie, modląc się za siebie i za duszę swego ojca.



- Dziś w nocy śnił mi się mój tata – powiedziała Maria.
- Opowiedz mi o tym.
- Stał i mówił mi, żebym kogoś pocałowała – zaczęła. – Nie wiem, czy to była osoba zmarła, czy jeszcze żywa. Mówił mi: „Pocałuj go, pocałuj go”, ale ja tego nie chciałam. Czułam się jakby cała w kleju, to było nie do zniesienia...
- Udało ci się zobaczyć ojca?
- Nie, ale mimo wszystko wiedziałam, że to on, choć go nie widziałam. Giovanni odchrząknął.
- Dlaczego prosił cię, abyś tego kogoś pocałowała?
- Nie wiem.
- Jaki to miał być pocałunek?
- Miałam go pocałować – wyjaśniła. – Jak wtedy, gdy szukasz z kimś kontaktu. Ale miałam to zrobić w ten sposób.
- Miałas go pocałować w usta?
- Myślę, że tak.
- A kim był ten drugi? Czy to ktoś, kogo znasz?
- Zupełnie go nie widziałam – odpowiedziała. – Ten ktoś był w cieniu. Ale sen trwał kilka sekund.
- Nie pamiętasz nic innego?
- Nie.
- Co robił twój ojciec we śnie?
- Był blisko mnie. Dotykał mnie. Trzymał mnie za ramiona, ponieważ chciał mnie zaprowadzić do tego drugiego.
- A ten drugi miał zamiary seksualne wobec ciebie?
- Nie, nie sędzę.
- A ty?
- Czułam niechęć – powiedziała. – Ale to nie wszystko. Nie chciałam tego zrobić, jednak nie martwiłam się tym, że mam go pocałować. Giovanni odczekał jeszcze chwilę.
- Jak się czułaś, kiedy się obudziłaś? – zapytał.
- Czułam, że się duszę. Przez moment nie wiedziałam, czy jestem na jawie, czy dalej śnię.
- A więc było to raczej negatywne spotkanie z ojcem – domyślił się.
- Nie, nie wiem – odpowiedziała niepewnie Maria. – Tak jakby mój tata chciał mnie gdzieś zaprowadzić. Giovanni przytaknął z przekonaniem.
- Kogo ci przypomina ta druga osoba? Przede wszystkim, czy to mógł być

mężczyzna? – zapytał.

- Tak, to na pewno był mężczyzna.
- Czy ten mężczyzna przypomina ci coś lub kogoś?
- Nic mi nie przychodzi na myśl. Myślałam o tym przez cały ranek.
- Czy jest ktoś, do kogo on jest podobny?
- Nie, bo po prostu go nie widziałam.
- Spróbuj nadać mu jakiś wygląd.

Maria uniosła ramiona, uśmiechając się, jakby chodziło o zabawę.

- Jaką twarz miałabym mu dać?
- Spróbuj wymyślić jakąś.

Maria zamknęła oczy, ale po paru sekundach potrząsnęła głową.

- Nic nie widzę. Nie przypomina nikogo spośród tych, których znam.
- Spróbuj nawiązać jakiś kontakt z cieniem – nalegał Giovanni.
- Jak?
- Zamknij oczy i zbliż się do cienia?
- Tak.
- Nawiąż kontakt, może za pomocą dłoni, z jego twarzą, jego rękami, jego

klatką piersiową.

- Tak.

Maria skłoniła głowę na piersi i wyobraziła sobie cień idący jej naprzeciw.

Dotknęła go.

- Jest smutny – powiedziała.
- Dlaczego jest smutny?
- Jest smutny jak Serafino – wyjaśniła.
- Kto to jest Serafino?

Maria otworzyła oczy, jakby chciała się ocknąć z zamroczenia.

– To staruszek, który żyje samotnie – powiedziała. – Mieszka koło stacji. Nazywałam go „człowiekiem od drezyny”. Ma pole pełne pomarańczy, a kiedy nas odwiedzał, zawsze przynosił nam ich pełne torby.

- Widziałas go ostatnimi czasy?
- Nie, nie widziałam go już ponad miesiąc. Był w szpitalu. Cierpi na marskość.
- Pije?
- Tak, stale jest pijany. – Pomyślała chwilę. – Ale jaki on ma z tym związek?
- Może żaden – odpowiedział Giovanni. – Może jest to tylko takie skojarzenie myśli.

- Ale dlaczego pomyślałam właśnie o nim?
- Czy Serafino przypomina ci kogoś?
- Nie. Był osobą uprzejmą, zawsze ze mną żartował. Pamiętam, że trzymał mnie na kolanach i że zawsze pił.

– Z kim? Z kim pijał?  
– Jeszcze parę lat temu była tutaj gospoda. On zawsze grał tam w karty i pił wino.

– A ty chodziłaś czasami do gospody?  
– Była tam dziewczynka, którą znałam, wnuczka właścicielki, ale potem wyjechała. Wydaje mi się, że teraz mieszka w Cannava<sup>7</sup>.

– Tam, gdzie znajdują się inne posiadłości księcia.  
– Tak. To piękne miejsce. Zawsze myślałam o założeniu rodziny i wyjechaniu tam.

– Ja też byłem tam wiele razy. Odnosi się wrażenie, jakby czas cofnął się o wiele lat.

Maria rozjaśniła się.

– Ja chcę tego – stwierdziła. – Gdyby można było, zatrzymałabym czas, by pojechać i zamieszkać tam, tak jak się kiedyś robiło, jak w jednej wielkiej rodzinie, pośród pól, stale otwartych domów, tak jak było jeszcze zaraz po wojnie.

– A nawet jeszcze kilka lat temu – uściślił Giovanni. – Ludzie zostawiali nawet klucze zawieszane na drzwiach.

– Tak, ale wcześniej wszystko było inaczej. Była większa wspólnota. Nie tak jak dzisiaj, że każdy zamyka się w swoim domu. Jeszcze parę lat temu wieczorami wszyscy siadali przed domami. Teraz robią to tylko staruszki.

– Teraz jest zimno.

– Mówię o lecie.

Giovanni uśmiechnął się.

– Podoba ci się myśl o rodzinie.

– Bardzo lubię, kiedy wszyscy są razem. Kiedy dzielnica staje się duża i można wejść do domów bez problemu. Kiedyś tak było.

– Tak, kiedyś tak było – przypomniał sobie Giovanni, czując, że ogarnia go lekkie wzruszenie. – Dzielnica była jednym wielkim domem. Choć, wiesz, niewiele potrafiło mnie znieść.

– Dlaczego? – zapytała zaciekawiona Maria.

– Bo byłem zły – odpowiedział w dialekcie. – Kiedy przechodziłem, znikwały wszystkie klucze w drzwiach domów. – Zaczął się śmiać. – Zamykałem wszystkich albo wrzucałem klucze do rynsztoków, albo kazałem sobie płacić za otwarcie drzwi. Ludzie zamykali się w domach, kiedy przechodziłem.

– Był pan straszny – zauważyła Maria z rozbawieniem.

– Najgorszy ze wszystkich dzieciaków – odpowiedział. – Ale mimo to mnie lubili, ponieważ wszystkim załatwiałem różne sprawy.

Zaśmiali się. To był pierwszy raz, kiedy prowadzili ze sobą zwyczajną pogawędkę. Rozmawiali jeszcze przez ponad pół godziny, opowiadając sobie rozmaite anegdotki. Dopiero dźwięk syreny w południe uświadomił im, że minął czas, jaki

mieli do dyspozycji.

Miała doskonałą linię nóg. Wystarczyła poświata lampki, by uczynić je cudownymi. Ta jedwabna halka ledwie przed kolana i te piersi wyraźnie zarysowane poniżej ramiączek. Teresa nie miała jeszcze żyłaków ani popękanych naczynek. Jej skóra lśniła złociście, jędrna jak u dwudziestolatki. Forestieri pomyślał o Vincenzinie i stwierdził, że bezspornie nie wytrzymuje porównania. Położył się obok Teresy. Przejeżdżające ulicą samochody dawały o sobie znać odbłaskami reflektorów, które złowrogo przesuwwały się po pokoju. Przejeżdżały i po chwili już ich nie było. Niewiele dźwięków towarzyszyło temu ich spotkaniu. Po odbyciu stosunku zdrzemnęli się chwilę. On nie pił od dwóch dni, ona wysztafirowała się, tak jakby oboje mieli za co siebie przepraszać.

- Teresa... – powiedział, unikając zapalenia kolejnego papierosa.
- Co jest? – Położyła sobie rękę pod głowę. – Co jest, Franco?
- Kiedy wyjedziemy?
- Dokąd?
- Ja i ty, Tereso. Wyjedźmy i nie wracajmy więcej.
- A gdzie ty chcesz jechać?
- Nie daję już rady. – Przyłgął do niej, objął ją ramieniem, muskając jej płaski brzuch i zagłębienie między udami. – Nie chcę tu już dłużej być.
- Co możemy poradzić?
- Wyjedźmy stąd gdzieś na północ. Znamy dużo ludzi. Spakujmy się i wyjedźmy.

Teresa nieznacznie obróciła się w jego stronę, chcąc się upewnić, że nie żartuje.

- A co zrobisz z Vincenziną? – zapytała.
- Nie daję już rady być z nią.
- A Maria?
- Maria? – powiedział z ironią. – Kto to jest Maria? Kto ją zna? Czy według ciebie to jest córka? Niewiele brakuje, a zacnie mi pluć w twarz, gdy mnie zobaczy.
- Ale skoro jest taka dobra.
- Nie znasz jej.
- Może to ty jej nie znasz.
- Przez nią cierpię piekielne męki, Tereso. Nie chcę o niej więcej słyszeć. To nie jest moja córka. Już nie. Jeśli chodzi o mnie, to może sobie rozbić głowę o mur, ona i cały ten jej medyk.

Teresa przytrzymała jego dłoń.

- Nigdy tak wcześniej nie mówiłeś.

- Tak to znaczy jak?
  - Jednego dnia traktujesz mnie podle, jak dziwkę, a potem nagle wyskakujesz, że chcesz ze mną wyjechać?
  - Tylko z tobą mogę być.
  - Jesteś pewien?
  - A co? Uważasz, że jedno mówię, a co innego myślę?
- Teresa dostrzegła złudną nadzieję w tych słowach.
- Może dziś mówisz tak, a jutro powiesz mi, że tego żałujesz.
  - Nie, niczego nie będę żałował, Tereso. Wiem, czego chcę.
  - A czego chcesz?
  - Tymczasem chcę być z tobą. To po pierwsze. A poza tym chcę stąd wyjechać. Nie chcę do końca życia być murarzem i wyciągać rękę po pieniądze także od mojej żony.
  - No właśnie – odparła Teresa. – Jest twoją żoną. Co z tym zrobisz?
  - Co mnie to obchodzi? Wyjedźmy i bądźmy razem. Chyba siłą rzeczy musimy się pobrać.
  - Nie, siłą rzeczy nie. Co w ten sposób rozwiążemy?
  - Myślmy raczej o tym, co jest dziś, Tereso. Czego jeszcze chcesz od życia?
- Kobieta zaczęła się śmiać.
- Co się dzieje?
  - Nie wydaje mi się nawet, że ty to ty.
  - Dlaczego?
  - Bo nigdy tak nie mówiłeś. Ni stąd, ni zowąd rzucasz propozycję, że chcesz ze mną wyjechać, a wcześniej traktowałeś mnie podle.
- Forestieri powstrzymał ją, z rozmysłem dotykając delikatnie jej piersi.
- Kiedy cię źle potraktowałem? No, powiedz mi!
  - Zawsze.
  - Powiedz mi, kiedy cię źle potraktowałem.
  - Odpowiedziałam ci: zawsze.
  - I nie wiesz dlaczego?
  - Nie, sam mi to wyjaśnij.
- Pocałował ją w szyję.
- Kiedy ktoś ma życie nie do wytrzymania, zawsze się czepia tego, kogo najbardziej kocha – powiedział.
  - Tak jest łatwo.
  - Dlaczego? Czy koniecznie wszystko musi być trudne? – Wbił wargi w jej szyję, łaskocząc ją węsami. – Dlaczego wy, kobiety, zawsze musicie wszystko komplikować?
  - Czy naprawdę mówisz to od siebie?
- Obrócił jej głowę w swoją stronę.

- Wyjedziesz ze mną – powiedział stanowczo.
- A jeśli ci powiem, że nie?
- Zabiję się. Co mi zresztą zostało?
- To niesprawiedliwe.
- Czy ci się to podoba, czy nie, tak właśnie jest. Wybieraj.

Teresa wtuliła się w jego ramiona. Nigdy go nie słyszała mówiącego tak poważnie. Była gotowa mu uwierzyć także dlatego, że sama chciała wyjechać, choćby nawet po to, by zatracić się gdzieś indziej.

– A jak będzie z pracą, z pieniędzmi? – zapytała go zniecka przestraszona.  
– Odłożyłem pięć milionów, coś jeszcze mogę wziąć z książeczki Vincenziny – uspokoił ją.

- Ja też mam odłożone parę milionów.
- W takim razie możemy wyjechać.
- A co z pracą?
- Na północy jest praca dla wszystkich.
- Gdzie, w jakiejś fabryce?
- Znajdziemy kogoś, kto nam pomoże. Powiedziałem ci: znam kilku ludzi.
- A kiedy?
- Kiedy chcesz, Tereso. Choćby jutro.
- Poczekajmy, aż minie lato.
- Dlaczego?
- Bo znam kogoś, kto może nam pomóc w Piemencie.

Forestieri mocno się do niej przytulił.

– Zostań ze mną, Tereso. Nie opuszczaj mnie.

Położył głowę na jej piersiach, a ona zaczęła głaskać jego włosy. Mieli jeszcze przed sobą sporą część wieczoru, którą mogli spędzić razem.

Angelina chodziła przygarbiona, w kapciach podniszczonych na bokach z powodu wykrzywionych nóg. Miała szerokie biodra i mocne ramiona, jak u kogoś, kto wziął w życiu na swoje barki za dużo ciężarów. Giovanni pamiętał ją zawsze taką: podeszłą w latach i wyniszczoną, ale z włosami zaplecionymi w warkocz, ułożony w wieniec na głowie, na pamiątkę jej jedynej miłości, którą straciła w młodości.

– Masz ochotę na anyżowego herbatnika? – zapytała Giovanniego, siedzącego w wiklinowym fotelu koło łóżka.

– Nie, dziękuję, Angelino.

Otworzyła szafkę i grzebiąc wśród rozmaitych pudełeczek, w końcu znalazła blaszany pojemnik. Wzięła go i pokazała z daleka Giovanniemu, po czym postawiła go na srebrnej, od lat niepolerowanej tacy. Po paru minutach wróciła z kawą nalaną już do filiżanek. Zapach anyżu napełnił cały pokój.

– To migdałowe ciasteczka – powiedziała, wskazując na pudełko.

– Nie, dziękuję, napiję się tylko kawy.

– Niczego nie przegryziesz? – zapytała Angelina, niemal rozżalona.

– Jestem już po śniadaniu.

– A co ci szkodzi jedno ciasteczko?

– Nic. Ale naprawdę nie jestem głodny. – Sięgnął po filiżankę z kawą i pociągnął dwa długie łyki. – Może wezmę sobie parę herbatników do domu.

– Możesz wziąć wszystkie.

Kto wie, jak długo leżą już w tym pudełku – pomyślał Giovanni.

– Wezmę dwa, tak na spróbowanie – powiedział, żeby ją zadowolić.

– Jak sobie życzysz. Nie nalegam. I tak zawsze robisz wszystko po swojemu.

– Musisz mi kiedyś przygotować *zippole*<sup>8</sup>, ale bez sardeli.

– Najzwyklejsze.

– Tak.

– À propos *zippoli* – powiedziała Angelina, jakby miała wygłosić poważną mowę. – W kościele wszystkie kobiety mówią o Vincenzinie.

– Co mają z tym wspólnego *zippole*?

– Bo ona sama jest jak *zippola* – wyjaśniła. – Źle mówi o wszystkich, ale to ona robi szkody.

– Co zrobiła?

– Nic, nic nie zrobiła – sprostowała. – Ale ty przestajesz z nimi, a moim zdaniem to błąd.

– Masz na myśli także Marię?

– Jasne – odparła, jakby chodziło o coś oczywistego. – Daj sobie z nimi spo-



kój. Całe miasteczko mówi o Marii, a teraz gadają też o tobie.

– I co gadają?

– Każdy mówi to, co myśli – odpowiedziała. – Wiesz, jak to jest. Każdy coś mówi i w końcu nie wiadomo, o co chodzi. – Spojrzała mu prosto w oczy jak matka synowi. – Wiesz, co mam na myśli, prawda? Ludzie gadają, bo spotykacie się w gabinecie księcia, cichaczem...

– Nigdy nie spotkaliśmy się potajemnie, Angelino – przerwał jej Giovanni. – Rodzice wiedzą...

Tym razem przerwała mu Angelina.

– Kto tam wie? Franco Forestieri? On się nie interesuje nawet tym, co się dzieje z jego matką. Posłuchaj mnie! Rzuć tę sprawę. Zostaw to wszystko w spokoju. To nie są rzeczy dla ciebie. Nic nie zyskasz, Giovanni. Myśl o tym, żeby się dobrze urządzać i jakoś ciągnąć naprzód. – Raz jeszcze spojrzała na niego stanowczo, jakby zbyt długo czekała na to, by mu wreszcie powiedzieć, co myśli. – Po co w ogóle wróciłeś do miasteczka? – spytała.

– Żeby odpocząć, Angelino.

– W takim razie zajmij się odpoczynkiem – wybuchła. – Ta historia to nic dobrego. To Cicciovi się nie podoba. Nikomu się nie podoba. Bo to nie jest w porządku, że się tak spotykacie, ty i Maria, w domu księcia. Ludzie gadają, a potem ty pewnie wyjedziesz, a Maria tu zostanie, rozumiesz? – Zaczęła potrząsać głową.

– Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak – odparł Giovanni. – Ale czy naprawdę nikt nie widzi, że Maria potrzebuje pomocy?

– I to dlatego jest taka zadowolona?

– Jak to „zadowolona”?

– Niektórzy mówią, że jest za bardzo rozanielona, kiedy wychodzi z gabinetu – ujawniła. – Sama to słyszałam i muszę cię przestrzec, nieprawdaż?

– Dziękuję ci, Angelino. Ale jeśli Maria wychodzi zadowolona z gabinetu, to dlatego że jest zadowolona. To wszystko.

– A tobie się wydaje, że tutejsi oszczercy myślą w ten sposób? Wszyscy biorą was na języki, Giovanni. Taka ich rozrywka, że gadają, na razie. Dzięki temu nie muszą myśleć o swoich własnych kłopotach, szubrawcy i tyle!

Giovanni bezwiednie pokręcił głową.

– Maria potrzebuje naszej pomocy, Angelino – powiedział.

– A to nie możesz sam chodzić do niej do domu?

– Wtedy zaczną gadać, że także Vincenzina jest zadowolona?

– Masz rację! – powiedziała kobieta, zastanawiając się nad tą możliwością. – Ale co ty, pytam, masz z tym wspólnego? Możesz jakoś pomóc Marii?

– Mogę, Angelino. Mogę to zrobić.

– Jak?

– Na tym polega moja praca.

Angelina przytaknęła bez przekonania.

– A co ty właściwie robisz? Jaki jest twój zawód? – zapytała po chwili wahania.

– Pomagam ludziom – odpowiedział. – Pomagam ludziom, żeby czuli się lepiej.

– Posłuchaj mnie, nie pomagaj już nikomu – zasugerowała. – Pomyśl o sobie, Giovanni. Zadbaj, żebyś sam był zdrowy, bo Maria – mówiła ze złowrogim syczeniem – jest już stracona. Pomieszało jej się w głowie. Bo jak już się diabeł raz koło takiej zakręci, to nie odejdzie z pustymi rękami!

Maria robiła sobie właśnie makijaż, kiedy matka weszła do pokoju. Nałożyła już sobie trochę podkładu, by nadać więcej koloru policzkom, a teraz malowała szminką blade zazwyczaj usta. Vincenzina okrążyła ją, po czym usiadła z tyłu, obserwując córkę w owalnym lusterku, które umieścili w pokoju zaledwie kilka dni wcześniej.

– I jeszcze do tego wszystkiego się malujesz? – zauważyła rozdrażniona.

– A co, mam iść całkiem zapuszczona? – odparła Maria, odkładając szminkę do kasetki.

– Przecież ty nigdy się nie szminkowałaś.

– Usta mam zupełnie białe.

Vincenzina poruszyła głowę na znak dezaprobaty.

– No, teraz jesteś naprawdę piękna – powiedziała.

– A co? Nie mogę być piękna?

– Do lekarza idziesz, nie na zabawę!

– Czy ja zawsze muszę być taka niewydarzona?

– Nie, niewydarzona nie, ale odpowiednia tak.

W końcu odwróciła się w stronę matki.

– Co znaczy „odpowiednia”?

– Masz siedemnaście lat.

– I co z tego?

– A to z tego, że przesadzasz?

– Z tą szminką?

– Rób, jak uważasz!

Vincenzina odwróciła się, aby odejść, dobrze wiedząc, że córka ją zawoła.

– Mamo...

– O co chodzi?

– Przecież nie robię nic złego.

– To po co się tak stroisz jak na zabawę?

– Bo chcę wyglądać elegancko.

– Uważaj! Posłuchaj, co ci mówi matka. Uważaj!

– Nie wiesz, co mówisz.

Vincenzina sposepniała na twarzy. Mąż też stale jest to powtarzał. *Nie wiesz, co mówisz.* Życie straciła przy córce i przy mężu, który do niczego się nie nadawał. Ileż to razy napełniała mu kieliszek, bo on musiał się napić wina. A potem sięgał po papierosa, w łóżku zaś śmierdział, bo dla niego kąpiel istniała tylko raz w miesiącu. Przychodził cały brudny i domagał się od niej rzeczy, o których nie chciała nawet pamiętać. Taki był, i co z tego? Czy dla niej nie ma zmiłowania na tym świe-

cie? Teraz znowu ta Maria. Dorasta. Jest piękną dziewczyną, ale co się z taką może stać, kiedy znajdzie się w rękach mężczyzny? Jest zbyt naiwna, dlatego ona musi czuwać nad każdym jej ruchem, śledzić ją, kontrolować. Ma tylko ją i wspomnienie Rokka, który był taki jak ona i zawsze wiedział, kiedy należy się przeżegnać.

Była rozczarowana.

Nie takiego życia się spodziewała. Zawsze bez reszty oddawała się Panu Bogu i Matce Bożej, ale nie było dla niej miłosierdzia. Nie było szczęścia. Jej twarz poszarzała, włosy posiwiały, a ciało coraz bardziej się deformowało. Unikała także spojrzeń w lustro. Miała pięćdziesiąt lat, a była już staruszką. Ociężała i grubą staruszką. Ale jeśli Maria chce żyć po swojemu, to się myli. Za grzechy się płaci – pomyślała.

Zeszła do kuchni, usiadła przy stole, owinęła różańcem dłoni i zaczęła się modlić.

– Dużo ostatnio myślałam o swoich snach – zaczęła Maria. Przed wyjściem wygładziła włosy, miała w ten sposób poczucie, że wygląda bardziej miejsko, a może nawet elegancko. Być może spodziewała się też, że Giovanni jakoś to doceni, ale tak się nie stało. – Zwłaszcza o ostatnim – dodała.

– O pocałunku zmarłych – przypomniał Giovanni.

– Tak.

*Pocałunek zmarłych.* Słyszała już o tym, kiedy była dzieckiem. Ktoś jej o tym opowiadał. „Kiedy zmarli cię całują.” – pomyślała, ale nie była w stanie dokończyć myśli, tak jakby było coś, czego nie potrafiła sobie przypomnieć.

– Czy coś innego śniło ci się ostatnio? – zapytał Giovanni.

– Nie pamiętam – odpowiedziała niemal zaskoczona. – Dlaczego powiedział pan o „pocałunku zmarłych”?

– Coś ci to przypomina?

– Przypominam sobie pewną staruszkę, która to mówiła. – Odgrzebała w pamięci. – To była stara kobieta, stale z chusteczką na głowie. To była nawet chyba hiszpańska chusteczka, myślę. Ale nie wiem, jak się nazywa. Zapadła mi w pamięć, bo różniła się od tych, które nosiły inne kobiety.

– Mantylka?

– Chyba tak. – Chwilę pomyślała. – Muszę o to zapytać Livię Antoniettę.

– Jak wyglądała ta chusteczka?

– Cała była haftowana, starannie wykończona, czarna, nie pasowała do siwych włosów staruszki.

– Ile lat wtedy miałaś?

– Siedem, osiem.

– I nie pamiętasz, dlaczego mówiła o „pocałunku zmarłych”?

– „Kiedy zmarli cię całują, to znaczy, że...”, ale nie pamiętam, jak to dalej leciało.

– To było coś pozytywnego czy negatywnego?

– Nie wiem.

– Bałaś się tej staruszki?

– Trochę. Mówiła dziwne rzeczy.

– Nadal żyje?

– Nie, zmarła jakieś trzy, cztery lata temu. Miała prawie sto lat.

– Jakie odczucia w tobie wywołuje?

– Stale mówiła o zmarłych – odpowiedziała. – Powtarzała, że zmarli zawsze z nią są. Myślimy, że ich już nie ma, a tymczasem oni żyją z nami, codziennie, towarzyszą nam, kochają nas.

Giovanni odczekał chwilę.

– Dlaczego przerwałaś?

– Tak mówiła ta staruszka – podjęła. – Że zmarli nas kochają.

– Mówisz to tak, jakby ci się to wydawało dziwne.

Niemal nie zwracając uwagi na słowa Giovanniego, Maria powiedziała:

– Nazywała się Rosetta. Rosetta Punturieri. I wszyscy myśleli, że była na wpół wariatką, ponieważ stale mówiła o tych rzeczach.

– To znaczy o zmarłych?

– Tak. – Uśmiechnęła się jakby przed czymś nieoczekiwanym. – Od lat o niej nie myślałam i gdyby pan nie zaczął mówić o tym pocałunku zmarłych, to-  
bym sobie nawet tego nie przypomniała.

– Co jeszcze sobie przypominasz?

Maria wzruszyła ramionami.

– Widzę pewne rzeczy, ale to wszystko jest mętne. Nie pamiętam zbyt do-  
brze – powiedziała z dystansem.

– Co widzisz?

– Jakąś twarz. I kogoś, kto się szybko porusza. Ucieka.

– Potrafisz mi powiedzieć, czyja to twarz?

– Może Rosetty.

– I co się dzieje?

– Chyba jej nie chcą.

– Kto jej nie chce?

– Wszyscy.

– Wszyscy z dzielnicy?

– Tak, chyba tak.

– Widzisz inne osoby?

– Nie, widzę tylko zrozpaczoną Rosettę.

– Bo nikt jej nie chce.

– Chyba tak.

– A dokąd ucieka? – szybko zapytał.

– Chce odejść.

– Co jeszcze widzisz?

– Jakąś kobietę, która odsyła ją do wszystkich diabłów.

– Może ma to jakiś związek z „pocałunkiem zmarłych”?

– Może.

– Co to mogłoby znaczyć?

– Że jak całujesz zmarłych, to coś się dzieje.

– Co?

Maria zadrżała.

– Nie chcę całować zmarłych – powiedziała niemal błagalnym tonem.

– Dlaczego sądzisz, że masz całować zmarłych?  
– Bo oni chcą czegoś ode mnie. – Podniosła błagalny wzrok. – Może chcą mnie zabrać.

– To chciała powiedzieć Rosetta? – drążył Giovanni.

– Rosetta rozmawiała ze zmarłymi.

– Tak jak ty czy jakoś inaczej?

– Nie wiem, czy tak jak ja...

Zrobił błąd. Odwrócił jej uwagę od siebie samej, rozproszył ją.

– Dlaczego nie chcesz całować zmarłych, Mario? – zapytał.

– Nie wiem.

– Mimo to odpowiedz mi.

– Nie wiem, co panu powiedzieć.

– Co mogłoby się stać?

– Jak mogłabym pocałować mojego tatę? – wybuchła piskliwym głosem, być może nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co powiedziała.

– Twój ojciec chciał, żebyś pocałowała ten cień.

– To nic miłego...

– Co nie jest miłe?

– Nie mogę pocałować kogoś takiego w usta.

– Mówisz, że to nie przystoi?

– Nie – odpowiedziała sucho.

– Ale twój ojciec nie prosiłby cię nigdy o pocałowanie kogoś w usta – wysunął przypuszczenie Giovanni.

Maria pośpiesznie westchnęła, jakby chciała uwolnić się od tego tematu.

– Nie przystoi – wybuchła. – To wszystko.

– Zastanów się – nakłaniał ją Giovanni.

– Nad czym?

– Nad tym wszystkim.

– Nad czym mam się zastanowić?

– Czym naprawdę jest „pocałunek zmarłych”?

– Powiedziałam już panu: nie wiem.

– To na pewno nie jest pocałunek wynikający z samego popędu seksualnego – stwierdził szorstko Giovanni. – Musi to być coś więcej, Mario. Czy rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak.

– Musisz się nad tym zastanowić.

– Jak długo mam się nad tym zastanawiać? – powiedziała gwałtownie, bliska płaczu.

Giovanni wyprostował ręce na biurku.

– Podaj mi dłonie, Mario – polecił.

Maria spojrzała na niego i wyciągnęła ręce w jego stronę. Mężczyzna ujął je i trzymał złęczone.

– Kontakt niekoniecznie musi być natury seksualnej – próbował jej wytłumaczyć. – To jest na przykład tylko gest przyjaźni; albo, jeśli chcesz, gest pocieszenia, opieki. Kontakt między dwiema osobami może być różnej natury.

Maria skinęła głową na znak, że się zgadza.

– Kontakt z cieniem – mówił dalej Giovanni – ma jakieś znaczenie. Sądę, że nie ma nic wspólnego z seksem. Musisz przejść ponad swoim sposobem widzenia rzeczy.

– Jak? – powiedziała Maria, prosząc o wyjaśnienia.

– Musisz się nauczyć, że seksualność jest tylko częścią życia...

– Boję się, że mnie dotkną – przerwała mu.

Giovanni zmierzył ją wzrokiem.

– Czy jest coś, czego mi nie powiedziałaś? – zapytał.

– Nie.

– Mam na myśli coś ze sfery seksualnej.

Maria gwałtownie się zarumieniła, cofając wstydliwie dłonie. Nie była już w stanie normalnie oddychać. Szyję miała napiętą, a szczęki zaciśnięte. Powstrzymała się, z głową nieco pochyloną do przodu i oczami napełnionymi strachem.

– Zauważyłem, że twój oddech jest bardzo płytki – powiedział Giovanni, próbując ją uspokoić. – Czy cierpiałaś kiedyś na astmę?

– Nie, nie sądzę.

– Czy bolą cię zuchwy, kiedy coś gryziesz?

– Od czasu do czasu.

– Następnym razem popracujemy nad oddechem – zapowiedział.

– Dlaczego?

– Bo to ważne.

– Ale ja oddycham normalnie...

– Nie sądzę – zaprzeczył Giovanni. Przyszła pora, by grać z nią w otwarte karty. Nie mógł dłużej zwlekać. – Twój oddech jest bardzo napięty, podobnie jak twoje piersi.

Zaczerwieniła się ponownie, z trudem łapiąc powietrze. Znalazła się w tarapatach. Ale musiała się przyzwyczaić również do tego. Emocje były związane z jej ciałem jak sękaty i powyginany korzenie. Nigdy by tego nie powiedziała, ale wiedziała, że wiele jest w niej napiętych miejsc. Powinna pracować głównie nad nimi, próbować je odblokować, pracując nad swoim ciałem. Problemem było ewentualne – pomyślała z ukrytym uśmieszkiem – uzyskanie jego zgody.



Maria usiadła na tapczaniku i oparła dłonie na wytartym materiale koloru bordowego. Wydaje się, że to aksamit, ale prawdopodobnie jest to tylko dobrej jakości płótno – pomyślała. Giovanni postawił krzesło blisko tapczanika i już po raz trzeci nakazał jej ułożyć się wygodnie i poczuć się swobodnie.

– Głęboko oddychaj – polecił. – Powoli. Staraj się odnaleźć swój rytm.

Maria spróbowała przytaknąć i nieświadomie chwyciła tkaninę tapczanika małymi i gładkimi jak u dziewczynki paznokciami.

– Odpręż się – dobiegł ją głos Giovanniego.

– Tak... jestem odprężona.

– Oddychaj powoli.

– Tak.

Giovanni ją obserwował. Oddech jakby zamierał jej w gardle, był zbyt płytki. A kiedy próbowała oddychać głębiej, mięśnie szyi naprężyły się, a plecy usztywniały. Skóra traciła barwę, a piersi nieruchomiały jak u posągu. Nawet oczy traciły blask, to znaczy ożywiały się z wysiłku oddychania, jakby coś od środka naciskało, by wypchnąć je z oczodołów.

– Kontynuuj – polecił jej. Chciał doprowadzić ją do stresu. Chciał zobaczyć, jak zareaguje. Pod tym ledwie zaznaczonym oddechem kryła się jakaś silna emocja. Wystarczyło ją trochę przymusić do ujawnienia się.

– Czuję ból w gardle – powiedziała w pewnym momencie Maria, zwalniając ucisk dłoni na tapczanie.

– Rozluźnij ręce.

– To nie ja to robię.

– Robisz to mimowolnie?

Maria znów przytaknęła, sceptycznie nastawiona do tych czynności. Po co to wszystko? Jaki to ma związek z tym, co się z nią dzieje? Jak ćwiczenie oddechu może pomóc jej lepiej się poczuć?

Wykonała to, co polecił jej Giovanni. Drapnęła tkaninę, po czym otworzywszy dłonie, położyła je swobodnie na tapczanie, który wydał się jej bardziej miękki w dotyku. Odetchnęła z ulgą i znów skoncentrowała się na oddechu.

– Czujesz ból?

– Nie – odpowiedziała, odrywając się od tego, co robiła.

– Potrafisz oddychać jeszcze głębiej?

– Boli mnie w piersiach, kiedy to robię.

– Czujesz niepokój?

– Jak?

– Czy czujesz się bardziej niespokojna, kiedy to robisz?

- Tak.
- Spróbuj.
- Maria zamknęła oczy, ale natychmiast przerwała.
- Nie potrafię – przyznała.
- Co mogłoby się stać, o ile wiesz?
- Nie wiem.
- Poczulałabyś ból?
- Tak.
- Czujesz ból także w plecach?
- Tak. I z tyłu głowy.
- A szczęki?
- Też.
- Ale tylko wtedy, gdy oddychasz głębiej?
- Tak.
- Spróbuj to zrobić, Mario. Nie dawaj za wygraną.

Tym razem Maria zgodziła się z niechęcią. Wargi jej drżały i odetchnęła, by odpędzić uczucie zbliżającego się płaczu. Zamknęła oczy, otworzyła je ponownie i poczuła się zdezorientowana, nie u siebie w domu. Gabinet księcia stał się nagle miejscem wrogim, nieprzyjaznym, a Giovanni zdawał się teraz być kimś obcym. Walczyła, by nie ulec temu nowemu sposobowi postrzegania rzeczywistości i ponownie zamknęła oczy. Musiała oddychać. Musiała to zrobić. To dla jej dobra.

- Powoli zrób trzykrotny wdech, Mario.

Głos Giovanniego przeniósł ją z powrotem do teraźniejszości i pozwolił jej odzyskać świadomość. Zrobiła trzykrotny wdech.

– Próbuje dalej w ten sposób, zwiększając wydech – powiedział Giovanni. – Ale zawsze bardzo powoli, jeśli nie kręci ci się w głowie.

Maria skupiła się i wróciła do ćwiczenia. Po mniej więcej minucie poczuła potrzebę otwarcia ust i wydania jęku.

- Co się stało, Mario?
- Nie jestem w stanie otworzyć ust.
- Bolał cię szczęki?
- Tak – odpowiedziała, zaciskając zęby.
- Mogę dotknąć twoich pleców?
- Dlaczego?
- Pomogłoby ci to.

Maria poruszyła głową, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć. Giovanni przesunął krzesło do przodu i powiedział jej, by się odwróciła. Maria zrobiła to i znieruchomiła z pochyloną głową, jakby musiała się podporządkować regułom drugiego.

- W dalszym ciągu oddychaj – powiedział Giovanni. – Teraz opuszkami pal-

ców będę uciskał ci plecy. Być może to będzie cię bolało, ale nie przestawaj oddychać. Jeśli czujesz, że musisz coś powiedzieć lub wydać jakiś dźwięk, zrób to. Nie myśl o tym, co mogłoby się zdarzyć. Nie myśl, że ludzie mogą cię usłyszeć. Rób wszystko, co twoim zdaniem może być konieczne.

– A jeśli będę miała ochotę krzyczeć? – powiedziała Maria, niemal chcąc protestować.

– Zrób to.

Dziewczyna zaczęła znów oddychać, tymczasem Giovanni położył otwarte dłonie na jej plecach. Opuszkami palców wykonał pierwszy ucisk, odnalazł miejsca większego napięcia i zaczął naciskać bardziej zdecydowanie. Maria stęknęła, po czym znów głośnie jęknęła. W tym bólu jej oddech otworzył się i wydobył raptownie na zewnątrz razem ze śliną.

– Rozluźnij oddech, Mario – nakazał jej Giovanni. – Pozwól mu się swobodnie wydobywać. Rozluźnij go.

Maria zablokowała się na chwilę.

– Oddychaj, Mario – nalegał. – Nie przestawaj oddychać.

Bolało ją to. Cierpiała, ale jednocześnie czuła teraz ulgę. Oddech stawał się równiejszy, pełniejszy. Czuła, że jest bliska płaczu, a teraz nie wiedziała już, jak się powstrzymać. Być może właśnie tego zawsze chciała. Być może zbyt długo czekała, by zapłakać w taki sposób. Te łzy zawsze tam były, towarzyszyły jej przez tak długi czas, ledwie podskórnie, może nawet w jej duszy. Od czasu do czasu się wyłaniały, ale potem wracały na swoje miejsce. Nie wolno jej było się uzewnętrznić, niczego jej nie było wolno. Cała jej uraza, jej złość, jej gorycz, jej niemoc, najpierw dziecka, potem dziewczyny była tam, w tej wodzie, która czekała, żeby z niej wytrysnąć. Pozwoliła sobie na wściekły skowyt i nie poznawała samej siebie. Nie umiała tak się zachowywać. Zwykle nie mogła się poskarżyć, nie mogła wyrazić swojego zdania, nie mogła nawet być sobą, wybrać, jak się ubrać, czy założyć kolczyki, czy użyć szminki, czy wciągnąć pończochy, czego zawsze pragnęła. Budzić pożądanie. Nigdy nie doznała tego uczucia. A tak bardzo go pragnęła. Chciała kochać, chciała uciec. Życ. Czy to tak trudno było zrobić? Gorycz zalała jej oczy, zmuszając ją do nowego grymasu niezadowolenia, niemal pogardy. To właśnie było jej życie i być może z tego powodu nocą jakaś jej część krzyczała, by stać się słyszalna.

Odwróciła się w stronę Giovanniego i ujrzała twarz, która chroniła ją przed jakimkolwiek oskarżeniem, przed jakimkolwiek poczuciem winy. Płacz wezbrał w niej, a ona pozwoliła mu ujść na zewnątrz. Łzy polały się spontanicznie, wreszcie świadome długiej drogi, jaką musiały przejść, by się wydostać. Maria objęła Giovanniego i zapłakała jak jeszcze nigdy wcześniej.

Sadził właśnie sałatę i pomidory, kiedy Ciccio wszedł do ogrodu. Lekka mgła wypełniała powietrze, przesłaniając widok. Na tarasie pojawiły się pierwsze

muchy wraz z nareszcie cieplejszym słońcem.

– Giovanni! – zawołał Ciccio, łącząc to słowo z gwizdnięciem.

Buscemi podniósł głowę, położył grabie na ziemi, otarł sobie ręce o spodnie i podszedł do niego.

– O co chodzi? – zapytał, gotów pokazać mu pierwsze owoce swojej pracy.

– Co robisz?

– Sadzę sałatę.

– Nie słyszałeś karetki?

– Tak, słyszałem, ale wydawało mi się, że to daleko.

– Zmarła mama Livii Antonietty – zakomunikował mu. – Kilka godzin temu.

– Co się stało?

Ciccio wzruszył ramionami i wykonał gest ręką.

– Nie wiem – odpowiedział. – Staruszka. Miała ponad osiemdziesiąt lat.

– Wciąż była przecież zdrowa.

– No, cóż poradzić. – Ciccio rozłożył ręce, jakby nie dało się już nic zrobić.

– Takie życie, mój drogi. Jednego dnia jesteś, a następnego się przeprowadzasz. – Przytaknął swoim własnym słowom. – W każdym razie przekazałem ci informację.

– Byłeś już w domu Antonietty?

– Tak, stamtąd właśnie przychodzę. Jest tam pół dzielnicy.

– Dzięki, Ciccio.

– Nie ma za co.

– Zaraz tam pójde.

– No to zobaczymy się później na pogrzebie. Teraz muszę załatwić jeszcze jedną ważną sprawę.

– Tak, dobrze.

Ciccio zapalił papierosa bez filtra i pożegnał się. Giovanni zostawił rozpoczętą pracę i poszedł pod wiatę, aby wziąć wiszącą tam na gwoździu kurtkę. Matka Livii Antonietty była chyba najstarszą osobą w dzielnicy. W jego pamięci była to kobieta żywotna i pełna energii, lubiąca się dziwacznie ubierać. Bardzo różniła się od jego matki. To ona uszyła mu ubranko na komunię. Białe ubranko – przypomniał sobie. Uśmiechnął się. Tamtego dnia jako jedyny był ubrany na białe. Założył także rękawiczki, miał też włosy przyklejone do czoła za pomocą śliny.

Zamknął ogródek i poszedł do domu się przebrać.

Kiedy przyszedł do domu Livii Antonietty, zwłoki były już ubrane i ułożone na łóżku. Czekali na trumnę, którą miano przywieźć lada chwila. Livia Antonietta wydawała polecenia swoim uczennicom jak gdyby nigdy nic. Rozmawiała o pracach wymagających kontynuacji i o zamówieniach do zrealizowania. Zauważyła Giovanniego dopiero, kiedy podszedł do niej bliżej.

- Witaj – zagadnął.
- Witaj, Giovanni.
- Wyraży współczucia.
- Dziękuję.

Ucałował ją w policzek. Ona jakby czekała na rozkazy. Dom roił się od ludzi i przez chwilę poczuła, że zaraz zemdleje.

- Jak mogę ci pomóc? – zapytał Giovanni.
- Wszystko już zrobione, dziękuję.
- Czegokolwiek byś potrzebowała, możesz na mnie liczyć.
- Dzięki.

Pod wpływem impulsu chciał ją objąć, ale się powstrzymał. Pozwolił jej odejść. Miał teraz co innego do zrobienia, musiał myśleć o czymś innym. Poszedł do sypialni, gdzie leżało ciało, musnął je dłonią i przeżegnał się. Jego matka byłaby mniej więcej w tym samym wieku, gdyby żyła. Skupił się przez chwilę, po czym raz jeszcze uczynił znak krzyża. Nie patrzył już na panią Laurettę. Widział, że jest ładnie ubrana i że mimo zmarszczek i bruzd jej twarz jawi się piękna, delikatna jak bawełna. Był rad, że tak wygląda.

Wrócił na dół, pozdrowił parę osób i zobaczył, że jest również Vincenzina. Po kilku minutach przyszła także Maria. Kiedy weszła, przez pokój przeleciał lekki szmer, ale podniosłość chwili od razu go uciszyła. Maria rozejrzała się dokoła i dołączyła do matki, która przystanęła koło kuchni. Giovanni przywitał się z nią, a ona odwzajemniła powitanie, uprzejmie jak zawsze. Tymczasem Livia Antonietta przeniosła się do swojej pracowni krawieckiej. Giovanni odczekał chwilę, po czym dołączył do niej. Zastał ją z fotografią matki w ręce.

– Chodź, Giovanni, chodź – zaprosiła go, widząc, że stoi nieruchomo w progu pokoju.

- Mogę się z tobą pożegnać?
- Oczywiście.
- Idę, ale później wrócę.
- Nie przejmuj się.
- Masz tysiące spraw na głowie, ale jeśli potrzebujesz pomocy, czegokolwiek, zadzwoń. Jeśli chcesz, mogę zająć się obiadem.

– Już inni o tym pomyśleli, dziękuję.

Była oficjalna, jakby był tylko znajomym, którym trzeba się zająć. Podeszedł do niej.

– Myślę o tobie, myślę o tobie stale – powiedział.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Przytulił głowę do jej piersi i czekał, by usłyszeć ciszę.

– Jest pan zajęty? – zapytał ksiądz Edoardo Giovanniego, zaskakując go niemal, kiedy ten otwierał furtkę do ogrodu.

– Witam, księżu Edoardzie – pozdrowił go Giovanni, wyciągając klucz z kłódki.

– Przeszkadzam panu?

– Skądże znowu.

– Szukałem kogoś na wspólny spacer do kapliczki Matki Bożej. Czy pasowałyby panu taka spora przechadzka?

– Czemu nie?

– Nie musi pan.

– Nie, przeciwnie, w ten sposób będziemy mogli podsumować sytuację w pewnej kwestii...

– Właśnie o tym chciałem z panem pomówić.

Ksiądz Edoardo wskazał drogę. Giovanni szedł obok niego, dotrzymując mu kroku. Minęli ostatnie zabudowania i ruszyli ścieżką prowadzącą na trawiastą polanę na wysokości wzniesienia z kasztanowym laskiem. Stamtąd mogli zobaczyć całą ulicę Grimaldiego aż do ulicy Nazionale, a także część kościoła Świętego Rocha, który wystrzeliwał w górę razem z wiekowymi drzewami parku miejskiego.

– Kiedy przejdę na emeryturę, kupię sobie dom w tej okolicy – powiedział ksiądz Edoardo.

– Widok jest naprawdę piękny.

– To urokliwe miejsce. Miejmy nadzieję, że takie pozostanie, choć obawiam się, że nie, z powodu tych nielegalnie budowanych domów, które wyrastają dzień po dniu.

– Wkrótce pochłoną wszystkie pola.

– I żeby dotrzeć do kapliczki Matki Bożej, trzeba będzie iść asfaltową drogą.

Spojrzeni na siebie zgodnie i poszli dalej w kierunku czereśni, która odgraniczała kasztanowy lasek od pozostałej części pola.

– Chciałem pana zapytać o Marię, Giovanni.

– Sam miałem przyjść, żeby z księdzem o tym porozmawiać – powiedział Giovanni. – Stan Marii znacznie się poprawił, ale to o niczym nie świadczy. W terapii nawroty są na porządku dziennym. Jednak to dziewczyna, która potrafi zaskakiwać. – Spojrzał na niego. – Miał ksiądz rację. Maria ma w sobie coś szczególnego, ale jest także bardzo przestraszona tym, co się z nią stało. Stara się jednak zrozumieć i iść naprzód...

– Co do tego nie miałem wątpliwości – przerwał ksiądz Edoardo. – Martwi mnie coś innego. – Zawahał się. – Ludzie gadają i nie są to nigdy piękne słówka.

- Co mówią?
- Bzdury, Giovanni. Bajki, w które absolutnie nie zamierzam wierzyć.
- To znaczy?

Teraz była jego kolej, by spojrzeć mu w oczy.

- Może mi pan zagwarantować, że wszystko jest w porządku?
- Chciał się dowiedzieć.
- Proszę mówić jasno, księżu Edoardzie.
- Ludzie są złośliwi, Giovanni. Pan wie to lepiej ode mnie. Wszędzie widzą sekrety, a niektórzy nie tracą okazji, by zaszkodzić także temu, kto jest zupełnie bez winy.

- Co powiedzieli?
- Że ma pan romans z Marią.
- Ja i Maria mielibyśmy być kochankami?
- Takie właśnie krążą głosy.
- Maria mogłaby być moją córką.
- Tak, wiem, ale wasze spotkania nie pozostają niezauważone, rozumie pan?

A w takiej małej społeczności oszczercy nie tracą czasu, by rozsiewać plotki.

- Rozumiem – powiedział Giovanni. – Co w takim razie miałbym zrobić?
- Chciałem tylko usłyszeć zapewnienie z pana strony.
- Wszystko jest w porządku, księżu Edoardzie. Marię trzeba tylko zostawić w spokoju. Dziwi mnie zresztą, że ludzie, którzy nauczyli się ją cenić, nie stanęli w jej obronie.

- Niektórzy to zrobili, zapewniam pana.
- Niech i ksiądz tak robi. Niech ksiądz uciszy pewne głosy. Maria ma poważne problemy i wystarczy naprawdę niewiele, aby znowu poczuła się źle.

Skręcili w ścieżkę prowadzącą do Matki Bożej, szli wśród gruchania słonek odlatujących z miasteczka. W oddali stado owiec przecinało lasek, zmierzając w stronę miejskiego parku.

- Jestem pewien, że Maria jest w dobrych rękach – podjął ksiądz Edoardo.
- Jest bezpieczna, mogę księdza zapewnić.
- A pan, Giovanni? Pan czuje się dobrze?
- Tak, dzięki Bogu.

Ksiądz Edoardo oparł się na jego ramieniu, by pokonać ostatni odcinek drogi – coś więcej niż ścieżynkę – wijącej się między gęstymi gałęziami młodych jeszcze drzewek.

- Wydaje mi się pan osobą bardzo wyczerpaną, jeśli wolno mi zauważyć – powiedział z niemałym wysiłkiem.

– Bo taki jestem – odpowiedział Giovanni. – Miałem swoje problemy jak wielu innych na tym świecie.

- To z powodu tych problemów wrócił pan do Cittanova?



- Tak, między innymi.
- I zamierza pan zostać?
- W obecnym stanie rzeczy odpowiem księdzu, że tak.
- Jest pan bardzo przywiązany do tej ziemi.
- Teraz tak, ale był okres, że jej nienawidziłem.
- Kiedy był pan młody?
- Jeszcze do niedawna.
- A pana praca? Co pan zamierza w związku z pracą?
- Na razie, przez jakiś, czas mogę sobie pozwolić na życie z zysków, na szczęście.
- I to panu wystarczy? Nie wydaje mi się pan kimś, kto ma skromne wymagania.
- Kiedyś owszem, ale teraz nie potrzeba mi wiele do życia.
- Mówi to pan z pewnym smutkiem.
- Każdy musi się rozliczyć z życiem, wcześniej czy później. To prawo natury.
- Prawo doprawdy surowe.
- Natura potrafi być bardzo surowa. A natura ludzka ma, niestety, ograniczenia, których nie da się przewyciężyć.
- Co ma pan na myśli?
- To, że człowiek powinien się skonfrontować ze swoimi niepokojami i lękami albo ze swoimi maniami wielkości i wszechmocy...
- Ten temat zaprowadziłby nas daleko – zauważył ksiądz Edoardo. – Ale na dziś moja natura starca nakazuje mi zatrzymać się tutaj.
- Oddychając ciężko, dotarł przed niszę z Matką Bożą i uklęknął, aby się pomodlić. Giovanni dołączył do niego. Od dawna się nie modlił, właściwie nigdy naprawdę tego jeszcze w życiu nie robił. Ukląkł i wpatrywał się w figurkę Matki Bożej, jaśniejącą niczym światło wczesnego poranka.

Wciąż jeszcze miała to wrażenie pełni. Pięknie było móc czuć oddech, który ją napełniał, rozszerzające się nozdrza, wreszcie świeże powietrze w gardle. Po dwóch dniach ta prosta czynność nadal skłaniała ją do płaczu. Wystarczyło niewiele, czasami choćby tylko myśl o powietrzu, by wywołać napłygnięcie do oczu łez w jakimś słodkim wzruszeniu, które miało posmak życia.

Vincenzina weszła do jej pokoju, zapukawszy tylko raz do drzwi.

– Cześć, mamó – powitała ją Maria, uśmiechając się szeroko.

– Co robisz?

– Nic.

– Czemu nie zejdziesz mi pomóc?

– W porządku.

Vincenzina poprawiła jakiś ciuch ułożony na krześle, wzięła miskę, która stała na podłodze, i ruszyła w kierunku drzwi.

– Mamó – zawołała Maria.

– Tak, co się stało?

– Co ci jest?

– Mnie? Nic – odpowiedziała niechętnie.

– Wydajesz się wkurzona.

– Wkurzona, dlaczego?

– Tak – odparła Maria. – Masz coś do mnie?

Zawsze bała się, że mama będzie się na nią gniewać z jakiegoś powodu. Zawsze bała się zrobić błąd, powiedzieć coś nie na miejscu albo zachować się w sposób niewłaściwy.

– Dlaczego mam mieć coś do ciebie?

– Nie wiem.

– Nie mam nic do ciebie.

– W takim razie czymś się przejmujesz.

– Nie, niczym się nie przejmuję.

– Wydaje się, że nie chcesz ze mną rozmawiać.

Vincenzina przyjęła wyniosłą, niemal pełną oburzenia pozę.

– Tak, teraz myślisz już tylko o swoich sprawach.

– Co masz na myśli?

– Czujesz się lepiej? – zapytała ze złością.

– Tak.

– To myśl, jak czuć się lepiej.

– Co ja ci zrobiłam?

– Nic. Myśl tylko o tym, jak czuć się lepiej. Myśl o sobie. A kto pomyśli

o twojej matce? Jestem dobra tylko wtedy, kiedy robię za pokojówkę albo kiedy trzeba dać komuś po gębie, jak przyjdzie wam na to ochota.

– Co ty wygadujesz? – zaprotestowała Maria.

– Co wygaduję? – syknęła. – Ile ja musiałam znieść? Ale to przecież ty jesteś tą, która jest chora, prawda? Ja nie mogę mieć słabości. Muszę znosić wszystko mimo tego, co przeszłam. Na nikim nie mogę się wyładować...

– Masz męża, nie? – sprowokowała ją Maria.

– Męża? – odparła Vincenzina z sarkazmem. – Kiedyś miałam męża, a potem moje życie się skończyło. Wraz z nim wszystko odeszło.

– Mamo...

Vincenzina stanęła przy drzwiach przybita, nieruchoma, jakby nie wiedziała, dokąd ma iść. Upuściła miskę. Metal uderzył o podłogę, wywołując głuchy, kilkakrotnie powtórzony dźwięk. Maria wstała z łóżka, ale kilka kroków przed matką zatrzymała się, zauważywszy ciecz spływającą licznymi strugami po jej nogach.

– Mamo! – powiedziała przestraszona. – Mamo, co się stało?

Mocz wciąż ciekł po tęgawych nogach, tworząc na podłodze ciemną i mętną plamę. Vincenzina stała oszołomiona, nie mogąc wydobyć słów, jakby wszystko miało się skończyć w tej chwili. Poczła, jak córka ręką delikatnie dotyka jej twarzy, usłyszała jej słowa, dostrzegła jej nową pewność siebie, ale to sprawiało jej ból. Jej córka nie była już taka jak ona. Była inna. Być może właśnie w tym momencie ją porzucała. W końcu zawsze do tego dochodzi. Nikt naprawdę nie chciał być z nią. Nawet Franco, który miesiącami się do niej umizgiwał, ale tylko po to, by mieć łatwe pieniądze i dach nad głową. To już nie był jej dom, ona już nie była panią niczego. Pomyślała o ołtarzu w kościele Świętego Rocha, o wszystkim, co ofiarowała Panu, Matce Bożej, świętym, i wtedy zauważyła plamę u swoich stóp. Wszystko minęło. Wszystko się skończyło. Teraz miała jedynie ochotę spać. Pozwoliła Marii, by położyła ją do łóżka, i poczuła, że córka usiłuje ściągnąć jej pończochy spod spódnicy. Nie próbowała jej pomagać. Teraz to ona powinna się nią zajmować. Tak jak zajmowała się staruszkami z dzielnicy. Tego przecież chciała, czyż nie?

Wpatrywała się w sufit, w ciemne plamy, ciemniejsze od jej moczu, i wyobraziła sobie ciepło, być może to z dzieciństwa. Zasnęła.

Tamtej nocy dużo jej się śniło.

Przewijały się różne twarze, ona zaś szła drogą prowadzącą do Zomaro. Mijała psy i węże. Wszystkie pozwalały jej przejść. Nie bała się, nie czuła już żadnego strachu. Ale w sercu wciąż płakała.

Później, na rozstaju, zobaczyła znów swego ojca. Siedział na głazie, chyba kamieniu milowym. Była na nim jakaś cyfra, a równina za głazem ciągnęła się w nieskończoność. Była jałowa, tylko parę krzaków, a ziemia sypka jak orzechowa miazga. Szła naprzód. Dotarła do miejsca, gdzie otaczała ją ziemia. Przycupnęła i wzięła jej garść do ręki. Miała na sobie tylko koszulę nocną, białą jak śnieg, nieskalaną. Ziemia posypała się jej z ręki, rozproszyła na wietrze, a potem zaczęła ją pochłaniać, tak jakby miały tę samą konsystencję. Wszystko było ziemią, a teraz ta ziemia ją wołała.

To był pierwszy wieczór, który spędzała sama. Mara i Letizia wyszły o ósmej, zostawiwszy gotową kolację na stole. Dom był pusty bez Lauretty. Gniazdo jej dzieciństwa w końcu się opróżniło, zostało puste, mała kolebka już bez mamy. Ponad pół wieku spędziła w tych ścianach. Cała jej egzystencja była tutaj, nie wykraczała dalej. A teraz – pytała siebie – po co to wszystko było? Śmierć jest naturalnym, logicznym końcem każdej rzeczy, powtarzała sobie. Ale nie było w tym żadnej pociechy. Życie zabrało z sobą wszystkie swoje obietnice, zostawiając ją bezsilną, jakby stawiając przed faktem dokonanym.

Jednak daremnie byłoby stać i płakać.

Od razu powinna wrócić do pracy. Tak należało zrobić. Weszła do pracowni i pomyślała raz jeszcze o Giovannim i tamtym jego długotrwałym uścisku. „Myślę o tobie” – powiedział jej. „Stale o tobie myślę”. Ale nie posunął się dalej. Nie był już tym mężczyzną, którego znała w młodości, dumnym, tryskającym życiem, zachwałym. Również w nim coś zgasło. Teraz bardziej spokojne, bardziej świadome światło ożywiało jego oczy, wciąż uważne i przezorne. Czuła, że w jakiś sposób może mu ufać. Była pewna, że jej nie zdradzi albo że przynajmniej nie zdradzi jej zaufania, jej uczuć. Teraz czuła jego szczerłość. I współczucie, które jej okazał w tych dniach z powodu śmierci matki, było dokładnie takie, jakie spodziewała się w nim znaleźć.

Ktoś zapukał do drzwi.

Liczyła, że to Giovanni. Dzień wcześniej wpadł, żeby przynieść jej śniadanie, po czym zaraz się zmył, jakby jego obecność była niestosowna. Poszła otworzyć i zobaczyła go przed sobą z ledwie dostrzegalnym uśmiechem, jak zawsze.

– Jak się czujemy? – zapytał ją.

– Tak sobie.

– Przeszkadzam?

– Nie, wejdź.

– Pracujesz?

– Nie, Mara i Letizia wyszły parę minut temu.

Giovanni wszedł.

– Co robiłaś? – spytał.

– Nic – odpowiedziała. – Zamierzałam sobie usiąść i zjeść.

– Wpadłem w nieodpowiednim momencie.

– Nie – odparła. – Wcale nie jestem aż tak głodna. A może zechciałbyś się do mnie przyłączyć?

– Jadłem już.

Livia Antonietta spojrzała na zegar na ścianie.

- Już za kwadrans dziewiąta – stwierdziła.
- Tak.
- Późno.
- Wpadłem tylko, żeby zobaczyć, jak się czujesz.
- Dobrze, dziękuję. Usiądź.
- Zostanę tylko kilka minut.
- Spieszysz się?
- Nie, ale z pewnością potrzebujesz odpoczynku.
- Trochę towarzystwa dobrze mi zrobi.

Ciągle stali w pewnej odległości od siebie, jakby się obawiała jego bliskości lub tego, co mogło się zdarzyć. Serce w niej waliło. Minęło tak dużo czasu. Może nawet nie pamiętała już tamtej swojej młodzieńczej miłości i tamtych paru wieczorów, kiedy mu się oddała, by później zobaczyć, jak wszystko rozsypuje się w drobny mak, jak nieuchronnie się rozpada. Nie mogła już wrócić do tamtych czasów: tak upragniona młodość przeminęła niczym miraż ukryty we mgle.

Być może właśnie to malowało się na jej twarzy? Być może Giovanni przeczytał w niej właśnie żal, gorycz, rozczarowanie.

Podszedł do niej i musnął jej nabrzmiąłą od płaczu w ostatnich dniach twarz.

- Dziękuję, że byłeś ze mną na pogrzebie – powiedziała.
- To było najmniej, co mogłem zrobić.
- Chciałam, żebyś był blisko – przyznała. – Chciałam tylko ciebie. Podniosła wzrok, szukając jego oczu, jakby chciała mu się powierzyć.

– Wiesz co? – powiedział.

– Co?

– Bardzo się zmieniłaś przez te lata.

Livia Antonietta zmarszczyła brwi.

– Na lepsze czy na gorsze? – zapytała.

– Jesteś inna.

– Co masz na myśli?

– Wracając tutaj, nigdy bym nie pomyślał, że cię spotkam. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta, ledwie je musnąwszy, trzymając jedną ręką część włosów, które opadały jej na twarz. Przesunął dłonią po jej policzku, poprawiając włosy, wpatrując się w jej ciemne oczy, jej cierpienie, słuchając jej drżącego oddechu. Livia Antonietta zapłakała, chowając twarz na jego piersi.

– Co się stało? – zapytał.

– To nie powinno się było zdarzyć... – zdołała powiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo nie powinno się zdarzyć.

– Czemu się boisz?

– Jestem sama, Giovanni. Jestem sama.

– Jestem tutaj z tobą.

Objęła go.

– A jeśli potem odejdziesz? – powiedziała z płaczem.

– Dokąd miałbym odejść?

– Nie należysz do tych miejsc.

– Tu się urodziłem. I uwierz mi, że to były najpiękniejsze miesiące mojego życia.

Ona nic nie powiedziała. Giovanni zaczął ją całować i pieścić, potem skierowali się na schody. Livia Antonietta wzięła go za rękę i zaprowadziła na górę, do swojego pokoju. Wyobraziła sobie, że matka gdzieś tam jest i że jest zadowolona. Czyż nie tego zawsze dla niej chciała? Livia Antonietta uśmiechnęła się na tę myśl. Giovanni objął ją ramieniem i gładził jej włosy, jakby chciał ją pocieszyć. Potrzebowała tej bliskości. Czowała, że oddech zamiera jej w piersi, rozpalają się policzki, oczy napęniają się niespodziewaną radością. Usiedli na łóżku. Livia Antonietta uśmiechnęła się nerwowo, ale nie czuła się skrępowana. Miała pod spodem czarną zdobioną koronkami halkę. Kiedy się rozbierała, robiła to bez wstydu. Usiadła przy nim, czekając na jego ruch. Uliczka już opustoszała. Mieszkała tam tylko jedna rodzina w domu, który wychodził na ulicę San Pasquale. To było ich małe królestwo. Radość, której tak bardzo szukali.

Giovanni ujął jej twarz w dłonie i ucałował, tym razem z większą intensywnością.

– Jesteś przepiękna – szepnął, i oboje położyli się na łóżku.

Z zewnątrz docierało światło księżycy, słabe i chwilami zasłonięte przesuwanymi się chmurami. Kochali się niemal ze spokojem, jak dwoje starych kochanków, którzy znają już swoją przeszłość i nadal ją kochają.

– Miałam sen – powiedziała Maria. – Nie mogłam się doczekać, by panu o nim opowiedzieć.

– Mogłaś przyjść i zawołać mnie.

– Miałam go dwie noce temu.

– Posłuchajmy.

– Musi być ważny.

– Dlaczego myślisz, że jest ważny?

– Bo jest w nim ziemia.

– Mówiłaś mi już o ziemi.

– Tak.

Maria czekała, myśląc, że będzie miał jakieś inne pytania, ale Giovanni ograniczył się do przytaknięcia i zachęcenia jej do mówienia. Popatrzyła na okno. Teraz już zawsze tak robiła. Właśnie to światło, które na nią padało, dawało jej pewnego rodzaju ciepło, siłę do kontynuowania. W tym gabinecie wszystko było jakieś pełne namaszczenia. Niczym kościół pogrążony w ciszy, mała namiastka Boga. Dobrze się tutaj czuła, mogła uchwycić siebie, przeżyć na nowo krok po kroku swoją historię, wyjawic prawdę o udreće, która tak bardzo ją męczyła.

– Posłuchajmy tego snu – powiedział Giovanni.

– Byłam na drodze do Zomaro – zaczęła. – Widziałam wiele twarzy, ale one nie chciały wyrządzić mi krzywdy. To były twarze nieznanym mi ludzi, którzy, moim zdaniem, chcieli mnie przepuścić...

– Chcieli cię przepuścić? – powtórzył.

– Tak, ponieważ miałam dotrzeć do jakiegoś miejsca. Miałam wejść na górę, a oni mi mówili, że jestem w stanie to zrobić, że mogę iść...

– Mów dalej.

– Potem zbiegły się psy i węże. Psy stały na skraju drogi, węże natomiast pełzały mi pod nogami, ale również one nie chciały mi wyrządzić krzywdy. Początkowo się ich bałam, lękałam się stawiać stopy na ziemi, ale także te węże chciały mi powiedzieć, że mam iść dalej, że mam wejść na górę. – Odetchnęła, by odnaleźć dalszy ciąg swojego snu, a widząc, że Giovanni nic nie mówi, podjęła: – Doszłam do skrzyżowania w Zomaro, tego, które prowadzi do Canolo.

– Tak.

– Tam był mój tatuś, ale on nic mi nie powiedział. Siedział na kamieniu, wielkim jak głaz. Za nim ciągnęło się pole, które się rozmywało. Nie było widać końca. Było ogromne i sięgało samego nieba. Miałam na sobie koszulę nocną, która się poruszała, jakby wiał wiatr, ale go nie było. Było tylko to przeogromne pole, ziemia. Chwilami wydawała się ziemią, a chwilami piaskiem, jak ten na plaży.



- Czy dla ciebie to jest różnica?
- Między piaskiem a ziemią?
- Tak.
- Nie wiem.
- Są jednakowe? – zapytał Giovanni.
- Nie, ziemia jest twardsza, piasek jest lżejszy.
- Bardziej lubisz piasek czy ziemię?
- Ziemia trzyma mnie tutaj jako moja ziemia, piasek może mi pozwolić la-  
tać.
- Na tym polega różnica?
- Chyba tak.
- Dlaczego ziemia trzyma cię tutaj? – szybko zapytał Giovanni.
- Bo to jest moja ziemia. Bo nie mogę jej opuścić.
- Dlaczego nie możesz jej opuścić?
- Bo... – Zawahała się, być może zaskoczona swoimi własnymi myślami. –  
Bo mój tatuś jest pod tą ziemią.
- I dlatego nie możesz jej opuścić?
- Tak. To jest ziemia moich zmarłych. Muszę tu być.
- Słusznie – zgodził się Giovanni. – A twój ojciec myśli tak samo?
- Nie wiem.
- Twój ojciec chciałby, abyś była szczęśliwa.
- Oczywiście.
- Wróćmy do snu.
- Tak.
- Jest pole z piasku i ziemi...
- Tak – powiedziała Maria. – To było pole, a ja w pewnym momencie znalaz-  
łam się na jego środku. Wzięłam trochę piasku, trzymałam go w dłoni, ale potem  
rozsywał się, znikł w powietrzu, ja zaś stałam się jak ten piasek, byłam z piasku.  
Sen kończy się tym, że ziemia mnie woła, bo chce mi coś powiedzieć...
- Ziemia cię woła czy piasek?
- Ziemia.
- I co ta ziemia ma ci do powiedzenia?
- Nie wiem. Mówiła do mnie, ale jej nie rozumiałam. – Podniosła głowę. –  
Przypomniałam sobie o jednej rzeczy.
- O czym?
- Na kamieniu, na którym siedział mój tatuś, była jakaś cyfra.
- Pamiętasz jaka?
- Chyba dziewięć.
- Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?
- Nie – odpowiedziała. – A może dlatego tam była, bo mój tatuś umarł dzie-

wiątego. Dziewiątego czerwca. Ale może się mylę. Chyba to nie był dziewiąty.

Giovanni znowu przytaknął.

– Jest jeszcze jakiś szczegół, który pamiętasz?

– Nie.

– Wróćmy do piasku i ziemi – podsunął temat. – Powiedziałaś mi, że czujesz się bardziej jak piasek.

– Nie o to chodzi – odparła. – Raczej czuję się swobodniejsza, jeśli jestem jak piasek.

– Czujesz się przez coś zamknięta?

– Chce pan wiedzieć.

– Co?

– Co chcę robić. – W jej oczach zapalił się płomień. – Pan Bóg chce, abym pomagała innym. Ja to wiem. On tego chce ode mnie.

– Czujesz się jak piasek, kiedy możesz być pomocna dla innych?

– Tak – odpowiedziała, uśmiechając się z powodu tego porównania.

– Być może to właśnie chce ci powiedzieć ziemia? Twój ojciec?

– Być może tak.

– Myślisz, że mogłaby to być jakaś odpowiedź?

– Tak.

– A co przeszkadza ci to zrobić?

– Powiedziałałam już panu: muszę być na swojej ziemi.

– Ale chciałabyś latać.

– Na razie nie. Na razie muszę tu zostać.

Giovanni zauważył, że nagle spochmurniała.

– Jest coś jeszcze? – zapytał.

– Moja mama – odpowiedziała. – Przedwczoraj źle się poczuła. Miała jakiś atak i posikała się.

– Co się stało?

– Nagle zaczęła mieć do mnie pretensje – wyjaśniła Maria. – Myślę, że ona uważa, iż nikt się z nią już nie liczy, to znaczy myśli, że nikt już jej nie kocha. – Zastanowiła się. – Że to moja wina, bo całymi miesiącami musiała mnie pilnować, ze względu na to, co się ze mną działo.

Giovanni zadumany zacisnął wargi.

– A teraz jak się czuje? – zapytał.

– Tak sobie – odpowiedziała Maria. – Robi wszystko jakby z musu, ale czasami widzę, że wpada w jakieś zamyślenie albo nie myśli o niczym. Nigdy wcześniej jej nie widziałam w takim stanie.

Giovanni uniósł brwi, zaciskając nadal wargi, jakby chciał ukryć swoje myśli.

– Twoja matka przeszła trudny okres i teraz płaci za to wysoką cenę – po-

wiedział. – Nic dziwnego, że jest wyczerpana, a może nawet popada w depresję. Ale nie przejmuj się: będzie umiała sobie poradzić ze zmartwieniami z minionych miesięcy. Potrzebuje się wyładować, rozumiesz?

– Wiem – zgodziła się Maria. – I właśnie dlatego nie chcę jej zostawić.

– Nikt ci nie mówi, że masz ją zostawić.

Oczy zaszyły jej łzami.

– Nie chcę, aby również moja mama się rozchorowała – wyjąkała.

– Przejdzie jej, Mario. Bądź spokojna. Przejdzie jej, kiedy zobaczy, że jej córka czuje się dobrze.

– Miejmy nadzieję.

– Jestem pewien, że tak będzie.

Maria oparła dłonie na biurku i potrząsnęła głową, wybuchając płaczem, który powstrzymywała w minionych dniach, by nie pogorszyć jeszcze bardziej stanu matki.

– Czasami wydaje mi się, że nie potrafię nigdzie pójść – powiedziała, ocierając łzy z policzków.

– Wiesz – odpowiedział pogodnie Giovanni, świadom, że go będzie słuchać

– słowo „kryzys” jest bardzo dziwne, bardzo ciekawe. Oznacza ni mniej, ni więcej jak tylko „wybór” albo „decyzję”.

Kryzysy temu służą. Stawiają nas przed czymś ważnym, wobec czego trzeba podjąć decyzję...

– Czasami tak właśnie się czuję – przerwała mu Maria.

– Wydaje mi się, że twój sen chce ci wskazać coś konkretnego, szczegółowego – wyjaśnił. – Od ciebie teraz zależy decyzja, którą drogę wybrać.

– Ja znam moją drogę, doktorze – powiedziała niemal z dumą. – Zawsze wiedziałam, jaka ona jest.

Forestieri wszedł do domu, kończąc palić papierosa. Zaciągnął się jeszcze dwukrotnie i zgasił peta na marmurowym parapecie przy wejściu, zostawiając go koło kaktusa. Miał jeszcze ręce zabrudzone zaprawą i zaczerwienioną twarz od pracy na świeżym powietrzu w promieniach słońca. Zawołał żonę, ale nie uzyskał odpowiedzi. Zdjął ubłocone i zachlapane cementem buty i podszedł do zlewu w kuchni, by się opłukać. Odkręcił kurek, włożył ręce pod wodę, ale głos Vincenziny go zatrzymał.

– Nie mogłeś się umyć na górze? – powiedziała kobieta anemicznym głosem. – W kuchni się je.

– Przepraszam – odparł.

– Nie potrzebuję przeprosin, Franco – odpowiedziała. – Nie jestem waszą służącą.

Forestieri odwrócił się w stronę żony z rękami ociekającymi wodą, zdumiony tą skargą.

– Co ci jest? Wstałaś dziś lewą nogą?

– Nie twój interes.

– Jak to nie mój interes?

– Wynoś się na górę! – powtórzyła stanowczo Vincenzina. – Patrz, co narobiłeś!

– Tyle hałasu o odrobinę wody! – wybuchnął mąż, otrząsając ręce.

Vincenzina patrzyła, jak krople wody spadają i rozbijają się o podłogę, o stół kuchenny, a nawet o kuchenkę, i stała jak oniemiała. Wydała krótki jęk i chwyciła się rękami za gardło, jakby się dusiła. Odzyskała oddech i natychmiast z jej gardła wydobył się zachrypnięty krzyk. Poruszyła rękami, ogarnięta jakimś nagłym szaleństwem, i zaczęła się bić po twarzy, przysuwając się do ściany, jakby to było jej miejsce.

– Vincenzino! – krzyknął na nią Forestieri. – Co ty robisz! Stój! Vincenzino!

– Rzucił się na nią, z trudem krępując jej ręce. – Zwariowałaś? Stój!

– Puść mnie!

– Stój!

– Puść mnie! – powtórzyła kobieta, miotając się coraz bardziej, rzucając jak zwierzę. – Wynocha! Wynocha! – krzyczała.

– Co się z tobą dzieje!

Vincenzina zdołała uwolnić jedną rękę i drasnąć Forestieriego po twarzy. Całymi dłońmi chwyciła go, zadowolona ze swego czynu, jakby mężczyzna całkowicie sobie na to zasłużył. Zanim ona splunęła mu w twarz jak łajdakowi i zdrajcy, w ułamku chwili dostrzegł nienawiść w jej oczach.

– Ty kurwo! – zbeształ ją.

– Wynoś się, draniu!

– Ty podła kurwo! – powiedział Forestieri cichym i zduszonym głosem. Już miał ją uderzyć, ale zdążył się opanować. Puścił ją, odpychając od siebie. – Parszywa! – rzucił, ocierając rękawem koszuli płwociny z twarzy.

– Nie tak jak ty! – odpowiedziała kobieta. – Myślisz, że nie wiem, gdzie chodzisz wieczorami?

– Gdzie chodzę? – postawił się jej.

– Do tej dziwki! – odpowiedziała. – To ty jesteś parszywy! Mów o sobie, łajdaku! Zniszczyłeś wszystko!

– Cicho siedź!

– Zniszczyłeś wszystko!

– Cicho siedź, powiedziałem!

– Wszystko zniszczyłeś! Wszystko!

– Dość tego!

Vincenzina w dalszym ciągu powtarzała te słowa, aż w końcu głos zamarł jej w gardle. Z zewnątrz dobiegały ją rozmowy jakichś ciekawskich, którzy podeszli pod dom, słysząc wrzaski, ale wystarczyła jej krótka chwila, by już ich nie słyszeć. Złożyła usta, jakby chciała jeszcze coś dodać, ale poczuła, że zaczyna jakąś modlitwę. Nie było dla niej litości. Nigdy nie było. Życie ją potraktowało jak należy. Miłość, o jakiej marzyła, nigdy nie istniała, a obecność tego mężczyzny była teraz jak coś obrzydliwego, co mogło jedynie ją zbrudzić, splamić. Potrząsnęła głową, jakby chcąc wymazać tę chwilę, a jednocześnie usilnie próbowała złapać oddech.

Znów poczuła, że pęcznieją jej majtki, a nogi stają się wilgotne. Forestieri stał i patrzył bez słów. Co mógł jej powiedzieć? Co mógł jeszcze zrobić? Zobaczył, jak osuwa się na podłogę niczym worek wypełniony nieczystościami i skierował się ku schodom. Musiał odejść. Musiał to zrobić natychmiast. Ale najpierw trzeba było zabrać pieniądze.

– Mamo? – powiedziała Maria, wchodząc do pokoju na czubkach palców.

Vincenzina leżała na łóżku, odwrócona na bok, z jedną ręką pod głową, a jej krągłe ciało zapadało się na materacu.

– Mamo? – powiedziała raz jeszcze, zbliżając się do kobiety.

Vincenzina nie odpowiedziała. Miała oczy otwarte, obłądnie wpatrzone w jeden punkt. Panował półmrok. Maria nigdy nie chciała wchodzić do tego pokoju. To łóżko i ta szafa z drewna orzechowego przytłaczały ją, a stale zapalone światełko na znak nabożeństwa do Matki Bożej budziło w niej niepokój, jakieś poczucie zagrożenia, którego nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Brakowało jej tam powietrza, ale tym razem troska o matkę była silniejsza od tej blokady. Usiadła przy matce, kładąc rękę na jej ramieniu. Kobieta nawet nie drgnęła. Maria wiedziała, że w szufladzie komody trzyma fotografię jej ojca z czasów, gdy był jeszcze młody. Wracała do okresu ich narzeczeństwa. Nigdy nie przestała o nim myśleć i być może teraz pytała się, jak mogła wyjść za innego mężczyznę. Zawsze cierpiała z powodu samotności i mocno wierzyła, że kobieta powinna mieć przy swoim boku męża. Ale się pomyliła. Franco Forestieri nie był z pewnością mężczyzną, który do niej pasował. Był obcym, nieznanym człowiekiem z innej bajki, któremu udało się wkręcić do jej domu, prawdopodobnie też, aby wskoczyć na wyższy poziom życia, na jaki w przeciwnym razie nie mógłby sobie pozwolić.

– Mamo – kolejny raz powiedziała Maria.

Rozumiała, co ona czuje, zarówno jej smutek, jak i bezsilność. Musiał być jakiś punkt, w którym się zagubiła i ciężar trosk przeważał. Winna była przede wszystkim Maria. Jej choroba niemal doprowadziła ją do śmierci, pozbawiła sił, ale ona, Maria, miała jeszcze czas, by wyleczyć rany zadane jej przez te przykre wydarzenia. Od kilku dni była bliżej swego ojca. Dusze zmarłych krążyły po domu, po ulicach, a ona już się ich nie bała. Chyba potrafiła zrozumieć ich stan, zobaczyć ich mieszkanie: należały do królestwa ducha i były życzliwe. Zmarli nie wyrządzają krzywdy. Pod tym względem doktor ma rację. Zawsze chcieli nawiązać z nią kontakt, rozmawiać z nią, przekazywać jej wiadomości, bo prawdopodobnie była w stanie uchwycić najgłębszy sens ich istnienia. Oni byli nosicielami zmiłowania, miłosierdzia, zbawienia, przebaczenia. I znaleźli swojego posłańca. Maria czuła, że tak jest, ale nie ośmielała się o tym mówić nikomu, nawet doktorowi, który tak wiele dla niej zrobił. Jednak w swoim odczuwaniu wciąż jeszcze dostrzegała coś mrocznego, i to wystarczyło, by wzbudzić w niej panikę. Nie chciała być już kimś innym, nie chciała czuć tej obecności, która ją spychała do kąta i pogrążała w mroku, każąc jej mówić rzeczy, o których nigdy nie ośmieliłaby się nawet pomyśleć. Dlatego broniła się jak umiała, czasami nawet udając przed samą sobą, że ciemność

tych ostatnich miesięcy nigdy nie istniała.

Położyła się obok matki. Pogładziła jej włosy i ucałowała. Nie musiała nic mówić, chciała tylko przekazać miłość. To przez nią – mówiła sobie – przechodzi zbawienie dusz.

Szli wzdłuż jeżynowych zarośli, które gęsto porastały brzeg nasypu ziemnego, jakby chciały wyjść na samą drogę. Nieco dalej, na bardziej jałowym terenie, rosły osty o białawym odcieniu. Za ogrodzeniem, otaczającym domek z dachem wykonanym z przegniłych o tej porze trzciny, znajdowało się niewielkie poletko porośnięte suchymi kolbami kukurydzy nadającymi się już tylko na ziarno dla kur.

Livia Antonietta ujęła Giovanniego pod ramię i skorzystała z jego pomocy, by pokonać trudniejszy od pozostałych odcinek. Szli w stronę domu obrośniętego glicynią, choć jeszcze było zbyt wcześnie, by zobaczyć ją w kwieciu. W pobliskim chlewie świnia biegła tam i z powrotem w poszukiwaniu pokarmu.

Wiatr niósł zapach kasztanowego lasku. Niedawno padało, ale teraz niebo było przezroczyste i pogodne, jakby zima definitywnie już przeminęła.

– Kiedyś chodziliśmy tą dróżką boso – przypomniał Giovanni.

– Ja nigdy nie szłam tędy boso – odparła Livia Antonietta.

– Ja tak. Prawdę mówiąc, na tym polegała cała przyjemność.

– Czułeś się wolny i dziki – zażartowała.

– Czułem się wolny – poprawił ją.

Puścili się ścieżką prowadzącą wśród młodych jeszcze topól.

– Minęło czterdzieści lat – powiedziała Livia Antonietta, tuląc się do marynarki Giovanniego.

– Wojna dopiero miała się zacząć.

– Tak, to prawda. – Zamyśliła się na chwilę. – Jeśli pamiętasz, mieliśmy dziesięć lat, kiedy przyszliśmy tutaj po raz pierwszy.

– Bardzo dawno temu.

– Zbyt dawno.

Livia Antonietta nagle umilkła.

– Co się stało? – zapytał Giovanni.

– Myślałam o czasie, który uleciał.

– Czas nie istnieje – odpowiedział.

– Mówisz?

– Jesteśmy tutaj, prawda?

– Tak, ale czas upłynął mimo wszystko.

Giovanni przystanął. Ujął dłonie Livii Antonietty i podniósł je do ust.

– Czas to tylko pozory – stwierdził. – Liczy się to, co mamy w sobie, co czujemy.

Ona nic nie powiedziała.

Giovanni pocałował ją w usta.

– To, co czujemy – powtórzył.



Dom obrośnięty glicynią był niedaleko. Szli szybkim krokiem jeszcze pięć minut i minawszy rozpadlinę, w której środku znajdował się pień drzewa, by ułatwić przejście, dotarli na miejsce, skąd widać było dom stojący na łące przy końcu dębowego lasu.

Giovanni i Livia Antonietta zatrzymali się, by przyjrzeć mu się z daleka.

– Zapamiętałem go większym – powiedział Giovanni.

– Zawsze był mały – poprawiła go.

Mężczyzna zaśmiał się krótko, ale serdecznie, jakby sobie właśnie coś przypomniał.

– Co ci jest? – spytała.

– Przyszliśmy tu zaraz po wojnie, pamiętasz?

– Tak.

– Mieliliśmy szesnaście, siedemnaście lat.

– Pamiętam.

– Chciałem cię pocałować tamtego dnia. Przyrzekłem sobie, że to zrobię.

– I dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Bo wiedziałem, że któregoś dnia wyjadę.

Wziął ją za rękę i poprowadził do samego domu. Dwa okienka bez szyb były zarośnięte bluszczem. Glicynia pięła się niemal wszędzie, ale jeszcze nie w pełni zakwitła. Do domu można było wejść przez drzwiczki, które obracały się na jednym trzpieniu. Ściany były z tufu, a na dachu ktoś niedawno ułożył świeżą słomę, by zakryć nieszczelne dachówki, niemal pozbawione jakiegoś określonego kształtu.

– Chyba ktoś tu jeszcze przychodzi – podzielił się swym przypuszczeniem Giovanni.

– Na pewno.

– Wejźmy.

– A jeśli ktoś jest w środku?

– Nie wydaje się, by tam ktoś był.

Giovanni pchnął drzwiczki i weszli. Kominek musiał być używany nie później niż przed tygodniem. Przy ścianie z oknami stał stół i dwa krzesła. Ktoś nawet pofatygował się, by na jednej ze ścian zawiesić obrazek przedstawiający drzewa. Wyczuwało się zapach prochu strzelniczego.

– Przychodzą tu myśliwi – wyobraził sobie Giovanni.

– Pewnie kiedy polują na słonki.

– Być może.

– Zatrzymują się tu, żeby coś zjeść albo gdy zaczyna mocno padać.

– Na tym terenie wciąż jest sporo myśliwych, prawda?

– A nawet kłusowników, jeśli o to chodzi.

Giovanni przytaknął i przeszedł do drugiego pokoju. Było tam piętrowe łóżko i dwudrzwiowa szafa. Zostawiono nawet parę kaloszy i płaszcz nieprzemakalny.

- Skończy się na tym, że nas dziś zaarrestują – powiedział.
- Dom do nikogo nie należy.
- Mówisz?
- Nigdy do nikogo nie należał.
- Ale na pewno ktoś go odwiedza.

Wycofali się stamtąd. Przez trzecie okienko przebijała jasność zaczynającej kwitnąć glicynii. Livia Antonietta uległa czarowi blasku, który zdawał się unosić w powietrzu i płynąć w jej stronę. Giovanni objął ją od tyłu w tali i pocałował w policzek. Ona odwróciła się do niego i przytuliła głowę do jego piersi. Nie pytała go dotąd o bliznę, którą nosił niczym wypalone, nieusuwalne znamię, ale rozumiała, że musiała to być przyczyna skłaniająca go do powrotu do Cittanova. Pocałowała go w koszulę, szukając kontaktu z tą częścią, która stała się bardziej chropowata.

- Co to jest? – spytała.
- Przykra pamiątka – odpowiedział.
- Wypadek?
- Powiedzmy, że tak.
- Boli cię?
- Teraz nieszczególnie.

Opowiedział jej pokrótce, co mu się przydarzyło. Ona nie przestawała go całować, jakby ostatecznie to wyjaśnienie nie było wcale potrzebne. Czas blizn chyba wreszcie się skończył – myślała. Może więc zostało im jeszcze trochę czasu również na miłość. W gruncie rzeczy wystarczyło niewiele. Ale wciąż nie wiedziała, czego się spodziewać po kimś takim jak Giovanni. Czy to strach jeszcze go tu trzymał? A gdyby tak znowu została sama? Pomyślała raz jeszcze o swojej matce i stało się dla niej jasne, jak bardzo jej życie w tych ostatnich latach było uzależnione od życia matki. Ale teraz jej już nie było, a dom wciąż wydawał się pusty, jakby pozbawiony znaczeń.

Oparła głowę na jego piersi. Serce biło mu mocno, pewnie. Ogarnęła ją cisza. Przymknęła oczy, kierując je ku delikatnej jasności glicynii, która zaczynała się zielenić.

Maria podeszła blisko ołtarza, uklękła, by się przeżegnać, po czym zajęła miejsce w jednej z ławek w środku nawy, w pewnej odległości od kobiet, które zebrały się na różaniec. Zauważyły ją, spojrzały po sobie porozumiewawczo, ale w dalszym ciągu odmawiały swoje modlitwy. Od czasu do czasu któraś z nich się oglądała, zerkając na nią wrogimi lub nieufnymi oczami. Maria podniosła głowę, by spojrzeć na malowidła na suficie: *Świętego Paschalisa Baylona* i *Świętego Rocha wśród zadżumionych*. Kiedy była małą dziewczynką, w czasie nabożeństwa wpatrywała się w nie, niemal chcąc przekroczyć rzeczywistość, którą przedstawiały. Były to obrazy pełne miłosierdzia, a ona ulegała ich urokowi: święty Paschalis na kolanach, w geście pokutnym, przed zastępem aniołów, i święty Roch, który niósł wsparcie zadżumionym. Ileż razy pragnęła być taka jak oni, usłyszeć swojego anioła, pocieszać chorych: to było jej największe marzenie, a teraz wracało ono odnowione, jakby pełne łaski i zdecydowania. Czasami nawet nie słuchała kazania, byle tylko móc rozkoszować się oglądaniem tych malowideł.

Skupiła się na modlitwie i próbowała posłuchać głosu Boga w ciszy, zakłócanej lekko przez obecne w kościele parafianki, oddychając tak, jak się nauczyła. Jej oddech miał teraz stały rytm, był dynamiczny, nappełniał ją siłą i energią. A czyż Bóg nie jest właśnie tym? Często się nad tym zastanawiała. Czy to nie powietrze jest właśnie wyraźnym znakiem pełni piękna życia?

– Mario – usłyszała i otworzyła oczy, natrafiając na zdecydowane, ale dobroduszone spojrzenie księdza Edoarda.

– Ojciec... – powiedziała, próbując wstać.

– Siedź, siedź – powstrzymał ją. – Cieszę się, że cię widzę.

– Czułam potrzebę pójścia do kościoła.

– Córkmo moja, to jest naprawdę piękny prezent. – Usiadł koło niej, udzielając jej błogosławieństwa. – Czy twoja matka wie, że jesteś tutaj? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała Maria. – Przyszłam właśnie po to, by pomodlić się za nią.

– Dlaczego? Coś się stało? Źle się czuje?

– Jest wyczerpana nerwowo.

– Rozumiem – powiedział ksiądz Edoardo, ciężko wzdychając. – Ale jest w domu?

– Tak. Doktor mówi, że potrzebuje tylko odpoczynku, że za jakiś czas sama wyzdrowieje.

– Doktor Giovanni?

– Tak.

– I przyszedłeś tu, żeby się za nią pomodlić, moja duszo?

- Tak.
- A ty jak się miewasz?
- Myślę, że lepiej.
- To, że tu jesteś, jest naprawdę pocieszające.
- Nie mogłam się doczekać.
- Ksiądz Edoardo przytaknął.
- Przypasował ci doktor Giovanni?
- Tak, naprawdę.
- I w dalszym ciągu się z nim spotykasz?
- Tak, jeszcze tak.

Trzymał jej dłonie w swoich dłoniach, podczas gdy niektóre z wiernych ły-  
pały okiem, chcąc mieć ich pod kontrolą. Maria czuła się nieswojo, ale ksiądz nale-  
gał, by zachowała tę ich bliskość.

– Nie przejmuj się nimi – powiedział. – To tylko parę obłudnych kobiet, któ-  
re nie mają nic innego do roboty. Niech mi Bóg wybaczy, że tak mówię o moich  
parafiankach, ale jak trzeba, to trzeba – zakończył, potrząsając głową. – Potrafią  
żyć tylko zazdrością i żadne kazanie nie przemówi im do rozumu. Jak już zaczną,  
to nie popuszczą nikomu.

– To nie ich вина...

Ksiądz Edoardo uśmiechnął się łagodnie.

– Tak – przyznał. – Masz rację. One nie są winne. Czasami to niewiedza albo  
brak otwartości sprawiają, że stajesz się kimś, kim nie chciałabyś być.

– W głębi serca one są dobre, ojciec.

– Ty jesteś dobra w głębi serca, moja córko. Nigdy nie powiesz o nikim złe-  
go słowa.

Maria sprawiała wrażenie, jakby się z tym nie zgadzała.

– Tymczasem – powiedziała – nawymyślałam księdzu różne rzeczy.

– Byłaś chora, Mario.

– Tak, ale nie chciałam robić pewnych rzeczy.

– Jestem tego pewien.

– Nie rozumiałam, co się ze mną dzieje, i wciąż boję się, że będę się czuła  
jak wtedy.

– Jesteś w dobrych rękach – zapewnił ją, mając na myśli Giovanniego Bu-  
scemiego. – Wydaje mi się, że już od dłuższego czasu nie miewasz tych ataków –  
dodał z rozmysłem.

– Tak, minęły już prawie dwa miesiące.

– Ale musisz nadal spotykać się z doktorem – zalecił jej.

– Dla mnie jest jak ojciec.

Ksiądz Edoardo skinął potakująco głową.

– Jestem szczęśliwy, że słyszę to od ciebie – powiedział. Oszczercy potrafią

tylko wygadywać głupstwa, ale ja czuję, że jesteś szczerą, kiedy mówisz, a to usuwa wszelką niepewność. – Ścisnął mocniej jej dłonie. – Idź spokojnie swoją drogą, Mario. Masz aprobatę moją i tę jeszcze pewniejszą, naszego Pana, którego imię niech zawsze będzie pochwalone.

– Chcę tylko znów być taka jak dawniej.

– Będziesz, Mario, będziesz – dodał jej otuchy kapłan. – Powinnaś zaakceptować to, co ci się zdarzyło, i starać się wydobyć z tego jakąś korzyść i nową siłę. – Zamyślił się na chwilę. – Pewne rzeczy nie zdarzają się w życiu przypadkiem. Czasami Duch Święty działa w sposób dla nas niezrozumiały, ale tak, by dać nam doświadczenie konieczne do wzrastania. – Zobaczył, że Maria przytakuje, więc mówił dalej: – Z tej historii musisz wyjść umocniona. Ona musi ci pomóc zrozumieć, kim naprawdę jesteś i czego chcesz. Ja jestem pewien, że ty już to wiesz. Masz siłę ducha, moja córko. To tak, jak dostaje się jakiś ważny dar i nie wie się, jak nim się posługiwać. Teraz jesteś przestraszona, ale pewnego dnia, jestem tego pewien, wszystko będzie dla ciebie jasne.

– Ja wiem co chcę robić, ojczu.

– Czuję, że masz do tego powołanie – potwierdził ksiądz Edoardo. – Dostrzegam to w tobie, rozumiesz? Dostrzegam obecność boskiego ziarna, tak jak dostrzegłem twoją trudność, twoją walkę, aby być sobą. Myśl o tym stale. Myśl zawsze, że walczysz o to, aby być tym, kim jesteś. Bo ty jesteś bezpośrednim wyrazem tego ducha, którego wielu, niestety, brakuje. Ciągle to powtarzam: to jest uczucie, jakie może dać tylko życie. Nie wiem, jak ci to inaczej powiedzieć. Mam nadzieję, że wyraziłem się wystarczająco jasno.

Maria lekko poruszyła głowę. Słyszała w tym słowa Giovanniego, tylko powiedziane inaczej, i była wdzięczna za to księdzu Edoardowi. Od paru dni czuła, że zalewa ją jakaś uspokajająca fala ciepła, jak kogoś, kto wkrótce ma zasnąć snem sprawiedliwego. Długo o tym myślała i nadała temu nowemu uczuciu odpowiednie słowo: wybaczenie. Wszystko przez nie przechodziło. Wszystko się zaczynało i wszystko powracało do tego słowa, które wobec nieszczęść życia spuszczało głowę na znak odpuszczenia win, rozgrzeszenia. Tym chciała być, i ksiądz Edoardo może miał rację. Duchowe uczucia – może właśnie tego od dawna szukała.

Światło za oknem szybko kładło się na od dawna nieuprawianej ziemi. Maria obserwowała jego szybkie, choć prawie niedostrzegalne przesuwanie się, rozproszona spokojną atmosferą gabinetu, która zdawała się zachęcać ją do refleksji, jakby już wcale nie potrzebowała słów, aby wyrazić, co czuje. Dużo pracowali nad oddechem i napięciem, które wciąż ją blokowało w okolicach miednicy. Jednak przy każdym nowym, polecanym jej przez Giovanniego ćwiczeniu, czuła, że jej ciało jest coraz bardziej swobodne, a już na pewno bardziej harmonijne. Co więcej, wciąż dziwiła się samym faktem, że ono w ogóle coś czuje. Wcześniej zawsze myślała, że to jest poniekąd uzupełnienie jej umysłu, coś przeznaczonego do wykonywania jedynie prostych funkcji naturalnych. Nigdy nie przyszłoby jej na myśl, że może tak wiele odczuwać. Doświadczała emocji bardzo bliskich radości, kiedy oddech uwalniał się jej w gardle, nadal skłaniając ją do płaczu. W ten sposób doprowadzała siebie i do płaczu, i do radości, wzruszona tym nietypowym szczęściem, które trwało zawsze jedną chwilę, przebłyskiem uśmiechu, świetlistością odczuwaną na skórze, ciepłem wewnętrznym, rozchodzącym się w trakcie wydechu. Ciało nie było tylko siedliskiem grzechu, ale źródłem życia, tak jak jej umysł, który stanowił cząstkę tej całości.

– Nie powiedziałam panu, że rozmawiałam z księdzem Edoardem – oświadczyła w pewnej chwili Maria, odrywając wzrok od pierwszych oznak zmierzchu. – Widzieliśmy się wczoraj w kościele.

– Byłaś w kościele? – powtórzył nieco zaskoczony Giovanni.

– Tak. Poszłam pomodlić się za mamę.

Giovanni przytaknął ruchem głowy.

– O czym rozmawialiście, ty i ksiądz Edoardo? – zapytał. Maria uśmiechnęła się.

– Powiedział mi to samo, co pan mi zawsze mówi... tylko innymi słowami.

– Ksiądz Edoardo to bardzo dobry człowiek.

– Powiedział mi, że jestem jak uczucie, które może dać tylko duch.

– I tak się czujesz?

– Spodobało mi się to zdanie.

– Co chciał ci przez to powiedzieć, według ciebie?

Maria zaskoczona wzruszyła ramionami.

– Że jestem tym, kim jestem – odpowiedziała nieco zagadkowo. Giovanni lekko się uśmiechnął.

– A jaka jest Maria? – zapytał.

– Jaka jest?

– Tak, jaka jesteś. Jak widzisz samą siebie.

- Nie wiem, co mam panu odpowiedzieć. Musiałabym się zastanowić.
- Nigdzie nam się nie spieszy.
- Znów wzruszyła ramionami.
- Ale pan wie, jaka jestem. Mówiłam to panu wiele razy.
- Od czasu do czasu dobrze jest spróbować opisać samego siebie – zachęcił ją Giovanni.
- Teraz nie jestem taka jak wcześniej... – westchnęła.
- W porównaniu do jakiego czasu?
- Przed chorobą byłam Marią – zaczęła wyjaśniać. – Potem byłam kimś innym, ale nie wiem kim, a teraz nie chcę wiedzieć.
- Poczula się nieswojo i natychmiast zmieniła kierunek wypowiedzi: – Teraz jestem dojrzalszą Marią, i wie pan co...?
- Co?
- Kiedy myślę o oddechu, zawsze zbiera mi się na płacz.
- Przez długi czas tego nie robiłaś.
- Chcę oddychać – oświadczyła. – Nie chcę, żeby mi nadal brakowało powietrza. Nie chcę być już zamknięta. Może dlatego zawsze krzyczałam?
- Myślisz, że to dlatego? – zapytał Giovanni.
- Tak – odparła Maria z przekonaniem. – Czułam zawsze, że się duszę. I myślałam, że moja mama czuła się tak przez długi czas. Może dlatego teraz ona również choruje.
- Twoja mama odzyska zdrowie, możesz być tego pewna.
- Jestem pewna – powiedziała Maria, spoglądając ciekawie na Giovanniego.
- Wie pan, że bardzo dużo myślałam o tych sprawach?
- Giovanni poruszył głową, nic nie mówiąc.
- Jednak trudno jest powiedzieć, jaki ktoś jest – ciągnęła dziewczyna. – Może łatwiej powiedzieć to o innych, ale o sobie samym to zupełnie coś innego. Nie wiem, jak można to powiedzieć...
- Przerwała, ale Giovanni ciągle się nie odzywał. Wydawało się, że Maria szukała na jego twarzy słów, których potrzebowała, po czym spuściła głowę, jakby je chciała znaleźć w sobie. Zrobiło się ciemno, a jedyne światełko lampki ledwie rozjaśniało ich twarze. Przez krótką chwilę szukała jeszcze twarzy Giovanniego i poczowała, że promienieje. Miała nadzieję, że on zostanie z nią tam na zawsze.
- Maria jest prosta – zaczęła, jakby mówiła o innej osobie. – To jest najprostsza dziewczyna na świecie. I zawsze myślała, że dobro rodzi dobro. Dla niej Matka Boża jest wszystkim. Ona na Nią patrzy i myśli, że tu na ziemi nie może być piękniejszej kobiety i że tylko od Niej może się nauczyć pewnych rzeczy.
- Jakich rzeczy? – wtrącił Giovanni.
- Pobożności, łaski, przebaczenia – wyrecytowała z pamięci. – Miłosierdzia.
- Po chwili, stając się znów sobą: – Zawsze myślałam, że to są przepiękne uczucia.

Jeśli ktoś jest obdarzony pobożnością i łaską, może być tylko piękną osobą. Jeśli ponadto potrafi przebaczać i okazać miłosierdzie, to jest bliski świętości. – Podniosła wzrok pełen nabożeństwa. – Chcę być kimś takim. Chcę być pomocna. Chcę mieć w rękach łaskę Matki Bożej, błogosławić ludzi oczami, obejmować ich, ponieważ w życiu potrzeba umocnienia. Wszyscy szukamy pociechy, prawda?

Giovanni delikatnym ruchem głowy przyznał jej rację, ale chciał dalej jej słuchać.

– Czy nie uważa pan, że za mało się o tym wszystkim mówi? – podjęła na nowo. – Albo mówi się o tym tylko w kościołach, tak jakby mógł to robić jedynie ten, kto jest chrześcijaninem? Myślę, że Bóg chce tego od nas. Chce – szukała odpowiedniego słowa – chce zrozumienia. Jeśli jest zrozumienie, to jaki jeszcze może być problem? – Spojrzała mu prosto w oczy. – Ludzie boją się zmarłych, ale czy zmarli wyrządzili komuś kiedykolwiek krzywdę? Zmarli chcą naszego dobra. Właśnie dlatego czasami próbują do nas przemówić albo nas nawiedzają. Chcą być przy nas blisko. Chcą nam wyjaśnić, jaką drogą powinniśmy pójść. Nie ściągają z nas kołdry ani nie ciągną nas za nogi – zażartowała. – Chcą do nas mówić, ponieważ wiedzą, czym jest łaska i miłosierdzie. Wiedzą, czym jest życie. Bo są bliżej Matki Bożej, Pana Boga i świętych niż my.

Przerwała, czując, że pozwoliła sobie na więcej niż powinna.

– Myślałaś o czymś? – zapytał Giovanni.

– Zmarli przychodzili, aby mnie objąć – oświadczyła. – Nie chcieli wyrządzić mi krzywdy.

– Dlaczego mieliby chcieć wyrządzić ci krzywdę?

– Nie rozumiałam... – powiedziała bliska łez.

– Czujesz się winna z tego powodu?

– Ja stale czuję się winna – wyznała.

– Dlaczego?

– Z powodu mojego taty.

– Co masz na myśli?

Opuściła głowę na piersi.

– Czasami nie chcę go – powiedziała.

– Nie chcesz, żeby cię odwiedzał we śnie?

– Nie chcę go widzieć.

– Dlaczego?

Teraz była oszołomiona, jakby ktoś inny mówił w jej imieniu.

– Bo umarł...

– Co masz na myśli, Mario?

– Umarł, a ja na niego patrzyłam...

– Widziałaś go?

– Wszyscy go widzieli.



– I dlatego czujesz się winna?

– Bo umarł, a ja na niego patrzyłam...

Maria nic więcej nie powiedziała. Zalała się łzami i jakaś gęsta zasłona otuliła jej myśli.

Z niedopałka papierosa został tylko rozżarzony koniuszek. Teresa zaczęła, aż wypali się do końca, po czym obróciła się do Forestieriego. Spędzili w łóżku znaczną część popołudnia. Kochali się, potem leniuchowali, niemal nic nie mówiąc. Już kiedy przyszedł, Teresa zrozumiała, że coś jest nie tak i starała się go pocieszyć. Teraz chodziło tylko o znalezienie jakiegoś rozwiązania, ustalenie daty wyjazdu i zdecydowanie się wreszcie na zmianę życia.

– Lepiej się czujesz? – zapytała.

– Tak – odpowiedział sucho, wciąż pochłonięty swoimi myślami.

– Co ci jest?

– Nic – odpowiedział. – Nic, naprawdę.

– Powiedz mi, co się stało.

– Co mam ci powiedzieć, Tereso?

– Potrzebowałeś się wyładować, prawda?

– A kto na tym świecie nie potrzebuje się wyładować?

Teresa smutno przytaknęła.

– Coś się stało w domu – powiedziała, jakby chciała się upewnić.

– Vincenzina źle się czuje – wyjaśnił. – Jest mocno wyczerpana nerwowo, a ja przy niej.

– Dlaczego?

– Nic mi nie mówi. – Ułożył sobie wygodniej ręce pod głową, pozwalając jej oprzeć głowę na swojej piersi. – Leży pogrążona w depresji jak osioł, co się nie rusza, i gada od rzeczy. – Odczekał chwilę. – Zeszłej nocy obudziłem się cały mokry: zsikała się w łóżku – dodał.

Teresa zdumiona podniosła głowę.

– Mówisz poważnie?

– Jak mi Bóg miły – przysiągł Forestieri. – Zdarzyło się jej to już trzy, cztery razy. A kto wie, ile razy nic mi nie powiedziała.

– Zaprowadziłeś ją do kogoś?

– Do kogo mam ją zaprowadzić? Do jakiegoś lekarza od wariatów, jak jej córkę? Jaka matka, taka córka – wybuchnął na koniec.

– Zostaw w spokoju Marię, to biedna, cierpiąca dziewczyna.

– Zawsze to ja muszę wszystkich zostawić w spokoju – uzalił się mężczyzna.

Teresa usiadła.

– I co teraz będzie? – powiedziała.

– Teraz nic – odpowiedział Forestieri, wpatrując się w nią, aby się upewnić, czy nie zmieniła swoich planów. – Pora się pakować i wyjeżdżamy.

– Tak nagle?

– A jak inaczej? Mamy wywiesić ogłoszenia?  
Teresa zdawała się zastanawiać nad całą tą sprawą.

– Kiedy chcesz wyjechać?  
– Daj mi czas zebrać trochę pieniędzy i uciekamy – powiedział.  
– Rozmawiałem z takim jednym z banku, gdzie Vincenzina trzyma pieniądze. Załatwię sobie fałszywe pełnomocnictwo, ale tylko po to, by wziąć moją część...

– Ile pieniędzy chcesz wziąć?  
– Pięć milionów – odpowiedział. – Vincenzina zdeponowała przynajmniej piętnaście. Nie przejmuj się – uspokoił ją. – Jak będzie chciała, to sprzeda winnicę albo parę drzewek oliwnych i będą sobie żyły z zysków przez co najmniej dwadzieścia lat.

Teresa przysunęła się do niego.

– Boję się tego – powiedziała.  
– Czego się boisz?  
– A jeśli ten, kogo znasz, sypnie cię?  
– Nie opłaci mu się sypać. Zapłacę mu trzysta tysięcy lirów. Taka kupa kasy za drobną przysługę.  
– A czy nie będzie widać, że pełnomocnictwo jest fałszywe?  
– On mi powiedział, że będzie wyglądać na prawdziwe. Nie można popełnić błędu. A poza tym, w razie czego to ja wyjdę na szachraja, nie on.  
– Skoro tak mówisz.  
– Nie martw się, wszystko jest w porządku. Jeszcze tydzień i możemy myśleć o wyjeździe.

Teresa pocałowała go w piersi.

– Nie wierzę – szepnęła bliska łez.  
– Możesz uwierzyć – powiedział. – Najpóźniej za dwa tygodnie będziemy w Savonie albo w Turynie, albo gdzie nam się spodoba.

Zaczęli się śmiać.

– Znikniemy – powiedziała.  
– Tak, znikniemy – powtórzył, wzdychając. – Tak będzie lepiej.  
– Nie myślisz o Marii? – zapytała. – A jak się potem znów źle poczuje? Nie lepiej będzie poczekać parę miesięcy?  
– Co ty? Pękasz, teraz?  
– Nie chcę dźwigać tego ciężaru. Ona na to nie zasługuje.  
– To nie zależy ode mnie, Tereso – odparł. – Maria nie może na mnie patrzeć. Jak odejdę, to nawet będzie dla niej lepiej. Może to jej wróci rozum.  
– Skoro tak mówisz – powiedziała. – Zrobimy tak, jak mówisz.  
– Musimy wyjechać – zdecydował Forestieri. – Jeśli chcemy się uratować, musimy tak zrobić. A tym, co będzie jutro, będziemy się martwić później.

Te ostatnie stanowcze słowa przekonały ją. Życie innych nie może zależeć ani od niej, ani od nikogo innego. Była jeszcze młoda i wciąż miała przed sobą przyszłość, a Franco Forestieri nie był najgorszym z mężczyzn. Umiał ją docenić, a to w jej wieku mogło wystarczyć.

Raffaele ułożył trzy orzechy pod ścianą, zrobił sześć kroków do tyłu i trzymając w ręku inny orzech, większy od pozostałych, przymierzył się do rzutu. Musiał trenować, żeby później zmierzyć się z Rubanem, który był najlepszy w całej dzielnicy. Nigdy nie udało mu się jeszcze z nim wygrać. Być może dlatego, że Ruban miał potężny orzech, zawsze ten sam, duży i okrągły jak neapolitańska czereśnia. Wszyscy mu go zazdrościli, Raffaele całymi godzinami grzebał w orzechach, szukając tego właściwego. Wreszcie go znalazł. Jego orzech był twardy i gładki jak morski kamyk.

Wycelował i rzucił orzechem, który musnął trzy pozostałe przylegające do muru, ustawione tak, że najmniejszy leżał na dwóch pozostałych. Podszedł i wziął z powrotem swój orzech, znów zmierzył odległość rzutu i spróbował trafić ponownie. Tym razem trzy orzeszki podskoczyły, rozpierchając się w niewielkiej odległości od siebie. Raffaele wziął swój orzech i ucałował go. Z nim nie mógł przegrać.

Usiadł na ziemi, wyciągnął z kieszeni garść orzechów i zaczął je stawiać przy murze. Chciał zrobić rząd przynajmniej z pięciu i nie wolno mu było się pomylić ani razu. Tylko w ten sposób mógł być pewien, że poradzi sobie z Rubanem.

Usłyszał, że ktoś go woła.

Odwrócił się i zobaczył, że to Maria. Przez chwilę był zakłopotany, ale zaraz odzyskał pewność siebie.

– Cześć – powiedział do niej.

– Co robisz? – zapytała go dziewczyna.

– Gram.

– Gracie w orzechy?

– Tak.

– Nie widziałam cię już ponad dwa miesiące.

– Ech – westchnął chłopak, był sparaliżowany, niemal przestraszony.

– Co jest?

– Jak?

– Co ci jest? Wyglądasz dziwnie.

– Nic. Co miałyby mi być?

– Wydaje się, jakbyś nie wiedział, kim jestem.

– Wiem, kim jesteś.

– Wcześniej mnie pozdrawiałaś, ścisłaś, a teraz prawie że na mnie nie patrzysz...

Raffaele odwrócił głowę i znów zaczął ustawiać orzechy.

– Zostaw go w spokoju! – dobiegło czyjeś wołanie. – To już się teraz nawet

do dzieciaków dobierasz?

Maria nie od razu rozpoznała głos. Odwróciła się. Szła w ich stronę jakaś kobieta o wrogim i podejrzliwym spojrzeniu.

– Kumoszka Rosalba – zawołała do niej Maria.

– Ciocia! – krzyknął Raffaele.

– Nie jesteśmy kumoszkami, moja droga – odparła kobieta z włosami związanymi na głowie, jakby dopiero co niosła na niej koszyk.

– Co pani jest?

– Zostaw w spokoju tego dzieciaka!

– Ależ ja mu nic nie robię.

– Tak, tak, pewnie. – Jej wargi wykrzywiły się w grymasie obrzydzenia. – Widzę, że nic nie robisz. Zmykaj stąd!

– Gniewa się pani na mnie z jakiegoś powodu?

– Nie, ale Raffaella masz zostawić w spokoju.

– Co ja mu zrobiłam?

– Dobrze wiesz.

– Ja się z nim tylko przywitałam!

– To jak się już przywitałaś, to teraz zmykaj!

Maria zrobiła krok do tyłu, gotowa odejść. Tymczasem inne kobiety zaczęły wyglądać przez okna, żeby zobaczyć, co się dzieje. Niektóre nawet wyszły już z domu, aby wesprzeć Rosalbę.

– Ty dziwko! – wypaliła jedna pod adresem Marii, spluwając na ziemię.

– Zdzira! – syknęła następna, chowając się za pierwszą, jakby się bała, że dziewczyna rzuci na nią przekleństwo.

– Czemu mówicie mi takie rzeczy?

– Idź skąd przyszłaś! – nakazała jej kumoszka Rosalba.

– Dobrze – odpowiedziała Maria.

– Bezbożnica i ladacznica! – rzuciła wściekle inna kobieta z progu domu.

– Z każdym się puszcza!

Głos dobiegał z daleka. Maria próbowała go rozpoznać, ale otaczała ją już spora gromadka kobiet, jakby chciały ją potępić.

– Co ja wam zrobiłam? – powtórzyła Maria bliska ataku. Pociła się, a płytki oddech nie pozwalał jej logicznie myśleć.

– Gówniara!

– Szmata!

– Zostaw nasze dzieci w spokoju!

Zakręciło jej się w głowie i zachwiała się. Oparła się o mur i omal nie upadła na ziemię. Poczowała, że ją szturchają i popychają.

– Zostawcie mnie! Zostawcie mnie! – wybuchła. – Nic wam nie zrobiłam! Czego chcecie? Nic wam nie zrobiłam!

– Idź precz! – Usłyszała zewsząd. – Idź precz!

Zrozpaczona Maria zakryła twarz dłońmi, kiedy ochryply krzyk podszedł jej do gardła, zduszony zaciśniętymi wargami. Wciąż czuła, że jest szturchana i machała rękami, by odpędzić wszystkich od siebie. Ogarnęła ją pustka. Niczego już nie widziała. Ale głosy nie przestawały natarczywie bombardować jej głowy. To nie mogło się jej przytrafić. To niemożliwe. Próbowwała uciec, ale coś ją tam trzymało, jakby to było coś słusznego, to kamienowanie słowami, które hańbiły ją na zawsze. To było jej potępienie. Może tak właśnie miało być.

Obce ręce chwyciły ją, a ona walczyła, by się uwolnić z ich uścisku.

– Następnym razem cię zabiję! – Usłyszała głos kumoszki Rosalby.

Kobieta chwyciła Marię za włosy i pociągnęła na skraj drogi. Stłoczeni ludzie przypatrywali się tej scenie w swego rodzaju milczącym obłędzie, podżegając po cichu do tego aktu. Musieli przecież wypędzić zło. Musieli odesłać tego diabła, a żeby to zrobić, potrzeba było aktu siły i wiary.

Maria nie była już w stanie reagować. Ból był silniejszy nawet od łez. Czuła, że jest bliska omdlenia i miała wrażenie, że znalazła się daleko od domu, zgubiona na zawsze. Potem jakiś energiczny krzyk nagle przywrócił ciszę. Ludzie niemal się rozproszyli, wracali już do domów.

– Teraz się rozchodzicie? – wołał rozwścieczony Giovanni Buscemi.

Kumoszka Rosalba puściła włosy Marii, wytrzymując jednocześnie wściekłe spojrzenie Giovanniego. Maria otworzyła oczy, zmieszana i poniekąd oderwana od rzeczywistości. Rozpoznała rysy Giovanniego i odnalazła siłę, by się podnieść. Pobiegła do niego.

– Tatusiu! Tatusiu! – wołała.

Giovanni objął ją, nie przestając patrzeć w oczy kobiecie.

– Spokojnie, już wszystko w porządku – szeptał do Marii.

– Musicie stąd zniknąć! – rzuciła mu wyzwanie kumoszka Rosalba.

– Może jeszcze pani tego nie zrozumiała, ale ja złożę na panią doniesienie! – krzyknął jej w twarz Giovanni. – Na was wszystkich złożę doniesienie!

– O co chce nas pan oskarżyć?

– Pożalujecie tego!

– Zobaczymy!

– Pani pierwsza!

Skierował w jej stronę palec i opuścił go dopiero wówczas, gdy kumoszka Rosalba odeszła.

– Tatusiu! – powtarzała Maria, łkając.

Giovanni pogładził dłonią jej włosy i spróbował otrzeć łzy z oczu i twarzy.

– Chodźmy do domu – powiedział.

Maria zrobiła niepewnie kilka kroków. Nie była w stanie się uspokoić. Giovanni wziął ją na ręce i podążył w stronę ulicy San Pasquale, podczas gdy droga

zaczął już pustoszyć.



– Chce tylko z panem – powiedziała Vincenzina do Giovanniego, wychodząc z pokoju.

Forestieri skierował się w drugą stronę jako osoba niepożądana. Doszedł do rogu korytarza i zapalił papierosa.

Giovanni uchylił drzwi i wszedł do pokoju. Maria leżała skulona w kącie, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jakby chciała bronić serca.

– Mario... – powiedział Giovanni ledwie dosłyszalnie.

Delikatnie poruszyła głowę w jego stronę, ale zaraz ją spuściła, jakby była pozbawiona sił. Giovanni usiadł przy niej i odsunął jej włosy z twarzy. Po raz pierwszy wykonał wobec niej tak intymny gest. Pogłaskał ją po włosach, a potem karku, aby rozluźnić napięte mięśnie szyi i barków. Marii wystarczył ten kontakt, by się odprężyć. Zsunęła głowę z poduszki, by ułatwić ruch jego dłoniom, i zaczęła cicho płakać. Miała wrażenie, że wszystko gromadzi się w tych łzach. Czuła się winna, jakby popełniła najbardziej bestialską ze zbrodni i nie potrafiła zrozumieć motywu. Choć nigdy nie zrobiła nic złego, coś ją ciągle w sercu oskarżało lub powodowało, że czuła się mocno przygnębiona. Każdy jej błąd oznaczał dla niej winę. A ona przecież nie miała prawa popełnić błędu. Czy to właśnie z tego powodu stała się w pewnym momencie *kimś innym*? Aby zamaskować swoje grzechy? Czy z tego właśnie brały się jej ataki? Czy były tylko wymysłem jej umysłu, aby skłonić ją do wybuchu, do wyrażenia całego zła, które się w niej nagromadziło jak brud, do uwolnienia jej długo tłumionych myśli. Właśnie dlatego brali ją za opętaną. Maria nie mogła zachowywać się w ten sposób. Maria nie mogła popełnić błędu: była duszą pobożną i oddaną, która zawsze chyliła głowę, która biernie wszystko przyjmuje i nigdy się na nikogo nie denerwuje.

Objęła Giovanniego, kładąc głowę na jego kolanach.

– Nie zrobiłam nic złego – zaczęła mówić. – Nie zrobiłam nic nikomu.

– Wiem – przytaknął Giovanni, głaszcząc ją po głowie.

– Dlaczego oni mają coś do mnie?

– Bo nie rozumieją.

– Co złego zrobiłam?

– Nic, Mario.

– To dlaczego tak się czuję?

– „Tak”, czyli jak?

– Jakbym tylko ja była winna.

– Nie jesteś winna, Mario. Nikt nie jest winny.

– Gdzie zrobiłam błąd?

– Nie myśl o tym na razie.

– To dlaczego oni tak do mnie mówią? – wybuchła. – Dlaczego tak na mnie patrzą?

Giovanni zrozumiał, że znów nie była sobą. Mówiła pod wpływem emocji, bez zahamowań i bez zastanowienia.

– Jak patrzą na ciebie? – zapytał.

– Jakbym im coś zrobiła.

– A co zrobiłaś?

– Nie wiem – odpowiedziała głosem małej dziewczynki.

– Nie chcesz powiedzieć?

– Popełniłam grzech.

– Jaki grzech?

– Nie wiem.

– Nie możesz sobie przypomnieć?

– Nic nie pamiętam.

– Może ktoś cię skarcił? Powiedział ci, że zrobiłaś coś brzydkiego?

– Nie pamiętam.

– Nie myśl już o tym.

Milczeli.

Wszystko wydaje się nierozzerwalnie związane z jakimś poczuciem winy – zastanawiał się Giovanni. Wrócił myślą do momentu, w którym zawołała do niego „tatusiu” i dreszcz przeszedł mu po plecach, rozchodząc się wzdłuż ramion. Ojciec pełnił dominującą rolę w jej życiu, ale była to relacja, która wciąż pozostawała dla niego niezbadana. Wydawało się niemal, że przez te lata Maria nie szukała niczego innego, jak tylko tego jednego: zmarłego ojca. Ojca, który wracał w jej snach. Ojca, który tulił ją w nocy. To była jej obsesja. Nie potrafiła w żaden sposób się od tego uwolnić i być może w gruncie rzeczy nawet tego nie chciała. Żałoba musiała z niej zejść jakimiś krętymi i zwodniczymi drogami, aż znalazła ujście w zaburzeniu emocji, które zalewały jej duszę.

Ogarnęło go współczucie. Podwinął jej koc, tak jak to zrobił za pierwszym razem, kiedy ją zobaczył, i ucałował ją w czoło.

– Niech pan nie odchodzi – powiedziała do niego błagalnym głosem.

– Bądź spokojna, zostanę tu – odpowiedział Giovanni. – Jestem tutaj.

Ksiądz Edoardo przerwał, by zebrać myśli, i rzucił oskarżycielskie spojrzenie na zebranych wiernych. Zawsze wielu ich przychodziło o tej porannej porze i doskonale wiedział, że jego słowa nie zostaną wypowiedziane na próżno. Oparł dłonie na pulpicie i dalej wpatrywał się w posępne i zawstydzone twarze w pierwszych rzędach, przeczuwające ton kazania, które ich czekało.

– Wspólnota strzeże swojego stada – zaczął ksiądz Edoardo głosem celowo niskim i oburzonym. – Wspólnota nie skazuje na wygnanie swoich obywateli. Troszczy się o nich. Jeśli jest ktoś, kto choruje lub jest inny od pozostałych, wówczas wspólnota przystępuje do działania, mobilizuje się, aby mu pomóc, mobilizuje się, aby go włączyć na nowo do swojego grona, ponieważ wspólnota, *ta parafia*, jest jego domem. Ta parafia nie jest domem *niektórych* z was. To jest dom wszystkich. To jest dom tego, kto czuje się dobrze i tego, kto czuje się źle; to mieszkanie tego, kto jest zdrowy i tego, kto cierpi. – Wskazał palcem niektórych spośród obecnych. – Wy wszyscy doświadczyliście swojej dawki cierpień. Wszyscy mamy ich spory bagaż, jak sami mówicie, który dźwigamy na naszych barkach jako ciężar i chcielibyśmy się od niego uwolnić. – Przytaknął samemu sobie. – Wielu z was ukrywa ten ciężar, udaje, że nie istnieje albo to nic ważnego, ale prawda jest taka, że każdy z nas jest zmuszony go dźwigać, tak jak nasz Pan Jezus Chrystus dźwigał krzyż, by nauczyć nas wartości tego ciężaru. Wszyscy jesteśmy równi w cierpieniu, ponieważ ono, wcześniej czy później, nieuchronnie nas dotyka, ponieważ jest częścią życia. Ból, strata, porzucenie, starość, zły los i słabe zdrowie to są ciężary, które musimy nosić w sobie każdego dnia. – Kilkakrotnie pokiwał palcem, uprzedzając przyganę. – I w tym tkwi nasze zbawienie: w jaki sposób do tego wszystkiego podchodzimy. Podanie ręki oznacza przyniesienie ulgi również naszemu cierpieniu. Oznacza współpracę, oznacza *parafię*. – Zrobił zamierzoną pauzę dla wywołania efektu, po czym mówił dalej: – Ale tutaj nie ma parafii, a przynajmniej nie ma takiej parafii, jaką zapamiętałem. Zmieniła się. Teraz widzę między wami sędziów, oskarżycieli, świętoszków. Widzę ignorancję. Widzę dużo ignorancji i to mnie przeraża. – Znów zrobił przerwę. – Przeraża mnie, bo nie myślałem, że to możliwe. Przeraża mnie, bo myślałem, że znam moich ludzi, że widziałem wasze dusze, że rzuciłem w nie światło i słowo Boga, ale teraz uświadamiam sobie, że tak nie jest. Obsypaliście zniewagami jedną z waszych sióstr – mówił drżącym głosem. – Zelżyliście ją i oczerniliście. Zrobiliście z niej kogoś, kim nie jest. A ona sobie na to nie zasłużyła ze względu na to wszystko, co zrobiła dla nas i dla was, dla waszych starców i dla waszych chorych, zawsze gotowa, w pierwszym szeregu, zawsze z uśmiechem na ustach i ze słowem wsparcia, tak jak uczą słowa Boga i Jego prawa. Oskarżyliście ją, że jest opętana przez złego ducha, i ja sam wpadłem począt-

kowo w tę pułapkę. Sam dałem się oszukać. – Opuścił swoje miejsce i podszedł do ołtarza, stając obok niego. – Sam widziałem coś, co nie istniało, co nie mogło istnieć. To wy dopuściliście się zła. Zrodziliście je i pielęgnowaliście jak diabelski chwast, który wszystko zatruwa. Stworzyliście szatana tam, gdzie on nie istnieje. Popełniście zło i teraz do was należy to naprawić. – Podszedł na środek ołtarza.

– Nie powiem wam nic więcej. Nie chcę niczego dodawać, bo wierzę w was; wierzę, że wielka jest wasza dobroć i wielkoduszność. Zastanówcie się nad tym, jeśli możecie. Zastanówcie się i żałujcie tego, co uczyniliście. Ale biada wam! Biada wam, jeśli wrócicie na waszą ścieżkę! Biada wam, jeśli ośmielicie się jeszcze raz znieważać słowo Pańskie!

Obrócił się w stronę wizerunku Jezusa Ukrzyżowanego i uklęknął, aby się pomodlić. To samo uczynili zebrani.

Mimi skończył wyplatać koszyk, otarł ręce o skórzany fartuch i wziął z tacy kawę z anyżem, którą żona zostawiła mu na pieńku. Ciccio i Giovanni już pili swoje.

– To tylko biedna, chora dziewczyna – powiedział ze współczuciem.

– Winny jest Kościół i księża – snuł swoje teorie Ciccio. – Nie rób tego, nie rób tamtego, nie rób jeszcze czegoś innego.

– Wina nie leży po stronie Kościoła – wtrącił Giovanni, popijając kawę małymi łykami.

– Tak myślisz? – powiedział sceptycznie Ciccio.

– Tak – odpowiedział Giovanni. – To nie jest takie proste.

– To jak to jest? – zapytał Mimi.

– Kto to wie – odparł Giovanni, unosząc obie brwi.

– Ty jesteś lekarzem – próbował go przymusić Ciccio.

– Tak, i mogę ci powiedzieć, że nie jest łatwo rozwiązać ten problem.

– A co ty z nią robisz? – zapytał Ciccio. I cofając ręce za siebie w teatralnym geście, dodał: – Jeśli wolno spytać.

– Próbujemy razem zrozumieć, na czym polega jej problem – odpowiedział Giovanni, trzymając się ogólników.

Mimi zauważył, że Rosita przysłuchuje się ich rozmowie i poraził ją wzrokiem. Kobieta od razu weszła do domu, by wrócić do swoich domowych zajęć.

– Terapia jest długotrwała – mówił dalej Giovanni. – I trudna – dodał.

– Wszyscy jesteśmy chorzy na głowę – odezwał się Ciccio. – Taka jest prawda. – Postukał się w skronie. – Jeśli nie działa cała ta machina, która jest tu w środku, to koniec z nami. – Obrócił się, szukając aprobaty Giovanniego. – Nie tak, Giovanni? Powiedz mi, czy się mylę.

– Nie, nie mylisz się, Ciccio.

– Spokojne życie – wtrącił się Mimi. – Tego potrzeba! Jak każdy pozwoli żyć innym, to czy nie będzie nam wszystkim lepiej?

– Zgadza się – przyznał mu rację Giovanni. – I to właśnie powinni ludzie zrobić zwłaszcza w stosunku do Marii: zostawić ją w spokoju.

– Ba! – włączył się Ciccio, wpatrując się w ciemne dno filiżanki.

Giovanni odstawił swoją na pieńki i rozejrzał się dokoła. Zegar kościoła wskazywał kwadrans po dwunastej. Właściwa pora, by wrócić do domu. Livia Antonietta czekała na niego z obiadem. Wstał z krzesła i pożegnał się z mężczyznami. Rosita wciąż stała w oknie, ukryta za firanką, i patrzyła nieruchomym i nienawistnym wzrokiem kogoś, kto zwykł ukrywać swe myśli. Trudno wykorzenić zabobon – pomyślał Giovanni i skierował się w stronę domu.



Był przegrany. Słuchał zgrzytania łyżki, którą przesuwiał po dnie talerza, by nabrać kawałek rozmoczonego chleba, i mówił sobie, że wszystko spartaczył. Nie okazał się dobrym ojcem, a teraz na dodatek planował ucieczkę jak zupełny łajdak, niezdolny wziąć na siebie odpowiedzialność.

Czy kiedykolwiek kochał tę dziewczynę?

Co dla niej zrobił? Czy pomógł jej choć raz? Czy pomyślał, żeby ją przytulić i pocieszyć, żeby zdjąć z niej ciężary tej jej poplątanej młodości?

Wszedł do kuchni i przeszedł obok niej.

– Jesz? – zapytał.

– Nie, skończyłam.

– Przeszkadzam ci?

– Ten dom jest także twój.

– Będę ci przeszkadzał, jeśli usiądę?

– Nie.

Forestieri usiadł, ściskając jedną dłoń w drugiej.

– Co się stało? – zapytała Maria, wkładając łyżkę do talerza.

– Chciałem ci coś powiedzieć.

– Co?

– Najpierw, że mi przykro.

– Z jakiego powodu? – zapytała znów Maria, zachowując stanowczy i surowy ton.

– Wiesz, w życiu łatwo jest popełnić błąd – zaczął Forestieri. – Ja i ty nigdy nie potrafiliśmy się dogadać, prawda?

Maria ograniczyła się do spojrzenia na niego.

– To moja wina – kontynuował mężczyzna. – Bo to ojciec powinien dawać przykład, a nie syn. Właściwie córka – zażartował. – Ale ja zawsze cię kochałem, naprawdę. Nie sądź, że nie myślę o tobie albo że nigdy nie myślałem o twoim dobru. Chcę, żebyś to wiedziała na pewno. – Wzruszył ramionami niemal na znak porażki. – Tylko że nie było mi łatwo poradzić sobie z córką, która była już duża. Nie byłem przyzwyczajony.

– Powinieneś być pomyśleć o tym wcześniej – przerwała mu Maria.

– Masz rację – powiedział, poruszając ciężko głową. – Słusznie mnie karzesz i traktujesz, jak na to zasługuję, ale ja nie robiłem tego złośliwie. Przysięgam ci, Mario. – Zatarł ręce, próbując powstrzymać pierwsze kropliste łzy, które już mu się zaświeciły w oczach.

– W życiu łatwo jest popełnić błąd, a chyba jeszcze trudniej jest go naprawić. I nie wiem, jak postąpić wobec ciebie. Nie wiem, jak mogę się do ciebie zbliżyć,

nie wiem, jak mogę do ciebie mówić, ponieważ wszystko, co mówię, wydaje mi się niewłaściwe. Ale jedno wiem – dodał już zawstydzony. – Wiem, że jesteś porządną dziewczyną. Dziewczyną wyjątkową. Córką, która może być tylko radością dla ojca i matki. I tak zawsze myślałem, nawet kiedy mogło się wydawać inaczej.

Maria wzięła głęboki oddech, odnajdując spokój swoich myśli.

– Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? – zapytała łagodnie.

– Bo wszystko ma swój czas – odpowiedział mężczyzna.

Maria spojrzała na niego.

– Ja się na ciebie nie gniewam – powiedziała. – Ale nie chciałam cię nazywać tatą – dodała jakby na spowiedzi.

Forestieri pomyślał o tym, co się stało dwa dni wcześniej, kiedy ona chciała, aby to Giovanni Buscemi był przy niej blisko i ją pocieszał. Nie wezwał jego. Nie wezwał swego ojca, ponieważ nie miała ojca. Zaciśnął szczęki i starał się nie wybuchnąć płaczem.

– Nie powinieneś się o to obwiniać – pocieszyła go Maria. – Jest tak, jak mówisz: wszystko przychodzi w swoim czasie. I pewne rzeczy przychodzą same, my ich nie przywołujemy ani ich nie dokonujemy.

Forestieri uśmiechnął się do niej.

– Wyrosłaś – zauważył. – I stajesz się coraz ładniejsza.

Maria nic nie powiedziała.

– Wybacz mi wszystko – poprosił.

– Nie mam ci nic do wybaczenia – odparła szczerze Maria.

Forestieri pomyślał o Teresie. Jeszcze kilka dni i będzie miał w ręku pieniądze, będą mogli wyjechać. Wszystko było już gotowe. On miał zabrać ze sobą tylko jedną walizkę: kilka ubrań na zmianę i parę pamiątek. Nic więcej. Ale teraz wszystko wydało mu się jakieś inne. Znieważono jego córkę, a jego tam nie było, aby stanąć w jej obronie. Nic nie powiedział, nie zaprotestował, ograniczył się do przyjęcia tej hańby jak słaby człowiek, choć dobrze wiedział, że wcale taki nie jest. Złość paliła go od środka, ale teraz nie miał już żadnej możliwości, by ją wyładować.

Maria zauważyła ten jego stan pełen upokorzenia i udręki. Wstała od stołu i podeszła, by go objąć. Tulił ją do siebie, łkając w ciszy, wdzięczny jej za ten gest, z myślami nieustannie krążącymi wokół dnia wyjazdu. Jak mógł myśleć o porzuceniu jej właśnie teraz?



Livia Antonietta podała Giovanniemu kieliszek likieru z lukrecji. Właśnie skończyli kolację, a kobietę czekał w pracowni jeszcze jeden model do wykrojenia. Od śmierci matki nie przestała harować nawet przez jeden dzień. Teraz stale i uparcie myślała o przyszłości, choć czasami czuła się samotna, niepewna, jakby rzeczywistość odwróciła się do niej plecami na zawsze.

– Wpadłam na pomysł, żeby nająć Marię ponownie do pracy – oświadczyła Giovanniemu, siadając na kwiecistym fotelu naprzeciwko niego.

– To może być świetne rozwiązanie – zgodził się z nią, napawając się aromatem likieru.

– Potrzebuje jakiejś rozrywki albo chociaż powrotu do normalnego myślenia.

– Zgadzam się. Maria bardzo się zmieniła, ale skutki tej zmiany nie są jeszcze widoczne – dumął.

– Myślisz więc, że terapia się powiodła?

– Nie o to chodzi – odpowiedział Giovanni, wpatrując się w to, co pozostało po czarnym likierze. – Leczenie jest dopiero na samym początku, jeśli tak to chcielibyśmy ująć. Ale ona podąża drogą całkowicie własną. Sobie samej mówi rzeczy, których nie mówi mnie, snuje refleksje, które nie są właściwe dla dziewczyny w jej wieku. – Starał się znaleźć najbardziej odpowiednie słowa. – Jakby było w niej coś, co prowadzi ją na ściśle określoną drogę, której sama jeszcze nie potrafi w pełni zrozumieć. Ona czuje, że urodziła się, aby coś zrobić, a ja chcę pojąć, o co chodzi. Mówi rzeczy, które nie są typowe dla osiemnastolatki.

– A propos osiemnastolatek: chce wrócić do szkoły? Wcześniej stale mi o tym mówiła.

– Mam nadzieję, że tak, szczerze – powiedział Giovanni. – Zrobię wszystko, żeby ją przekonać do uczynienia tego kroku. Szkoła mogłaby jej wiele dać, zwłaszcza tę normalność, której ciągle jej brakowało.

– Mogłaby się zapisać na kurs wieczorowy i zdobyć chociaż świadectwo ukończenia szkoły średniej.

– To z pewnością byłby pierwszy krok – zgodził się – Ale jestem pewien, że poradziłaby sobie także z maturą. Dla niej mogłoby to być wyjście na zawsze z jej stanu. Ona ma wrodzoną ciekawość świata i chęć wyzdrowienia, jakiej nie spotkałem nigdy u innych pacjentów.

Livia Antonietta pogłaskała go po twarzy i czole, jakby chciała usunąć z nich skorupę zmęczenia po całym dniu.

– Przywiązałaś się do niej, prawda? – zapytała.

– Bardziej niż mogłem przypuszczać.

– Ona traktuje cię jak ojca.

– Tak, myślę, że jest dokładnie tak jak mówisz – stwierdził. – Uosabiam dla niej tę postać, której desperacko szukała przez wszystkie lata.

– Nie mogła znaleźć lepszego ojca – oświadczyła Livia Antonietta z uśmiechem.

– Dziękuję ci za docenienie.

– Cała zasługa po twojej stronie.

– Nie wiem – powiedział. – Chęć wyzdrowienia zależy przede wszystkim od pacjenta. Czasami terapeuta niewiele może zrobić.

– Tak, ale świetnie sobie z nią poradziłeś.

– Myślę, że jest to przede wszystkim kwestia pewnego podobieństwa – wyjaśnił. – Kiedy ją zobaczyłem na placu przed kościołem Świętego Rocha, patrzącą w pustkę tymi tak pięknymi, tak głębokimi oczami, z gołymi stopami i w samej podomce, całą zziębniętą, pomyślałem, że jest w niej coś naprawdę pięknego.

– Poczujesz, że to wyjątkowa dziewczyna – wysnuła przypuszczenie Livia Antonietta.

– Tak, to chyba to – uciał krótko Giovanni.

Skończył pić likier i nalał sobie jeszcze odrobinę.

– Widzę, że likier odniósł sukces.

– Pomaga mi w trawieniu.

Livia Antonietta spojrzała na niego zaskoczona.

– Zawsze lubiłeś lukrecję – przypomniała.

– I od dawna już nie smakowałem tak dobrego likieru.

– Kto wie, ile rzeczy posmakowałeś w życiu – wyobraziła sobie kobieta.

– Wiele – odpowiedział Giovanni. – Ale to nic nie znaczy.

– A jednak cię zmieniły.

– Na lepsze czy na gorsze?

– Teraz jesteś psychoterapeutą. Pracowałeś po świecie, napisałeś książki, poznałeś ludzi. Nigdy mi o tym nie opowiadałeś.

– Kiedyś to zrobię – powiedział. – Obiecuję.

– O ile nie zdecydujesz się znów wyjechać.

– Nie zrobię tego. Nie zamierzam. Nie wiedziałbym, dokąd się udać.

Livia Antonietta poczuła jego opór przed mówieniem o tym, a jednocześnie zapalała współczuciem dla tego człowieka, który potrafił wlać w nią tak wiele pewności, jednak zdawał się nie mieć jej już dla samego siebie. Przybliżyła swoją głowę do jego głowy i pogłaskała go po twarzy i włosach. Pozostali tak przez chwilę, jakby świat kończył się tutaj, jakby cała reszta nie miała już znaczenia.

Obok bazylii wyrosła jakaś inna roślina. Maria widziała ją już wiele razy, ale nie wiedziała, jak się nazywa. Przypomniała sobie, że ten gatunek ma żółte i czerwone kwiaty pod koniec wiosny, ale ta roślina była jeszcze zbyt młoda na kwitnienie. Rośliny rosną wszędzie – pomyślała. Wzięła łyżkę i zaczęła rozkopywać ziemię w doniczce. Nie wiedziała, czy usunąć roślinę, czy nie. Czy zniszczy w ten sposób bazylię? Chyba nie. Chyba mogą rosnąć razem. Poruszyła ziemię w doniczce i zaczęła ją uklepywać, aby stała się bardziej zwarta. Bazylia wydzielała ostry i intensywny zapach. Uśmiechnęła się. Od dawna nie gotowała. Mogła zrobić trochę *pesto*, wziąć młode ziemniaki, które właśnie kupiła, oraz orzeszki pinio- we od tygodni leżące w kopercie w szufladzie kuchennego stołu. To był dobry pomysł i mógł jej pomóc się rozerwać.

Vincenzina odpoczywała w swoim pokoju. Od paru dni dawała oznaki poprawy, ale wciąż jeszcze była słaba, niemal wyczerpana. Jadła z trudem, a mięśnie szyi i karku miała napięte, tak iż z ledwością była w stanie napić się wody.

Maria wyrównała ręką ziemię w doniczce i zaczęła się w nią wpatrywać. Jej ciemna, gęsta barwa wydawała się błyszczeć w kilku miejscach, jakby zawierała w sobie coś żywego. Bez powodu zaczęła znów grzebać w ziemi. Poczula, że jej piersi napełniają się niepokojem i powiedziała sobie, że musi prawidłowo oddychać. Próbowła się uspokoić, starając się uregulować oddech, ale ucisk w piersiach pozostał. Ziemia ją wołała. Widziała już kiedyś tę ziemię. I teraz ten kolor ciągnął ją ku sobie. Ileż razy jej dotykała, międliła w dłoniach, przesypywała, ale teraz miała wrażenie, że widzi ją po raz pierwszy. Zanurzyła dłoń w doniczce i poczucie uciskającej pustki opuściło ją. Przyszła jej na myśl stara Rosetta. Pewnego wieczoru zatrzymała się, aby z nią porozmawiać. Spojrzała Marii w oczy i powiedziała, że ma dobrą twarz. Dziewczyna wzdrygnęła się na to tak nagłe wspomnienie. Wzięła ją wtedy za rękę, a ona się nie wzbraniała. W tamtym momencie były same na ścieżce. Robiło się ciemno, a w powietrzu unosiły się delikatne, niemal rozplywające się cienie.

– Ty jesteś apostołem – powiedziała Marii. – Pan ci wynagrodzi. Pan da ci wszystkie łaski, jakie chcesz. Rośnij tak dalej, moja droga. Rośnij tak zawsze.

Jak mogłaby zapomnieć tamte oczy, które zdawały się wiedzieć o niej wszystko? Szukała ich w doniczce, ale teraz kolor ziemi znów stał się nieprzenikniony. Wzięła trochę bazylii i wróciła do domu.

Giovanni spojrzął na winorośl na tarasie i wyobraził sobie, że jest obsypana kiściami winogron. Był najwyższy czas zacząć o tym myśleć, choć do winobrania zostało jeszcze wiele miesięcy.

Była prawie pierwsza w nocy. Na zewnątrz dało się odczuć podmuchy ciepłego wiatru, a księżyc był czerwonego koloru, przesłonięty miejscami przez ciemne i postrzępione chmury, które szybko mknęły ku górom. Giovanni nalał sobie kieliszek likieru i otworzył drzwi domu. Kasztanowy lasek szeleścił, wydając dźwięk podobny do przesypującego się piasku. Jeszcze kilka miesięcy i droga zapelni się ludźmi siedzącymi na dworze, walczącymi z letnim upałem, aż do września, kiedy to uroczystość świętego Rocha przypieczętuje powrót jesieni.

Wypił likier i pomyślał, że pójdzie napełnić dzban wodą. Włożył buty, wziął dzban ze stołu i ponownie wyszedł na zewnątrz. Ktoś szedł drogą w niedużej odległości od niego, ocierając się niemal o mur domu księcia.

– Dobry wieczór – pozdrowił go Giovanni, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi.

Rozróżnił fragment odzienia, unoszący się w powietrzu niczym żagiel poruszany wiatrem, i zdał sobie sprawę, że to musi być ktoś, kto ma na sobie tylko szlafrok. Podszedł kilka metrów, raz jeszcze pozdrowił postać cichym głosem i wyraźnie rozpoznał rysy Marii, pomimo że długie włosy zasłaniały jej część twarzy. Miała oczy zamknięte, a jej krok był lekki, jakby wiedziała, że nie ma przed sobą żadnych przeszkód.

Giovanni rozejrzał się dokoła. Nie było nikogo. Maria minęła fontannę i poszła dalej w stronę drogi prowadzącej w górę do kasztanowego lasu. Pokonawszy pierwszą, najtrudniejszą do przejścia część, weszła swobodnie po schodach i dotarła do głównej bramy domu księcia. Położyła ręce na kracie i próbowała pchnąć bramę, by ją otworzyć. Uderzyła w nią całą sobą i znieruchomiała. Giovanni podszedł do niej i stanął z boku. Było jasne, że Maria chciała wejść do domu i nie był to pierwszy raz, kiedy usiłowała to zrobić. Dziewczyna raz jeszcze popchnęła bramę, po czym stanęła osłabiona tą daremną próbą. Opuściła ręce wzdłuż bioder i trwała w oczekiwaniu na coś, co nie mogło się zdarzyć. Wypowiedziała kilka słów, wykrzywając usta w nienaturalny sposób i dobywając z siebie gardłowe dźwięki pozbawione sensu, i otworzyła oczy. Krzyknęła, chwytając się rękami za szyję, jakby miała się udusić. Wykonała drgawkowy ruch i padła na ziemię, ciężko łapiąc powietrze i charcząc. Giovanni uklęknął przy niej i próbował ją objąć, ale Maria odepchnęła go, rozdrażniona jego obecnością. Po paru sekundach skłoniła głowę, tracąc świadomość.

Wiatr hulał, niosąc ze sobą tumany kurzu i zapowiadając burzę, której pierwsze przebłyski można już było dostrzec za kasztanowym laskiem. Mroczne i groźne chmury ciężko wisiały nad wycinkiem horyzontu, widocznym przez okno. Meble w pokoju wydawały się zanurzone w półmroku, z którego nie potrafiły się wyzwolić. Mimo to Maria czuła się tu bezpiecznie. Gabinet księcia pozwalał jej trwać przy swoich myślach, strzegł przed tą rzeczywistością, którą ona wciąż odczuwała jako przeciwną i wrogą.

Klosz wykonany z kolorowej mozaiki filtrował czerwone światło, przypominające soczyste, krwistoczerwone pomarańcze. Z drugiej strony pomieszczenia przez przeszkłone drzwi, które rzadko otwierano, można było zobaczyć niskie dachy domów oraz drzewo oliwne pani Meny. Giovanni często koncentrował się na tym punkcie, zanim zadawał pytanie.

- Nie pamiętasz nic z tamtego wieczoru? – zapytał.
- Nie.
- Nie pamiętasz, co robiłaś, zanim poszłaś spać?
- Byłam w łóżku. Pamiętam tylko to...
- O czym myślałaś?
- O niczym szczególnym. Chciało mi się spać, nie mogłam się doczekać, żeby zasnąć.
- Przed tamtym wieczorem spałaś dobrze czy też miałaś sny, które wydawały ci się dziwne?
- Nic mi się nie śniło.
- Nie pamiętasz.
- Nie.
- Może jednak coś cię niepokoiło w tych dniach? Jakaś myśl, coś się stało?
- Przypomniałam sobie o czymś, co mi powiedziała Rosetta.
- O czym?
- Przypomniałam sobie dzień, kiedy podeszła do mnie – zaczęła opowiadać.
- Patrzyła na mnie jak na piękny obraz i powiedziała mi, że jestem apostołem Pana Boga i że powinnam tak dalej rosnać. – Przerwała. – Przyszło mi to do głowy nagle, ale było tak, jakbym zawsze nosiła w sobie to wspomnienie.
- Przypomnienie sobie tego sprawiło ci przyjemność czy raczej w jakiś sposób wywołało niepokój?
- Nie, nie zaniepokoiło mnie to – odpowiedziała Maria. – A teraz jeszcze inne rzeczy mi przychodzą do głowy, ale są to momenty, których nie potrafię zrozumieć.
- Również związane z Rosettą?

– Tak.

Giovanni odchrząknął.

– Na przykład? – powiedział.

– Ona zawsze próbowała mówić mi o pewnych rzeczach: o Bogu, o świętych, o tym, kiedy się umiera, jak zmarli do nas mówią, ale mama zawsze była czujna i gdy tylko widziała, że Rosetta nadchodzi, zaraz kazała mi wracać do domu.

– A ty lubiłaś słuchać Rosetty?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie rozumiałam jej, ale kiedy mnie widziała, nawet z daleka, zawsze się do mnie uśmiechała, posyłała mi całuski i błogosławieństwa.

Najpierw błysk, a potem silny grzmot wstrząsnęły pomieszczeniem, tak iż zadrżały szyby w oknie. Burza gwałtownie się zbliżała.

– Kiedy lunatykujesz, zawsze kierujesz się do domu księcia – powiedział Giovanni.

– Tak... – odezwała się Maria.

– To właśnie tam musimy wrócić, Mario.

– Dlaczego?

– Twój ojciec tam umarł.

– Tak – potwierdziła cicho.

– Chcesz tam pójść.

– Ale tam już nic nie ma.

– Byłaś tam kiedykolwiek za dnia?

Maria zawahała się.

– Chyba jeden raz.

– Kiedy?

– Nie pamiętam.

– Byłaś mała?

– Kilka lat temu.

– Co pamiętasz?

– Z tego, jak tam poszłam?

– Tak.

– Weszłam, ponieważ zobaczyłam otwartą bramę, ale nie poszłam na miejsce, gdzie zmarł mój tata.

– Chciałbym tam wrócić razem z tobą.

– Ale po co?

– Bo musisz opowiadać.

– O czym?

– Nie wiem – odpowiedział niejasno Giovanni. – Ale dobrze jest spróbować.

– Skoro pan tak uważa.

Giovanni lekko się uśmiechnął.

– Co czujesz? – zapytał.

– Teraz?

– Tak. Co czujesz w tej chwili?

– Nic.

– Gdybyś mogła, to byś tam nie poszła?

– Nie. Bo co ja tam teraz mogę zobaczyć? Wszystko minęło, a ja nic nie pamiętam z tamtego dnia.

– Myślę, że twoja dusza chce, abyś tam poszła.

– Jak to „moja dusza”?

– Twoja dusza i twoje sny wiedzą więcej niż ty sama.

– Mówi pan, że jest tak, jakbym nie chciała pamiętać?

– Istotnie – powiedział Giovanni, znów się uśmiechając. – Jesteś bardzo bystra. Są rzeczy, które próbujemy ukryć przed sobą, ponieważ zadają nam ból: nasza głowa czasami funkcjonuje w ten właśnie sposób.

– A nasza dusza próbuje nam o nich powiedzieć?

– Nasza dusza, nasz duch, nasz anioł stróż, przewodnik naszych snów, nasze głębokie Ja: możesz to nazywać na wiele różnych sposobów. Ale istota pozostaje ta sama.

Maria zastanowiła się nad tymi słowami.

– Zróbmy tak, jak pan mówi – powiedziała.

– Możemy pójść nawet jutro.

– Jutro rano?

– Tak, o tej porze.

– W porządku.

Burza rozszalała się, obejmując całą strefę mieszkalną i przesłaniając domy ścianą deszczu.

– Nie możemy nawet wyjść – powiedział Giovanni.

– Ja lubię tutaj być.

– Ja też. To jest najpiękniejsze miejsce w Cittanova.

Giovanni wziął klucze od gabinetu połączone zwykłym metalowym kółkiem. Angelina miała zapasowy komplet. Wręczył je Marii.

– W ten sposób, gdy tylko najdzie cię ochota, by tu przyjść, nie będziesz miała problemów – dodał.

– Jak to, mam przychodzić sama?

– Przychodź, kiedy chcesz – polecił jej Giovanni. – Potrzebujesz być tutaj.

– Dziękuję.

– O ile nie wróci książkę – powiedział po chwili żartobliwym tonem.

Maria mocno ścisnęła klucze i włożyła je do kieszeni kurtki. Spojrzała w okno, nie mogąc odróżnić niczego, co było na zewnątrz. Ziemia w ogrodzie ła-

godnie opadała, urywając się na wysokości parapetu. Właśnie tam mieszkał teraz jej ojciec, w tym spokoju, w objęciach Boga, gdzie trwała niezmacona cisza natury.



Rosalba Falleti oparła głowę na brzuchu swej córki Marii Luisy i nasłuchiwała.

– Rusza się – powiedziała. – Nie zatrzymuje się ani na chwilę. To chłopiec.

– Nie da się tego stwierdzić – powiedziała Maria Luisa, podtrzymując brzuch obiema rękami.

Rosalba podniosła głowę i uśmiechnęła się do Raffaela, który siedział w kącie i liczył figurki piłkarzy w swoim albumie.

– Czy nie powinieneś już wracać do domu? – spytała.

– Chcę zostać.

– Po co chcesz zostać? Co tu masz do roboty?

– Jestem z wami.

– Ale przecież i tak siedzisz tu tylko jak kołek.

– Modlę się – powiedział.

Maria Luisa i Rosalba spojrzały na siebie. Ginekolog nie wyraziła się zbyt jasno, ale one zrozumiały, że coś jest nie tak: istnieje ryzyko, że dziecko urodzi się zdeformowane.

– Bądź spokojny – pocieszała go Rosalba. – Kuzynek urodzi się piękny i silny, nie martw się.

– Tymczasem się modlę.

– I dobrze robisz – powiedziała Rosalba z ufnością. – Modlitwa zawsze dobrze robi. Trzeba stale modlić się do Matki Bożej i do Pana Jezusa. Codziennie.

– Robię to.

Maria Luisa podniosła się z tapczanu i poszła w stronę kuchni. Wzięła szklankę z kredensu i nalała sobie wody.

– Napij się wody święconej – doradziła jej Rosalba.

– Nie, mam.

– Napij się.

– Nie, już ją piłam.

– Jak nie wierzysz, nie zadziała...

Maria Luisa zacisnęła pięści, upuszczając szklankę na podłogę. Usiłowała zachować spokój.

– Jeśli Matka Boża ma mi pomóc, to mi pomoże i bez tego – powiedziała.

– Lepiej, jak o tym nie będziesz myśleć – zawyrokowała zaalarmowana Rosalba.

– Nie chcę, aby moje dziecko urodziło się chore – powiedziała Maria Luisa, lekko się pochylając. – To niemożliwe.

– Doktorka nie powiedziała tego jako coś pewnego...

– A ileż razy ma mi to powtarzać! – zawołała strapiona dziewczyna, a jej czoło pokryło się potem.

– Usiądź sobie – nakazała jej matka. – Zajmę się tą szklanką. Dała znak Rafaelowi, by sobie poszedł, i szybkim krokiem podążyła do kuchni. Chłopiec pożegnał się z Marią Luisą i ulotnił się ze wzburzonym sercem. On też nie chciał chorego kuzyna. Ale co mu mogło być? Może się urodzić kretynem? Słyszał o tym od swojego ojca. *Może będziesz miał kuzyna kretyna.* A powiedział to niemal z dumą, jakby mógł się teraz pochwalić swoimi synami.

Kiedy wyszedł z domu, zaczęło padać. Fatalna taka pogoda – pomyślał. – Potrwa pewnie z tydzień.

## 84

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała Teresa, patrząc na zegar na ścianie. – Pięć minut i wyjeżdżamy.

– Tak, taksówka przyjedzie na czas.

– A co ma do roboty o tej porze?

– Jest wcześniej – zauważył Forestieri. – Kto to wstaje o piątej rano?

– Dla niego lepiej, jeśli będzie punktualny. Wcześniej wróci i wcześniej będzie miał zysk.

– O ile znajdzie innych klientów – zauważył mężczyzna. – Co ty myślisz? Że taksówkarzowi łatwo jest związać koniec z końcem? Kto teraz wysiada na stacji? Pies z kulawą nogą.

Teresa podeszła do niego i przytuliła się.

– Jesteś pewien? – zapytała.

– Oczywiście, że jestem pewien – odpowiedział Forestieri. – Mówiłem ci już: szkoda mi Marii, ale tak będzie lepiej. Lepiej dla wszystkich. A ty co o tym myślisz?

– Dobrze wiesz.

– Nie chcę już tu dłużej być.

Poczuł, że przycisnęła go mocniej do siebie.

– Vincenzina nie będzie cię szukać o tej porze? – zapytała.

– Przecież to nie pierwszy raz, że nie wracam do domu.

– Ach tak? – powiedziała kobieta. – To gdzie się włóczyłeś? Przez ostatni rok ze mną byłeś tylko jedną noc, kiedy Vincenzina poszła do szpitala na wyrostek.

– Byłem w gospodzie – wyjaśnił. – Gdzie miałem pójść?

– W gospodzie? – powtórzyła Teresa podejrzliwie. – Całą noc? Co ty gadasz? Nie zamknęli jej ze względu na ciebie?

– A nie? – powiedział, żartując. – Kiedy się gra w *padruni e sutta*<sup>9</sup>, to nikt by sobie nie pozwolił zamknąć gospody.

– W takim razie jesteś pijakiem!  
– A gdzieżby tam! Tylko kilka kieliszków z przyjaciółmi. Ale ja nigdy się nie upiłem.

– Czyżby?

– Nigdy – odpowiedział zdecydowanie. – Ten jeden raz, co widziałas, to z przygnębienia. Ze smutku.

– Biedaczyna! – zakpiła Teresa. – Był smutny. I może też czuleś się samotny. Biedactwo!

– Daj już spokój, daj już spokój! – odparł Forestieri. – Potem ci opowiem, w pociągu.

– Opowiedz mi teraz!

– Chodź tutaj!

Przycisnął ją do siebie, chcąc ją pocałować, ale dźwięk klaksonu przerwał to ich miłosne spotkanie.

– Przyjechał! – powiedział Forestieri, chwytając dwie walizki przygotowane przy wejściu.

– Daj mi moją.

– Nie, ja je wezmę.

– Dobrze. Idź przodem, ja będę zamykać.

– Tak.

Forestieri niemal zbiegł po schodach. W kieszeniach miał zaszyte w dwóch chusteczkach pieniądze, które udało mu się wybrać z banku. Pięć milionów, aby zacząć wszystko od nowa, na dodatek jeszcze parę groszy, które już wcześniej przeniósł do banku w Savonie. Stamtąd, gdyby wszystko dobrze poszło, mieli wyjechać i zamieszkać w Antibes we Francji. Był tam jego przyjaciel, który zapewnił mu pracę na sześć miesięcy, do tego wyżywienie i mieszkanie dla niego i jego towarzyszek. Potrzeba nam ludzi takich jak ty – powiedział mu.

Przez chwilę pomyślał o Marii. Ale było już za późno. I ona, i jej matka poradzą sobie lepiej bez niego. To musiało się stać. To przeznaczenie – powiedział sobie. A przeznaczenia zmienić nie można.

Vincenzina obudziła się gwałtownie. Zdarzało się jej to od wielu dni: ścisnęła ją w gardle, brakowało tchu, a potem nagle, raptowne przebudzenie, by złapać powietrza. Później paląca potrzeba otwarcia okna, odnalezienia słońca, jakiejś drogi, czyjejś twarzy. Tak jakby ziemia umierała pod jej stopami, otwierając się, by pociągnąć ją za nogi, wciągnąć w siebie. Czasami potrafiła śmiać się i płakać jednocześnie. Nie rozumiała już, czym stało się jej życie i kim była. Była wyczerpana nerwowo, tak mówił lekarz. Tak było najłatwiej. Jak ktoś ma problemy z nerwami, to chodzi o wyczerpanie. Niektórzy nawet zaczęli już mówić, że matce odbiło tak jak córce, i że w ogóle to rodzina pokręconych czubków.

Stała w oknie przez kilka minut, potem obróciła się w stronę łóżka, zastając je nietkniętym po stronie męża. Franco nie wrócił. Musiał się gdzieś zatrzymać z którymś ze swoich przyjaciół albo, co gorsza, z jakąś dziwką, z ladacznicą, jedną z tych, co to nawet pukały do drzwi mężczyźni, by dostać parę lirów. Jednak nie zdarzało się to już od miesiący. Ostatnim razem Forestieri wrócił do domu pijany, ale położył się do łóżka, przykładając palec do ust i nakazując jej milczenie, by nie zbudzić Marii i by córka nie zobaczyła go w takim stanie. Śmiała się tamtej nocy. Ale teraz było inaczej. Minęła już siódma, a mąż się jeszcze nie pokazał. Może nawet nie wrócił do domu, żeby się przebrać. A przecież to był dzień roboczy. Wiedziała, że mieli dokończyć kłaść płytki w jednym domu.

Ubrała się, by zejść na parter, bojąc się czegoś nieodwracalnego. Zawołała Marię, ale ta musiała chyba wyjść. Zawołała męża, ale nie uzyskała odpowiedzi. W kuchni nie natrafiła na żaden ślad jego obecności. Kawiarka była na swoim miejscu, podobnie filiżanka, do której zwykł nalewać sobie mleka. Wróciła na górę, otworzyła szufladę komody, w której znajdowała się część garderoby męża, zwłaszcza bielizna, i zauważyła, że brakuje wielu rzeczy. Otworzyła dwie środkowe części szafy i przeliczyła koszule: brakowało przynajmniej trzech. Przeszła do garniturów i znalazła tylko ten barchanowy, który nie nadawał się już do użytku. Przerazenie odmalowało się na jej twarzy. Ponownie zeszła na dół i zaczęła szukać w schowku walizki Forestieriego. Dobrą chwilę grzebała, ale nigdzie jej nie znalazła. Odszedł. Porzucił ją bez słowa, bez napisania choćby jednej linijki, tak jakby przez lata nie myślał o niczym innym. Pokręciła się po pokojach, ale nie było żadnych śladów męża, jakby ten dom nigdy do niego nie należał.

To jest wina Marii – powiedziała do siebie. Ona jest winna tego porzucenia, winna tego, jak potoczyły się sprawy. Usiadła na krześle. Rezygnacja ustąpiła teraz miejsca fizycznemu osłabieniu, które niemal zmusiło ją do zamknięcia oczu. Dokąd poszła Maria? Pomyślała o mężu, dokąd mógł odejść, a potem zacisnęła wargi i przestała myśleć o czymkolwiek.



Przeszli przez łukowate drzwi i minawszy krótki korytarz, weszli do obszernego salonu, wyposażonego w skromne meble. W pomieszczeniu nie było dużych okien, a tylko trzy piwniczne okienka wychodzące na nieuprawiane już pole księcia. Maria uświadomiła sobie, że znajdują się w piwnicach i że jeszcze nie doszli do centralnej części domu. Była tam już kiedyś, ale przechowywała w pamięci tylko jakieś nieliczne obrazki: jej ojciec, który rozciągał coś dla księcia, ona jakby uniesiona w błogostanie, dwoje dzieci bawiących się na ziemi, dobrze ubranych, inaczej niż ona; karmiąca kobieta z ciemną i nabrzmiałą piersią, mamka z chusteczką na głowie.

Było tam także kilka obrazów. Maria zatrzymała się przed wizerunkiem siedzącego mężczyzny. Obok wisiał utkany misternie wschodni arras i dwa miecze skrzyżowane na białej ścianie. Sufit ozdobiony był belkami i ogromnym żyrandolem w kształcie świecznika.

– To jest dziadek księcia – poinformował ją Giovanni, rzucając okiem na obfitą bibliotekę z opasłymi księgami.

Maria przytaknęła.

– Kto wie od jak dawna nikt tu nie przychodzi.

– Nie mam pojęcia – powiedział mężczyzna. – Będzie ze dwadzieścia lat, jak nie widziałem księcia ani kogokolwiek z jego rodziny.

– Nie pojawił się od przynajmniej dwóch lat.

– Wcześniej czy później wróci – przewidywał Giovanni. – Na pewno, on też tęskni za tym miejscem.

Otworzył boczne drzwiczki i dał Marii znak, by za nim poszła. Minęli krótkie, ale strome schody i weszli do kuchni. Stamtąd można było bezpośrednio dostać się do ogrodu. Giovanni otworzył przeszklone drzwi, które zaskrzypiały z powodu nagromadzonej przez lata rdzy, i przeszli do zakrytego, ale obszernego patio, wyposażonego w ławki i długie stoły. Z boku sterczała zmizerowana i zeschnięta pergola. Wzdłuż dwóch murków biegły ceramiczne dekoracje, przedstawiające miejscową przyrodę.

– Byłaś tu kiedykolwiek? – zapytał Giovanni.

– Nie pamiętam... – odpowiedziała Maria, rozglądając się dokoła. – Chyba nie – dodała, potrząsając głową.

– Ogród ciągnie się do pierwszych domów, które znajdują się pod kasztanowym laskiem, od strony parowu.

– Tak – powiedziała Maria, jakby musiała zarejestrować te informacje.

– Chodziłaś prac do parowu?

– Tak, wiele razy.

– Księżę chodził tam stale. Od czasu do czasu siadał i malował piorące kobiety. Był niezłym malarzem, wiesz?

– Wiem.

Wskazał jej sąsiedni warzywnik, pokryty jeszcze ziemią uprawną. Za nim rozciągał się teren gęsto porośnięty wysokimi bukami.

– Ale tę część chyba znasz. Widać ją także od ulicy.

– Tak, znam.

Giovanni torował drogę, kierując się w stronę bardziej odsłoniętego punktu. Zaczekał, aż Maria do niego dołączy, i razem poszli do najbardziej wewnętrznej części. Na twardej i zapuszczonej ziemi w pojedynczych kępach rosła trawa. Wiatr lekko szumiał, jakby nie miał już swobody poruszania się po tych miejscach.

– Od czasu do czasu twój ojciec przychodził tu kosić trawę albo ścinać drzewa, prawda?

– Tak, wydaje mi się, że tak.

– Zaprowadź mnie tam. – Była to prośba zarazem uprzejma i stanowcza.

– Gdzie?

– Twój tata zmarł gdzieś tutaj.

– Tak – odpowiedziała. – Był tam taki duży pień...

– O który uderzył głową?

– Tak – szepnęła Maria, zwalniając na moment kroku.

– Czy to tam, gdzie jest ta polana? – wskazał jej Giovanni. Wcześniej tego samego dnia Ciccio pokazał mu to miejsce.

– Tak, tam – odpowiedziała mechanicznym, niemal bezdźwięcznym głosem. Zatrzymali się w tamtym miejscu.

Wydawało się, że na Marii nie wywołało to żadnego wrażenia, ale Giovanni wiedział, iż wystarczy już niewiele, aby wzbudzić w niej silne emocje.

– Od czasu do czasu myślisz o tym miejscu? – zapytał.

– Nie.

– Zastanów się, Mario. Pomyśl o tamtym dniu.

– I o czym mam myśleć?

– Przyszli do domu, żeby wam o tym powiedzieć, prawda?

– Tak.

– A ty zrozumiałaś, że coś się stało twojemu ojcu.

– Nie pamiętam.

– Nie byłaś taka mała. Miałaś sześć lat.

– Tak, ale nie chciałam tego słuchać.

– Ale usłyszałaś?

– Tak.

– Usłyszałaś to, co mówili twojej matce. Widziałaś, jak wpadła w rozpacz, widziałaś, jak wybiegła z domu... nie pamiętasz?

Maria lekko westchnęła. Nie potrafiła nawet myśleć.

Giovanni podszedł do niej.

– Nie ze mną powinnaś porozmawiać, ale sama z sobą – powiedział. – Ja wracam do domu, ty zostań tutaj, z twoim ojcem. Myśl o nim. Myśl o tamtym dniu. Będę koło kuchni, jeśli mnie będziesz potrzebować.

– Może pan zostać, jeśli pan chce.

– Chcesz, żebym został?

– Tak.

– Jestem tutaj – powiedział.

Maria spojrzała na pień i zwróciła uwagę, że jest duży i czas odcisnął się na tym drzewie, pocerniając je i pokrywając mchem twardym jak kora. Jej ojciec upadł w tym miejscu, uderzył głową o pień i w krótkim czasie życie z niego uszło. Nie było nawet czasu się z nim pożegnać, spojrzeć ostatni raz w oczy. Pamiętała tamten obraz. Widziała swego ojca, jego rozbitą głowę na ziemi, wykrzywione usta, otwarte szeroko oczy. Nikt mu ich nie zamknął, nikt nie stał przy nim blisko. Wszyscy stali dokoła niego, jak na fotografii, i jakiś mężczyzna tulił ją do siebie...

Zaczęła ciężko dyszeć, jakby głosy tamtego dnia zaczęły się w nią wdzierać, do jej gardła, by zdusić w niej oddech. Odwróciła głowę w inną stronę.

– Dobrze się czujesz, Mario? – zapytał Giovanni, a jego głos przebił się przez jej usta, wywołując w jej wnętrzu nieprzyjemne drżenie.

– Tak – ledwie wypowiedziała.

– Coś cię niepokoi?

– Nic.

– Co czujesz?

– Chcę stąd odejść.

– Dlaczego? – nalegał.

– Bo tak.

– Jak sobie życzysz.

– Nie powinnam tu na nic patrzeć.

Odwróciła się, by odejść, ale Giovanni zatrzymał ją delikatnym ruchem ręki. Nie chciał jej niczego narzucać, ale nie mógł także pozwolić jej odejść w taki sposób.

– Nie zapomnij tego, co czułaś, Mario.

– Czego?

– Tego, co właśnie poczułaś – wyjaśnił. – Nie zapomnij tego. Zatrzymaj to w pamięci. Pomyśl o tym, kiedy będziesz sama w domu.

– Niczego nie poczułam – odpowiedziała zde gustowana Maria. – Chodzi tylko o to, że pewnych rzeczy nie chcę pamiętać.

– W porządku.

– Możemy już iść? – zapytała z niecierpliwością w głosie.



– Oczywiście.  
Poszli w kierunku domu księcia.

Maria weszła do gabinetu niepewnie, chyba już nie czuła się swobodnie w tym miejscu. Wydawała się jakaś odległa, może nawet obojętna, i nawet nie spojrzała na Giovanniego, który usiadł na krześle naprzeciwko niej. Coś się w niej zmieniło – pomyślał. Również na zewnątrz. Była teraz zamknięta i czujna, jakby ta postawa miała ją uchronić i odizolować przed możliwymi ingerencjami kogoś innego. Deszcz lał się strumieniami, uderzając gwałtownie o szyby.

– Jak się czujesz? – zapytał Giovanni.

– Dobrze, dziękuję.

Światło błyskawicy rozjaśniło teren za oknem. Maria wzdrygnęła się z powodu tego niespodziewanego blasku, ale od razu doszła do siebie. Nie potrafiła jeszcze podnieść oczu na Giovanniego.

– Widzę, że jesteś zdenerwowana – zauważył.

– Zdenerwowana? – powiedziała. – Nie jestem zdenerwowana.

– Coś jest nie tak?

– Nie.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie.

– Co robiłaś wczoraj?

Maria podejrzliwie uniosła brwi.

– Dlaczego zadaje mi pan to pytanie?

– Bo wczoraj, kiedy się rozstaliśmy, byłaś niespokojna – odpowiedział Giovanni.

– Kiedy byliśmy w ogrodzie księcia?

– Tak.

– Powiedziałam już panu: widok miejsca, gdzie zmarł mój tata, wywołuje we mnie złe samopoczucie.

– Tylko tyle?

– A co jeszcze?

– Nie myślałaś o niczym innym?

– A o czym miałabym myśleć?

– Znalezienie się w tym miejscu niczego w tobie nie wzbudziło?

– Nie.

– O czymś jednak musiałaś myśleć.

Maria uśmiechnęła się z przekąsem, w sposób zupełnie do niej niepodobny.

– Myślę o wielu rzeczach – powiedziała.

– Czy jest coś szczególnego, o czym chciałabyś mi opowiedzieć?

– Nie. Ale niech się pan nie martwi, nic mi się nie stało.

– A jednak – podjął Giovanni – widzę, że jesteś odmieniona.

– Odmieniona, jak? – odparła, rzucając mu wyzwanie.

– Ty masz mi to powiedzieć.

– Ja nie mam nic do powiedzenia.

Giovanni odczekał chwilę.

– Mogę zadać ci jedno pytanie?

– Oczywiście.

– Chciałaś dzisiaj przyjść tutaj? Miałaś na to ochotę czy też przyszłaś wbrew swej woli?

– Przyszłam, bo chciałam przyjść. – Uniosła ramiona, jakby miała dodać coś jeszcze, ale nic więcej nie powiedziała.

– Mario... – zaczął Giovanni.

– Tak?

– Mario, spójrz na mnie.

– Tak.

Maria podniosła głowę i jej wzrok natrafił na parę surowych i wpatrzonych w nią oczu. Czego on od niej chce? Dlaczego teraz tak na nią patrzy?

– Wczoraj w pewnym momencie – mówił dalej Giovanni – coś cię poruszyło i nie chciałaś tam dłużej zostać.

– Dlaczego pan tak myśli? – zaprotestowała.

– Bo to czułem.

– A jeśli się pan pomylił?

– Nie, Mario. O czym pomyślałaś? Coś sobie przypomniałaś?

Maria uśmiechnęła się.

– Ledwie przyszłam, a już mi pan stawia te wszystkie pytania?

– Maria, jaką znam, jest znacznie bardziej chętna do współpracy.

– No, ale jeśli nie mam panu nic do powiedzenia...

– Doskonale wiesz, co masz mi powiedzieć.

– Co?

Giovanni przerwał dalszą rozmowę. Wydawało się, że to ona teraz bawi się z nim, próbując go unikać. Przyjęła postawę mizdrzącej się i kokietującej dziewczynki, ale w jej oczach, które nagle stały się szelmowskie, kryła się także jakaś złość.

– Co się stało, Mario? – zapytał, podejmując wyzwanie.

– Nic.

– O czym myślałaś?

– Powiedziałam panu: o niczym.

– Podeszłaś do pieńka, przy którym umarł twój ojciec, i coś ci się przypomniało.

– Nie.

– Wróć do tej chwili.  
– Do jakiej chwili?  
– O czym myślałaś?  
– Jest pan uparty – stwierdziła.  
– Spróbuj zamknąć oczy...  
– Ciągle te zamknięte oczy! – krzyknęła poirytowana. Położyła ręce na blacie, zabierając je od razu z powrotem i zostawiając plamkę potu, której Giovanni nie omieszkał zauważyć. – Czego pan chce? – buntowała się. – Dlaczego pan stale wraca do tej historii?

– Możesz wybrać, Mario – powiedział chłodno Giovanni. – Możesz wybrać, czy iść naprzód, czy się cofać.

– Ale co mam zrobić? – powiedziała Maria, czyniąc gest, jakby zamierzała wstać z krzesła. – Czego pan ode mnie chce?

– Wrócić do tamtego momentu.  
– Nie ma nic prócz wspomnienia.  
– Byłaś blisko pieńka i...  
– Był tam mój tata, na ziemi... – odpowiedziała pokonana natarczywością doktora.

– A ty gdzie byłaś?  
– Byłam tam.  
– Sama?  
– Z kimś.  
– Kto to był?  
– Ktoś. Nie pamiętam.  
– To był mężczyzna?  
– Tak.  
– Mówił coś do ciebie?  
– Nie.  
– A co robił?

Maria spuściła głowę, nie miała już siły.

– Jak długo z nim byłaś?  
– Jak?  
– Jak długo z nim zostałaś?  
– Nie zostałam z nim! – zaciętrzewiła się. – Co pan wygaduje? Wy, mężczyźni, ciągle myślicie tylko o tych rzeczach!

– O jakich rzeczach? – zapytał natychmiast Giovanni.  
– Pan wie, o jakich!  
– Mówisz o sprawach seksualnych?  
– O tym, co wy lubicie, wy, faceci! – skończyła szyderczo.  
– Myślisz tak również o mnie?

– Pana nie znam. Skąd mam wiedzieć, co pan robi? Może pan też ma rozpaloną głowę.

– Kto jeszcze ma rozpaloną głowę?

– Wszyscy!

– Wszyscy, to znaczy kto?

– Wszyscy chcecie tego samego, myśli pan, że nie wiem? – Teraz miała odmienioną twarz i inaczej się zachowywała, przypominała dojrzałą kobietę. Ale w jej oczach było jeszcze coś, jakaś ślepa i niewyraźna uraza, która lada chwila mogła dać znać o sobie.

Giovanni był bliski przerwania spotkania. Być może trzeba było zainterweniować, by spróbować ją uspokoić, zanim dostanie niekontrolowanego ataku.

– Mario... – zdołał powiedzieć, ale dziewczyna znów zaczęła na niego krzyczeć.

– Mario? A co, odkąd to się znamy? Był pan u mnie w domu na obiedzie? Spotkaliśmy się gdzieś na mieście?

– Posłuchaj, Mario...

– Potraficie tylko obmacywać kobiety swoimi łapskami. – Wstała. – Zależy wam tylko na waszej przyjemności! Przychodźcie i pchacie łapy pod spódnicę, kiedy i jak chcecie!

– Ktoś ci to zrobił? – zapytał Giovanni.

– A co pan myśli?

– Powiedz mi.

– Pewnie i pan chciałby mi to zrobić, prawda?

– Nie, Mario.

– Wystarczy mi mój ojczym!

– Twój ojczym cię dotykał?

– Chciał! Ale jak się pilnował! Pilnował się i nie dotykał, bo się bał, że go moja mama przepędzi.

– A wcześniej? – zapytał, kierując się intuicją.

– Co wcześniej?

– Przed twoim ojczymem.

– Co wcześniej?

– Kto cię dotykał wcześniej?

Maria podeszła do niego.

– Co wcześniej? – powiedziała raz jeszcze. I nie przestawała powtarzać, stojąc przed nim groźna.

– Usiądź na miejsce, Mario.

– A jeśli nie mam ochoty?

– Usiądź na miejsce.

– A jeśli mi się chce tutaj stać, to co mi pan zrobi? Będzie mi pan chciał pod-

nieść spódnicę?

– Nie – szepnął Giovanni.

– Ma pan zostawić Marię w spokoju! Rozumiemy się? Od tej pory nie wolno panu Marii nawet powąchać? Jasne?

Giovanni cofnął się z krzesłem i wstał. Maria dostała ataku i nie wiedziała, jak się zachować. Jakby jakaś inna osobowość wzięła w niej górę. Jej prawe oko pozostało nieruchome, naprawdę nie była panią tego, co mówiła. Była w stanie jakiegoś oszołomienia, a to, co się działo, wydawało się niepożądanym skutkiem wprowadzenia w hipnozę. Kim była ta osobowość, która się uzewnętrzniła? Czy to była część jej samej, czy jakiś głębszy aspekt czegoś, czego jeszcze nie potrafił zrozumieć? Musiało to być związane z jej seksualnością, być może wszystko od tego się brało, ale teraz nie ośmielił się już o nic pytać.

Maria uspokoiła się na chwilę, zdawało się, że myśli o tym, co się stało, i po omacku próbowała wrócić na swoje krzesło.

– Może ci pomóc? – zapytał Giovanni.

– Nie!

– Ledwie się trzymasz na nogach, Mario.

– Zostaw mnie! – wybuchła Maria, odwracając się do niego. – Nie dotykaj mnie! Ty parszywa świnio! – Splunęła mu w twarz z cynicznym grymasem na twarzy. Giovanni cofnął się, ale ona rzuciła się na niego, drapiąc go na wysokości szyi.

– Ty łajdaku, psi synu! Świnio, świnio! Cholerny bydlaku!

– Uspokój się, Mario!

– Ty sukinsynu! Ty skurwysynu! Draniu! Spróbuj mnie tylko dotknąć, łajdaku!

Giovanni starał się chwycić ją za ręce, odsuwając się na bok, ale nie udało mu się przytrzymać dziewczyny. Jej dłonie znalazły się na jego twarzy i poczuł, jak ciało rozrywa się pod jej paznokciami. Walczył, by ją unieruchomić, popychając ją do ściany, ale ona zdołała oswobodzić się z jego więzów i złapała lampę ze stołu. Wyrwała przewód z gniazdka i wśród krzyków i przekleństw uderzyła Giovanniego w okolice czoła. Mężczyzna, bliski omdlenia, osunął się na ziemię. Maria upuściła lampę i uklękła przy nim, nie rozumiejąc, co się przed chwilą stało. Zobaczyła krew na czole Giovanniego i wybuchła płaczem. Na dworze ciągle padało. Spostrzegła, że Giovanni jęczy, próbując otworzyć oczy, i uciekła.

Matka nawet nie zauważyła, że córka wróciła. Spała na tapczaniku przed włączonym telewizorem, zmizerowana i wiotka jak bezkształtna masa. Maria spojrzała na nią, czując odrazę zmieszaną ze współczuciem, i skierowała się w stronę schodów. Mąciło jej się w głowie. Miała mokre włosy i ubranie, ale prawie o tym nie myślała. Poszła do swojego pokoju i od razu jej uwagę przykuł obraz odbijający się w lustrze. Nie zwykła tego robić, chyba tylko żeby uczesać włosy albo zrobić sobie makijaż, ale to zdarzało się jej rzadko. Zobaczyła swoją bladą twarz i znieruchomiła, dumając nad tymi rysami, które przez chwilę sprawiały wrażenie, jakby nie były jej rysami. Co się z nią stało? Jak mogła uderzyć Giovanniego? Wciąż jeszcze brzmiał jej w uszach ten głos, pełen złości i jakiś odmieniony, którym go wyzywała, a nawet z niego szydziła. To nie była ona. To był ktoś inny. Przebiegł ją dreszcz. Podeszła bliżej komody, by dokładniej spojrzeć w lustro. Błyskawica rozświetliła okno. Wzdrygnęła się, widząc swoje wystraszone spojrzenie. Włosy oplatały jej twarz jak na niektórych wizerunkach Matki Boskiej Bolesnej, a w jej oczach panował mrok. Były głębokie, czarne, złe. Cofnęła się. To nie były jej oczy. Przy kolejnej błyskawicy jej serce omal nie pękło. Odetchnęła głęboko, ale nie przestawała się wpatrywać w lustro. Wydawało się jej, że odbijające się w lustrze łóżko, które stało za nią, zaczęło się cofać do kąta, jakby przez kogoś wzywane. Oblewało ją blade światło, jakby chcąc ją upokorzyć. Czuła się bezsilna, daleka od siebie samej. Rozejrzała się dokoła, przerażona tym, co mogła jeszcze zobaczyć. Czmychnął jakiś cień, a ona powiedziała sobie, że go nie ma i że on jest tylko w jej umyśle. Poczowała, że osuwa się na podłogę, ale nie mogła nikogo zawołać. Była obłąkana. Poruszała się w niej ta inna, która czasami robiła coś dla jej dobra, jednak tym razem mogła się posunąć nawet do zduszenia jej, do zawładnięcia nią. Nie chciała wracać do tamtych dni, kiedy prawie nie pamiętała swojego imienia. Potrzebowała Giovanniego, jego wsparcia, jego słów. Przeklinała siebie za to, co zrobiła, i podniosła rękę, by podrapać sobie twarz, by się ukarać. Powstrzymała się w porę, ale twarz w lustrze nadal była zniekształcona. Sufit się obniżył, a ona poczuła czyjaś obecność. Z jej ust dobył się jęk, natychmiast stłumiony przez nagły, zimny dreszcz. Deszcz przestał padać, została tylko cisza. Zmierzała w jej stronę, jakby chciała ją uchwycić, wejść do jej głowy. Nie była w stanie uciekać przed tym, co widziała. Potem ujrziała inną twarz, która wynurzyła się koło niej, i krzyknęła na widok tej potworności mogącej ją wręcz zaatakować. To była chora twarz, kobieca, podobna do jej twarzy. To była ona, poruszająca teraz wargami, jakby musiała je otwierać, by coś powiedzieć. Raz jeszcze krzyknęła i uciekła z pokoju. Zeszła po schodach i nie zważając na matkę, wyszła na zewnątrz. Otuliła ją noc, przyjmując drobnym i łagodnym deszczem, który znów się rozpadał.





Vincenzina obudziła się zniecka, słysząc głośne pukanie do drzwi. Wstała z tapczanu i włożyła kapcie, poprawiając sobie podomkę.

– Kto tam? – powtórzyła kilkakrotnie, uzyskując w odpowiedzi tylko jakieś dźwięki zagłuszone szumem deszczu i wiatru.

Podeszła zdyszana do drzwi, otworzyła je i zobaczyła przed sobą Giovanniego, skulonego pod parasolem i próbującego się schronić przed wodą, która podchodziła pod same drzwi wejściowe do domów.

– Co się stało? – spytała, zanim jeszcze Giovanni zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Maria jest w domu?

Vincenzina podniosła głowę i zobaczyła zakrzepłą krew na czole Giovanniego.

– Co się panu stało? – spytała przestraszona.

– Potem pani wyjaśnię. Gdzie jest Maria?

– Nie wiem.

– Jeszcze nie wróciła?

– Spałam. Nie wiem, czy wróciła.

– Niech pani sprawdzi, czy jest w domu.

– Ale co się stało?

– Niech ją pani zawoła, Vincenzino.

– Dobrze – powiedziała kobieta. – A pan niech wejdzie. Niech pan nie stoi na zewnątrz, bo ugrzęźnie pan na dobre w tym błocie.

Podeszła do schodów i zawołała Marię, ale nie uzyskała odpowiedzi.

– Nie ma jej – powiedziała do Giovanniego, który w tym czasie wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Niech pani zajrzy na górę.

Vincenzinę ogarnął niepokój.

– Co się dzieje? – zapytała cichym głosem.

– Maria wyszła z gabinetu – odpowiedział. – Mieliśmy sprzeczkę.

– A o co poszło?

– Niech się pani tym teraz nie martwi. Proszę sprawdzić, czy jest na górze.

– Czy coś zrobiła?

– Nie – uciał krótko Giovanni.

– Ona pana tak pokieroszowała?

– To był wypadek.

Vincenzina weszła po schodach i zawołała córkę. Podeszła do drzwi jej pokoju, niemalże bojąc się wejść.

– Mario – powiedziała jeszcze raz i pchnęła drzwi. Wszystko było w porządku. Maria jeszcze nie wróciła. Po chwili zobaczyła wodę na podłodze, obok komody, i zrozumiała, że córka jednak musiała tu być, zapewne kiedy ona spała. Pośpiesznie zeszła na parter.

– Chyba tu była – oświadczyła Giovanniemu. – Na podłodze jest trochę wody.

– Kiedy wychodziła z gabinetu, padało – pomyślał głośno Giovanni. – Nie przebrała się? Nie widziała pani mokrych ubrań?

– Nie.

– Dokąd mogła pójść?

– I po co? – powiedziała Vincenzina, rozkładając nerwowo ręce i nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć. – Dokąd mogła pójść?

– Nie ma jakiejś przyjaciółki, która mieszka w okolicy? – zapytał Giovanni.

– Nie.

– A dziewczęta, które pracują u Livii Antonietty?

– Nigdy się z nimi nie spotykała.

– Niech pani idzie do kościoła – zasugerował Giovanni. – Pójdzie pani ulicą do samego kościoła, a jeśli jej tam nie będzie, to niech pani idzie do parku.

– Nie lepiej zadzwonić na policję?

– I co im powiemy?

– Może zasłała.

Giovanni ujął jej rękę.

– Niech pani zrobi tak jak mówię. Być może jest u księdza Edoarda. Jeśli jej tam nie ma, niech pani pójdzie do parku.

– A pan?

– Ja idę do ogrodu księcia – odpowiedział. – Jeśli jej tam nie zastanę, pójdę do kaplicy Matki Bożej.

– W porządku. – Zauważyła strużkę krwi, spływającą mu po policzku, i wzięła chusteczkę z kredensu. – Krew się jeszcze z pana leje. Niech się pan wytrze.

Giovanni podziękował jej, biorąc chusteczkę.

– Przebiorę się i pójdę do kościoła – powiedziała kobieta.

– Dobrze – odrzekł Giovanni. – Ja już idę.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i Giovanni wyszedł na zewnątrz. Deszcz stawał się coraz drobniejszy. Lamy miejskie, rozwieszane nad ulicą Grimaldiego, gwałtownie kołysały się od podmuchów wiatru. Giovanni skrył się w płaszczu i poszedł łagodnie wznoszącą się drogą w stronę ogrodu księcia.

Utworzył się już spory potok, kiedy Giovanni dotarł na ścieżkę prowadzącą do kapliczki Matki Bożej. Wiatr smagał nieliczne w tej okolicy domy, naginając drzewa i sucho dmuchając po polanie naprzeciwko czereśni, która wskazywała przesmyk prowadzący do kapliczki. Giovanni minął ciemny odcinek, przechodząc przez kałużę, po czym znalazł się przy wale ziemnym, który wyznaczał granicę kasztanowego lasu. W tym miejscu woda spływała uporczywie, tworząc grząskie zalewisko. Giovanni okrążył je i poszedł wzdłuż grzbietu wału, zwracając uwagę na ziemię, która osuwała mu się spod nóg. Znalazł jakiś kij i z jego pomocą pokonał najtrudniejszy kawałek drogi. Nie zastał Marii w ogrodzie księcia, toteż ostatnią możliwością było to, że mogła chcieć znaleźć pocieszenie w figurce Matki Bożej, którą już dostrzegł dzięki światełku zapalonemu przy tabernakulum.

Nieustannie wiejący wiatr zmusił go do zatrzymania się. Wytężył wzrok, ale nie był w stanie niczego dojrzeć. Poszedł dalej, co chwila wtykając kijek w ziemię, i tak dotarł do zakrętu, który prowadził na niewielki, pokryty trawą placyk z kapliczką Matki Bożej w środku. Maria tam była, klęczała przed figurką jaśniejącą w ciemności, tak jakby miała wypełnić jakiś ślub albo zadośćuczynić za Bóg wie jaką winę. Giovanniego ogarnęło wzruszenie. Skoro tam była, na ziemi, z kolanami zanurzonymi w błocie, to być może kryzys już minął. Podeszedł kilka kroków i zawołał ją. Maria odwróciła się, spuściła głowę na piersi i zaczęła płakać.

– Mario, nie możemy tu zostać – poinformował ją Giovanni.

Nie odpowiedziała. Wyciągnęła na wpół zamkniętą dłoń w stronę Matki Bożej i wstała. Podeszła do tabernakulum i ucałowała szybę. Potem, wciąż ze spuszczoną głową, podeszła do Giovanniego, szukając u niego pociechy. Mężczyzna objął ją ramieniem.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Ona przytaknęła i ukryła twarz na jego piersi.

– Musimy stąd iść, Mario – zaproponował Giovanni. – Za mocno pada.

– Już nie chcę być chora – powiedziała ze łzami w oczach.

– Nie będziesz chora, obiecuję ci to.

– Nie chcę już widzieć tamtej twarzy – mówiła wciąż w transie.

– Jakiej twarzy?

– Twarzy kobiety.

Giovanniego mimowolnie przeszedł dreszcz.

– Jakiej kobiety? – zapytał, głaszcząc ociekające wodą włosy dziewczyny. – Gdzie ją widziałas?

– Jest stale ze mną. Nie daje mi spokoju.

– Czujesz ją w sobie?

– Tak.  
– Również teraz?  
– Nie.  
– Wcześniej, kiedy byliśmy w gabinecie, ona była?  
– Tak. Nie chciałam panu wyrządzić krzywdy.  
– Nie byłaś świadoma tego, co robisz.  
– Jest wstrętne – powiedziała głosem dziewczynki.  
– Ta kobieta?  
– Tak.  
– Może naprawdę nie chciała ci zrobić krzywdy. Może ona niepokoiła się o ciebie. Może chce cię po prostu strzec.  
Maria nie odpowiedziała.  
– A gdzie ją widziałas?  
– W lustrze.  
– Wróciłaś do domu i zobaczyłaś ją w lustrze w swoim pokoju – wyobraził sobie Giovanni.  
– Tak.  
– Miała twarz kogoś, kogo znasz?  
– Nie, była taka jak ja. Ale była chora, bardziej chora ode mnie. Giovanni przycisnął ją do siebie.  
– Już jej więcej nie zobaczysz – przyrzekł.  
– Nie chcę jej już więcej widzieć – powtórzyła Maria zawodzącym głosem.  
– Nie martw się.  
– I nie chcę już do pana przychodzić – dodała. – Nie chcę niczego pamiętać. Chcę tylko, żeby mnie zostawiono w spokoju.  
– Masz rację – powiedział, tuląc ją do siebie. – Nie powinnaś nigdy robić czegoś, czego nie chcesz robić. A teraz wróćmy do miasteczka...  
– Nie – zaprotestowała, chwytając się kurczowo nieprzemakalnej kurtki Giovanniego. – Chcę być tutaj z Matką Bożą.  
– Matka Boża jest zawsze z tobą – zapewnił ją Giovanni.  
– Jeszcze trochę.  
– Oczywiście – przystał na jej prośbę.  
– Nie chcę iść do domu.  
– Dlaczego nie?  
– Chcę być w kościele dziś w nocy – powiedziała ledwie słyszalnym głosem.  
– Mogę zostać z tobą w domu, jeśli chcesz.  
– Nie, chcę być w kościele.  
– Kościół jest w nocy zamknięty.  
– Nieważne.  
Giovanni zaczerpnął trochę powietrza, jego twarz ociekała wodą.

- Boisz się, że zobaczysz znów tę kobietę? – spytała.
- Tak.
- Ale twój ojciec jest zawsze z tobą. On także cię strzeże.
- Tylko tę jedną noc.
- Teraz porozmawiamy z twoją matką i zobaczymy, co się da zrobić.
- Tak.

Trzymała się go z mniejszą siłą i Giovanni skorzystał z okazji, by wyprowadzić ją na bitą drogę. Szli przytuleni do siebie aż do pierwszych zamieszkałych domów, a stamtąd dotarli na ulicę Grimaldiego. Deszcz osłabł, ale wiatr nadal hulał z nieznośnym zawrotem. Księżyc ukazał się teraz między chmurami, które szybko przesuwały się ku góróm.

– Nie chcę iść do domu – powiedziała Maria dziwnie spokojnym głosem. – Niech mnie tam pan nie prowadzi.

– Tylko żebyś się przebrała. Nie możesz zostać w kościele tak ubrana. Musisz wyschnąć.

– A potem zaprowadzi mnie pan do kościoła.

– Oczywiście.

– Niech pan zawoła księdza Edoarda.

– Tak – powiedział Giovanni. – Zaprowadzę cię do domu, a potem do kościoła.

Ksiądz Edoardo otworzył kościół i Maria całą noc przesiedziała w jednej z ławek, wpatrzona w ołtarz, modląc się razem ze swoją matką. Myślała o kobiecie, o tej cierpiącej twarzy, i modliła się również za nią, aby mogła znaleźć pokój, aby mogła wrócić do domu.

Weszła do gabinetu bez pozwolenia. Od dawna już chciała to zrobić: znaleźć się tam i samotnie patrzeć na ulicę z okna albo usiąść za biurkiem i obserwować pogodę przez okno. W tym momencie wpadła smuga światła, która przecięła pokój na pół. W cieniu pozostał regał z książkami w ekonomicznych wydaniach ze swoją zamierzłą już historią. Radosne, ale chyba także smutne czasy – pomyślała. Wszyscy tak mają. Wiedziała, że księżę Alberto stracił brata i że jego matka zmarła, wydając na świat dziecko, które przeżyło później zaledwie kilka lat. Kto wie, dlaczego zdecydowali się wyjechać. Przez chwilę myślała o wysokiej i szczupłej sylwetce księcia i przyszła jej na myśl kobieta, którą widziała w lustrze. Uśmiechała się do niej spokojna w kąciku jej myśli. Może naprawdę próbowała ją bronić, a może była aniołem albo jakimś cierpiącym duchem, któremu leżało na sercu jej życie. Chciała w to wierzyć.

Rozejrzała się dokoła niemal z rozgoryczeniem. Musiała opuścić to pomieszczenie. Albo raczej nie chciała już tu więcej przychodzić w obecności Giovanniego. Zawdzięczała mu wiele i szczerze go kochała, tak jak można kochać ojca, lecz teraz potrzebowała przestać już o tym wszystkim myśleć, zostawić to za sobą, choć czuła w sercu jakąś zgryzotę, jakieś brzemienie pełne mroku. Zdecydowała, że lepiej o tym nie myśleć.

Podeszła do regału i zaczęła czytać tytuły książek. Kolejną rzeczą, jaką chciała teraz zrobić, był powrót do szkoły. To chyba było jej najbardziej palące pragnienie: stać się częścią tej grupy młodych ludzi spacerujących z książkami w ręku, tam i z powrotem po parkowej alei, rozmawiających o sprawach, które musiały być ważne, albo o chwilach, które trzeba przeżyć, skosztować.

Usłyszała jakiś hałas i kroki na schodach. Zdała sobie sprawę, że to Giovanni. Czekala na niego przy drzwiach.

- Co ty tutaj robisz? – spytał, gdy tylko ją zobaczył.
  - Weszłam bez pozwolenia – powiedziała.
  - Masz klucze – przypomniał jej. – Możesz tu wchodzić, kiedy chcesz.
  - Chciałam jedynie zobaczyć ten pokój jeszcze raz.
- Giovanni przytaknął i przeszedł obok niej.
- Nie chcesz tu przychodzić? – zapytał, zatrzymując się przy biurku.
  - Na razie nie.
  - Nie czujesz już potrzeby?
  - Chciałabym przychodzić, aby siadać na tym krześle, jak zawsze, i przemysliwać – wyjaśniła.
  - To miejsce, które pozwala uporządkować myśli, prawda?
  - Tak.

Podszedł do niej blisko.

– Jak się teraz czujesz? – zapytał, patrząc jej w oczy.

– Lepiej.

– Dobrze spałaś przez ostatnie noce?

– Tak. – Maria odgadła jego myśli. – Teraz wyobrażam sobie kobietę, która się do mnie uśmiecha.

– Dziwne – powiedział głównie po to, by skłonić ją do mówienia.

– Chyba miał pan rację – powiedziała dziewczyna, szukając jego wzroku. – Ona chciała tylko mojego dobra.

– Na pewno, skoro właśnie tak uważasz.

– Tak, tak myślę – potwierdziła. – Chyba zesłał mi ją mój tata.

– Kto to wie?

– Mój tata nigdy mnie nie opuści.

– To dobrze, że stale czujesz go blisko siebie.

– I myślę też, że zmarli nigdy nie opuszczają żywych.

Giovanni uniósł brwi i lekko się uśmiechnął.

– Niestety, w tej kwestii nie potrafisz ci nic powiedzieć.

– Czuję, że tak jest.

– Czujesz nadal obecność zmarłych?

– Tak.

Giovanni raz jeszcze przytaknął, ale nie umiał nic więcej powiedzieć. Tylko Maria mogła dać odpowiedź na to, co czuła.

– Co pan teraz będzie robił?

– Zostanę tutaj – odpowiedział po prostu.

– Zostanie pan tutaj?

– Nigdy nie zamierzałem stąd wyjeżdżać.

– Nie ma pan swojej pracy?

– Owszem, mam, ale tu znajduję coś ważniejszego. Oczywiście muszę pomyśleć także o pracy. Ale jakoś sobie poradzę.

Maria poruszyła głowę i podeszła bliżej, aby go objąć. Przytuliła się mocno do jego piersi, potem ucałowała go w policzek, gotowa do wyjścia.

– Jestem w domu, jeśli będziesz mnie potrzebować.

– Wiem – powiedziała. Spojrzała na biblioteczkę.

– Czy mogę pana o coś poprosić? – zapytała.

– Jasne.

– Nie wiem, czy to możliwe...

– Mów śmiało.

– Czy mogłabym sobie wziąć książkę Liali, tę, którą już kiedyś miałam?

– Pewnie że możesz – odpowiedział.

I oboje się zaśmiali.





Maria napełniła dzban wodą ze źródła i zauważyła, że brama ogrodu księcia jest otwarta. Zapewne przyjechał zarządca z Cannava na polecenie księżniczki, aby coś zabrać albo trochę posprzątać w gospodarstwie. Od czasu do czasu zapalały się światła w domu właścicieli, gdy przyjeżdżał któryś z pracowników, i czas się cofał, kiedy wieczorem ulica Grimaldiego była jedyną zapaloną pochodnią aż do samego kościoła Świętego Rocha. Maria poczuła ukłucie w sercu i weszła do ogrodu. Nie zauważyła nikogo i podeszła bliżej do buków, zerkając kątem oka na dom, aby sprawdzić, czy ktoś jest w środku. Był chłodny i wilgotny poranek, niebo jeszcze pozbawione życia. Maria, oddychając z trudem, podeszła do polany, gdzie umarł jej ojciec. Zatrzymała się przed pieńkiem i złożyła przed sobą ręce, aby się pomodlić. Rozproszyły ją wzbijające się w powietrze ptaki. Jej ojciec zawsze tam był, nieuchwytny i ukryty w śmierci. Widziała go, czuła ciepło, być może miała rozgrzaną twarz z powodu mężczyzny, który tulił ją mocno do siebie. Nie pamiętała, kto to był, a teraz dziwiła się, że tak długo przechowała tamten moment tak wyraźnie, jakby upłynął zaledwie jeden dzień od tego, co się wydarzyło. To zawsze było w niej na wyciągnięcie ręki, nie chciała jednak nigdy po to sięgnąć. Być może nawet mówiła do swego ojca, powiedziała mu, żeby wstał, spodziewając się, że on to zrobi, ale on się nie poruszył. Nie mógł już tego zrobić, ale ona tego nie przyjmowała do wiadomości. Życie nie mogło skończyć się w taki sposób. Teraz Bóg go podniesie, wskrzesi do życia. Pamiętała te słowa wypowiedane w kościele, często je słyszała. Wielu powstawało z martwych, wracało do swoich bliskich, było przywracanych do życia. Jak jej ojciec mógł umrzeć w taki sposób? Być może powinna była zaczekać trzy dni albo na nadejście Wielkanocy. Niektórzy przecież mówili jej, że spotkają się na nowo na końcu czasów, kiedy wszyscy, żywi i umarli, będą żyć na zawsze.

Poczuła, że łzy spływają jej po twarzy i doznała nieoczekiwanego bólu. Nigdy o tym nie myślała. Odłożyła na bok to wspomnienie niczym jakiś stary i nieużyteczny przedmiot. Ale teraz rozumiała, że to był ból. Rozumiała jego najgłębiej schowany sens. Można współżyć ze stratą i udawać, że jej nigdy nie było. Można stracić kogoś, mieć świadomość tego, co się stało, ale zarazem odizolować swoje serce i umysł, aby trzymać z daleka cierpienie, nową utratę. To się właśnie zdarzyło. Nigdy tam nie była, w tym ogrodzie, wśród buków, które nadawały złoty blask temu terenowi, również krwi jej ojca, i ziemi dokoła, ziemi przyjmującej zmarłych, strzegącej ich, opiekującej się nimi, jakby byli odnalezionymi synami.

Uklękła koło pieńka i wzięła do ręki garść ziemi. Wydarła ją, zapychając sobie paznokcie tą materią, która wsączyła w siebie obumarłe już soki ojca. Czy wciąż tam była jego tak piękna i żywotna postać?

Później nagle przypomniała sobie mężczyznę, który ją przyciskał do swojego brzucha. Brzucha miękkiego, okrągłego. Pamiętała jeszcze swoją główkę, trzymaną nieruchomo przez nieznaną dłoń, i coś nabrzmiąłego, co parło na jej twarz, i wstrząsnął nią dreszcz obrzydzenia. Poczowała się na nowo małą dziewczynką i przypomniała sobie dziwne podniecenie, które ją wtedy ogarnęło. Z trudem oddychała, powietrze pęczniało jej w gardle, niemal ją dusiło. Otworzyła usta, wydając bolesny i dojmujący jęk. Dotknęła ziemi i poczuła się unizona. Była blisko swojego ojca. Zamknęła oczy i czekała, aż jej oddech na powrót stanie się lekki.

Livia Antonietta zauważyła Giovanniego przez okno i poszła otworzyć drzwi.

– Wejdz, wejdz – powiedziała.

– Twoja uczennica Mara mnie zawołała – powiedział, całując ją w głowę. – Co się stało?

– Zjawiała się tu, kiedy pracowałam – poinformowała go. – Nie chce iść do domu.

– Co jej jest?

– Mówi, że źle się poczuła w ogrodzie księcia i że chce rozmawiać z tobą.

– Gdzie jest?

– Na górze, w moim pokoju.

– Śpi?

– Nie, jak ją zostawiałam, nie spała.

– Pójdę zobaczyć.

– Zrobić ci coś?

– Nie, dziękuję.

Giovanni wszedł po schodach, a następnie przeszedł po skrzypiącej pod nim podłodze. Odchylił drzwi pokoju Livii Antonietty i wszedł do środka. Maria siedziała na łóżku z rozczochranymi włosami, z twarzą wciąż zabrudzoną ziemią, z zagubionym wzrokiem. Giovanni usiadł obok niej na wiklinowym krześle i poczuł ostry zapach pudru, jakiego zwykła używać matka Livii Antonietty. Dom wciąż był nim wypełniony.

– Co się stało? – zapytał.

– Źle się poczułam.

– Byłaś w ogrodzie księcia?

– Tak.

– Po co tam wróciłaś?

– Poszłam do mojego taty.

– I co się stało?

– Przypomniałam sobie tamten dzień, kiedy umarł.

– Co sobie przypomniałaś?

– Był ktoś ze mną...

– Mężczyzna?

– Tak.

Giovanni zaczekał, aby sama kontynuowała.

– Mówił do mnie – zaczęła. – Mówił do mnie i mnie przyciskał...

– Jak?

- Przyciskał mnie do siebie, a ja go dotykałam... – wyjąkała.
- Mów dalej.
- Czułam go – powiedziała Maria słabym głosem. – Przyciskał moją głowę do siebie. – Nie była w stanie mówić dalej, oddychała z trudem, a w jej oczach gromadziły się łzy.
- On ciebie dotykał? – zapytał Giovanni.
- Przyciskał moją głowę.
- Byli tam przecież inni ludzie.
- Tak.
- Staliście w środku grupy.
- Tak.
- I co widziałaś?
- Widziałam mojego tatę – odpowiedziała. – Leżał na ziemi, ale było tak, jakbym wiedziała, że jego już nie ma. Jednak myślałam też, że w każdej chwili może wstać, że Pan Bóg pozwoli mu wrócić, i modliłam się: „Wróć, wróć, wróć...”
- Dwie łzy delikatnie spłynęły jej po policzkach.
- Miałaś pięć lat – przypomniał Giovanni.
- Tak.
- Tamten mężczyzna zatem cię wykorzystał. Czy to właśnie chcesz powiedzieć?
- Maria nic nie powiedziała, twarz miała spiętą, obolałą.
- Co czułaś, Mario? Powiedz mi, co czułaś.
- Moja twarz była blisko jego spodni – powiedziała ledwie słyszalnie.
- Na jakiej wysokości?
- Na wysokości rozporka.
- Powiedz mi, co myślisz, Mario. Nie bój się.
- Dziewczyna nie mogła się już powstrzymać od płaczu. Schowała twarz w dłoniach, zbierając się w sobie, jakby miała odpokutować grzech, i po cichu zapłakała.
- To moja wina – powiedziała zdławionym głosem.
- W czym zawiniłaś?
- Mój tata umierał – ciągnęła dalej, już się nie kryjąc, ze łzami w oczach, delikatnie wydychając ustami powietrze – a ja to robiłam...
- Byłaś tylko małą dziewczynką, Mario. Nie wiedziałaś, co robisz.
- Wiedziałam! – wybuchła.
- A czy to coś zmienia?
- Mój tatuś zmarł i chciałam się modlić, a jednak sprawiało mi przyjemność to, że byłam przytulona do tego mężczyzny. Taka jest prawda.
- I czujesz się winna – wywnioskował Giovanni.
- Chcę tylko, aby mój tatuś mi przebaczył.

- Myślisz, że tego nie zrobił?
  - Nie wiem.
  - Może nigdy cię nie potępił.
- Maria nic nie powiedziała.
- Myślisz, że można przebaczyć córce?
  - Tak.
  - Cokolwiek by zrobiła złego?
  - Chyba tak.
  - Ale nadal czujesz się winna.
  - Ja zawsze czuję się winna.
  - Dlaczego?

Onieśmielona skuliła ramiona, przybierając pozę małej dziewczynki.

- Nie wiem – powiedziała. – Taka już jestem.
- Otrzymałaś surowe wychowanie.
- To też. – Podniosła wzrok. – Ale o tym już rozmawialiśmy, prawda?
- Tak – odpowiedział uważnie Giovanni.
- Nie chcę czuć się winna – dodała Maria – ale mimo to tak się czuję.
- To silniejsze od ciebie.
- Tak, czasami tak.
- Czy wiesz, od czego to zależy?

Zawahała się. Jej myśli pobiegły ku matce, ale pośpiesznie wymazała jej obraz.

- O czym myślisz? – od razu wtrącił Giovanni.
- O mojej mamie – odpowiedziała.
- To ona niekiedy sprawia, że czujesz się winna?
- Jak pan wie.
- Ale twoja mama nie ma nic wspólnego ze śmiercią twojego ojca.
- Ona zawsze ma coś wspólnego – powiedziała z urazą w głosie.
- W jaki sposób?
- Było mi przykro z powodu taty – powiedziała nagle zmieszana. – A kiedy wróciłam do domu, zapomniałam już o tamtym mężczyźnie, który mnie dotykał.
- Nie myślałaś o tym.
- Nie, myślałam tylko o moim tacie.
- Nie czułaś się winna.
- Nie.
- A kiedy zaczęłaś czuć się winna z powodu tego, co się stało? – zapytał. – Byłaś mała. Możesz tego nawet nie pamiętać.
- Tamtego wieczoru moja mama zbiła mnie na kwaśne jabłko – ujawniła nagle.
- Dlaczego? – spytał Giovanni, starając się zachować neutralność.

– Nie wiem – odpowiedziała Maria. – Pamiętam, że płakała i była rozdrażniona.

– Zmarł twój ojciec.

– Tak, ale to nie z tego powodu – odparła. – Wkurzyła się na mnie o coś. Nie chciałam jeść, a ona mi wymyślała.

– Co ci mówiła?

– Nie pamiętam.

Czuła się zmęczona i dostała dreszczy.

– Co się dzieje? – zapytał Giovanni.

– Nic. Nie daję już rady mówić.

– Może twoja mama wyzywała cię za to, co się zdarzyło z tamtym mężczyzną?

– Nie wiem.

– Pamiętasz, czy twoja matka była w ogrodzie księcia? Pamiętasz, czy ją widziałeś?

– Nie, nie pamiętam.

– Czy mogło być tak, że twoja mama albo ktoś inny cię widzieli?

– Trudno mi powiedzieć.

– Ale od tamtego dnia zaczęłaś odczuwać wyrzuty sumienia.

– Chyba.

– Twoja mama zawsze ci mówiła o grzechu.

– Tak.

– Przestrzegła cię.

– Zawsze. Moja mama wzbudzała we mnie złe samopoczucie, przekonanie, że wszystko robię źle.

– Nie ufała ci.

– Nie, chyba nie.

Giovanni odczekał chwilę.

– Pamiętasz jakiś epizod? – zapytał.

– Teraz?

– Czy pamiętasz jakieś istotne wydarzenie, na przykład kiedy byłaś mała?

– Po śmierci mojego taty?

– Tak.

– Muszę pomyśleć – powiedziała skromnie.

– Kiedyś opowiadałaś mi, że twoja mama chciała ci zamknąć *kwiatuszek*.

– Tak – odpowiedziała Maria, czerwieniąc się. – To jej wina! – krzyknęła, próbując ukryć zakłopotanie. – To zawsze jej wina!

– Co powiedziałaś teraz matce?

– A co mam jej powiedzieć?

– Co byś jej powiedziała?

– Nie chcę jej już nic mówić.  
– Co chciałabyś jej rzucić prosto w twarz, Mario?  
– Nic.  
– Jesteś na nią wściekła, prawda? – I, widząc, że nie odpowiada, dodał: – Co byś jej powiedziała? Co czujesz?  
– Czuję się źle – odpowiedziała zachrypniętym i przytłumionym głosem. – Moja mama zawsze wyrządzała mi krzywdę.  
– Spróbuj jej to powiedzieć.  
– Nie ma tu mojej mamy.  
– Twoja mama jest zawsze z tobą.  
Maria uniosła głowę, by odpędzić łzy.  
– Nigdy mnie nie opuszcza.  
– Jest zawsze przy tobie.  
– Tak. Cokolwiek robię, mówię, ona zawsze jest.  
– Powiedz jej to.  
– Zawsze jest ona! – powiedziała z zaciśniętymi zębami, ciężko dysząc. – Zawsze! Zawsze! – Zaczęła drżeć, przestraszona swoimi słowami. Oddech zamarł jej w piersi. – Zrujnowała mi życie!  
– Chciałabyś jej to powiedzieć, prawda?  
– Ileż razy! Ale ona nie pozwala mi oddychać. Patrzy na mnie i obwinia mnie o wszystko.  
– Jak na ciebie patrzy? – przycisnął ją Giovanni.  
– Otwiera oczy i patrzy na mnie – odparła bezbronna. – Osądza mnie za to, kim nie jestem, tak jakbym popełniła Bóg wie jaki grzech. Ja nie jestem taka, jak ona myśli. Nie. Nie jestem winna tego, że mój tatuś umarł...  
– Ona ci tak powiedziała?  
– Nie, ale ja już nie daję rady – stwierdziła zrezygnowana. – Teraz mogą mną nawet zawładnąć duchy. To nieważne. Nic już nie jest dla mnie ważne. – Od-  
dychała nierówno, głęboko. – Nic nie zrobiłam. Chcę tylko, żeby mnie zostawiła w spokoju. Ona może sobie robić, co chce...  
Szukała zrozumienia w oczach Giovanniego, bała się, że go w nich nie znaj-  
dzie. Potem zamilkła, jakby coś się w niej ostatecznie wypaliło.

Obudził ją śpiew ptaków. Musiał być wczesny ranek, nie później niż szósta. Błada jasność schodziła już od kasztanowego lasku w kierunku pierwszych domów. Maria słyszała świergotanie ptaków i odgłosy świni grzebiącej na wale ziemnym w poszukiwaniu jedzenia. Jej charakterystycznego chrupkania nie można było z niczym pomylić. Uśmiechnęła się. Postanowiła zostać pod kołdrą jeszcze parę minut, zamierzając zejść na parter później. Livia Antonietta zapewne była już na nogach. Wstawała zwykle wcześniej, aby rozdysponować pracę w ciągu dnia. Pamiętała ją zawsze zabieganą, z jakimś ciuszkiem do szycia, albo przygotowującą się do zrobienia zakupów, ze skoncentrowaną twarzą, jakby myśli nigdy jej nie opuszczały.

Przypomniała sobie poprzedni wieczór.

Poprosiła Livię Antoniettę o możliwość przenocowania u niej, a kobieta, za zgodą Giovanniego, chętnie na to przystała. Giovanni wpadł potem jeszcze do Vincenziny, aby jej powiedzieć, że na tę noc jej córka nie wróci do domu.

Wstała z łóżka.

Po raz pierwszy od długiego czasu czuła, że to może być nowy dzień. Jakiś spokój, niemal pogodzenie się z sobą, czynił ją bardziej pewną i ufą. Spała w pokoju matki Livii Antonietty. Pamiętała, że coś jej się śniło, chyba obudziła się w samym środku nocy, ale musiało to trwać tylko krótką chwilę. Czuła się pogodna, daleka od tego, co jeszcze tak niedawno się wydarzyło.

Ubrała się i zeszła.

Zastała Livię Antoniettę siedzącą za kuchennym stołem i smarującą masłem kromkę chleba.

– Dzień dobry – pozdrowiła ją promiennie kobieta. – Dobrze spałaś?

Maria przytaknęła i usiadła naprzeciwko.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Widzę, że jesteś odprężona.

– Tak – wyjąkała bliska płaczu. – Dziękuję.

– Za co?

– Dziękuję – powtórzyła szeptem Maria.

Livia Antonietta przytuliła ją.

– Musisz teraz zjeść porządne śniadanie.

– Dobrze.

– Czego sobie życzysz? Herbaty czy kawy? A może wolisz mleko?

– Nie, napiję się kawy.

– W takim razie zaraz nalewam. Właśnie zrobiłam.



Livia Antonietta napełniła filiżankę i postawiła ją przed Marią.

– Posłódź sobie, ile chcesz.

– Piję gorzką – powiedziała Maria.

– Jak to?

– Tak się przyzwyczaiłam.

Livia Antonietta skrzywiła się, a potem uśmiechnęła. Ukroiła kilka kromek chleba, ułożyła je na talerzyku, a następnie podsunęła Marii masło i marmoladę.

– Jedz, bo jesteś bardzo szczupła. A ty musisz jeszcze rosnać.

– Tak – powiedziała Maria. – Chciałabym taka być – powiedziała nagle.

– To znaczy jaka?

– Spokojna – wyjaśniła. – Tak jak ty. – Znów poczuła napływające łzy i przestała mówić, by je powstrzymać. Westchnęła.

– Chcę wstawać rano, załatwiać domowe sprawy, mieć pracę, rodzinę. Tylko tego chcę. Myśleć o tych rzeczach i o potrzebujących.

Livia Antonietta niepewnie poruszyła głową.

– Niestety, to nigdy nie jest łatwe, Mario – powiedziała. – Życie jest skomplikowane i stale trzeba uważać. Jasne, uczucia są ważne. Dają ci wszystko, ale trzeba także być pewnym swoich uczuć. Możesz zająć się różnymi sprawami tylko wtedy, gdy jesteś pewna tego, co czujesz. – Ujęła jej dłoń. – A teraz powinnaś myśleć tylko o tym, by czuć się dobrze. Reszta przyjdzie sama, nie martw się.

– Martwię się o moją mamę.

– Jeśli ty się będziesz dobrze czuła, to i twoja mama będzie się dobrze czuła.

– Nie wiem...

– To też się jakoś poukłada, potem zobaczysz.

– Zjem kromkę chleba i pójdę do domu – powiedziała Maria, wracając myślą do matki. Zostawiła ją samą, a teraz nie była już pewna, czy postąpiła słusznie. Może jest jeszcze szansa. Musiała z nią porozmawiać. Tak chyba byłoby właściwie. Słowa zawsze pomagają – pomyślała – nawet gdy się nie podobają, zwłaszcza jeśli są prawdą. To właśnie powinna zrobić.

Livia Antonietta ucałowała ją wyrozumiale w policzek. Maria zjadła chleb i wypila ciepłą jeszcze kawę.

Kiedy Maria weszła do domu, Vincenzina się nie poruszyła. Pozostała na miejscu przed zlewozmywakiem, być może licząc, że córka do niej podejdzie.

– Wróciłaś? – powiedziała z trudno skrywaną dezaprobatą.

– Tak. – Maria podeszła do łuku prowadzącego do kuchni. – Co robisz?

– Przygotowuję zupę.

– Potrzebujesz pomocy?

– Prawie skończyłam.

Maria zbliżyła się do stołu.

– Jak się czujesz?

– Raczej jak ty...

– Dobrze.

– Jak ci było u Antonietty?

– Dobrze.

– Miałaś okazję porozmawiać z Giovannim?

– Tak.

– A więc teraz już wszystko jest w porządku.

Znow ta przygana w głosie. Maria usiadła i splotła ręce na stole.

– Wzięłaś pastylki? – zapytała.

– Tak.

– Dziś rano też?

– Muszę je brać zawsze.

– Wydajesz się zdenerwowana.

– Ja? – zapytała sarkastycznie Vincenzina. – Ja nie mogę się zdenerwować.

Muszę zawsze o wszystkim myśleć.

– Nie mów do mnie w ten sposób.

– A jak ci mam to powiedzieć? – Odwróciła się do córki. – Co mam ci powiedzieć? – uściśliła.

– Chcę, żebyśmy żyły w zgodzie, mamó.

– A co, żyjemy w niezgodzie?

– Nie mów tak do mnie.

– Cóż takiego powiedziałam?

– I nie patrz na mnie! – wypowiedziała chrypiącym głosem.

– To teraz nawet nie mogę popatrzeć na swoją córkę?

– Nie. Nie tak.

– Co chcesz mi powiedzieć?

Maria wstała, łapiąc właściwy oddech.

– Czy ty mnie kochasz, mamó?

– Bardziej niż własną duszę.  
– Ale ja zawsze myślę, że tak nie jest – odparła szczerze Maria. – Stale mi się wydaje, że mnie o coś obwiniasz...

– O co?

– Zawsze tak się czuję, jakbym zrobiła coś, czego nie powinnam była zrobić.

– Przeze mnie się tak czujesz?

– Tak.

– Dlaczego mówisz mi o tym teraz?

– Bo już nie chcę źle się czuć.

Vincenzina uśmiechnęła się uszczypliwie.

– To teraz to jest moja wina, tak?

– Wcale tego nie mówię.

– Co w takim razie mówisz? – Wykrzywiła usta rozeźlona. – Kto ci kazał tak mówić? Ten twój lekarz?

– On nie ma z tym nic wspólnego.

– Ale to do niego chodzisz, jak chcesz mówić.

– Giovanni mi pomaga.

– Już jesteś z nim po imieniu.

– Ty też nazywasz go po imieniu.

– Ale ty jesteś jeszcze mała.

– Mam prawie osiemnaście lat, mam.

– I co chcesz przez to powiedzieć? Że możesz sobie robić, co ci się podoba?

– Źle się czuję, mam.

– Ja czuję się gorzej od ciebie, zawsze muszę czuwać, bo coś ci może przyjść do tej twojej chorej głowy!

– A widzisz?

Vincenzina skierowała palec w jej stronę.

– Chcesz mnie obwinić, prawda? Myślisz, że się nie domyśliłam? Ty źle się czujesz, a teraz winę za to ponoszę ja.

– Wcale tego nie mówię.

– Myślisz, że jestem głupia?

– Nie myślę tak – powiedziała ulegle Maria.

– Jeśli chcesz, droga wolna – syknęła Vincenzina. – Wracaj do twojej kumoszki Antonietty.

– Widzisz, że nie wiesz, co mówisz?

– Pewnie, może to ja teraz jestem wariatką!

– Ja nie jestem wariatką.

– Jesteś pomyłona, ot co!

– To nieprawda.

– Chcesz mojej krzywdy! – wybuchła Vincenzina, cała drżąc.

– To moja wina, pewnie! Tak jest łatwo! Wina jest zawsze po mojej stronie!  
Cokolwiek robię, robię źle! Ty i ten drań, twój ojciec!

– Co ty wygadujesz? – powiedziała Maria, błagając ją wzrokiem, aby przestała.

– Twój ojczym! – poprawiła się kobieta. – Bo twojego prawdziwego ojca nie jesteś godna nawet wspominać!

– Co takiego zrobiłam?

– Zrucasz wszystko na mnie, prawda? Wszyscy chcecie tak zrobić. Wina! – powiedziała, coraz bardziej trzęsąc się ze wzburzenia. – Nie wystarczyła twoja babka. Teraz jeszcze ty!

– Co ma z tym wspólnego babcia?

– A co ty myślisz? Że ja miałam mamę, która się o mnie troszczyła albo mnie kochała? Lała ile wlało! A ty mi śmiesz teraz mówić, co mam robić? Ty, co jeszcze mleko masz na ustach? Przychodzisz do mnie i mówisz mi takie rzeczy? Dziwka jesteś i tyle! Wina, wina, wina jest zawsze moja!

– Mamo! – próbowała podnieść głos Maria.

– Cicho! Cicho bądź, ty gnido! Cicho bądź, zanim cię tymi rękami zakopię w ziemi! Cicho! Zanim cię zabiję, tak jak cię urodziłam.

Marii zrobiło się słabo. Obróciła się, chcąc wyjść, ale matka zatrzymała ją ręką.

– Dokąd idziesz? – wrzasnęła na nią groźnie.

– Nie daję rady. Zostaw mnie w spokoju!

– Nigdzie nie pójdziesz!

– Mamo!

– Patrzę na ciebie, co? – powiedziała, wybałuszając oczy. – Mówisz, że na ciebie patrzę! To moja wina? Moja wina? No to teraz ci pokażę!

– Mamo, co robisz?

– Zaraz ci powiem, co robię! Skończymy to raz na zawsze!

– Dosyć, mamo!

– Córnka wariatka i matka też wariatka!

Maria upadła na kolana, nie wiedząc już, co robić. Matka popchnęła ją i przysunęła się bliżej zlewu. Pod ścierką zauważyła nóż z ząbkami i zastanawiała się, czy go wziąć, czy nie.

– To moja wina? – powtórzyła. – Chcesz tego? To tak będzie!

Chwyciła nóż, podczas gdy Maria krzyczała, by przestała. Przyłożyła go do twarzy i z pogardą przecięła sobie policzek. Maria natychmiast do niej podbiegła, raz jeszcze nakazując jej przestać.

Vincenzina upuściła nóż i patrząc w oczy córce, zaczęła sobie drapać twarz zgrubiałymi przez lata domowych prac paznokciami. Maria natychmiast chwyciła ją od tyłu, ale Vincenzina zdołała się oswobodzić, jęcząc i krzycząc w obłędzie.

Darła sobie skórę na twarzy, szarpiąc ją palcami, potem drapała i biła się po piersiach, z nieruchomymi i obłąkanymi oczyma, wyjąc głośno, aby dodać ekspresji swoim gestom.

– Mamo! Mamo! – krzyczała Maria, ale nie potrafiła jej w żaden sposób powstrzymać.

Vincenzina nic już nie mówiła. Znow zaczęła się znęcać nad sobą, rwąc włosy z głowy i bijąc się zaciśniętymi pięściami po piersiach, jakby chciała wyrwać winy i zło, które nosiła w sobie, aż w końcu wyczerpana osunęła się na ziemię. Wydała jeszcze ostatni jęk i znieruchomiała, wpatrując się w światło poranka, jakby chodziło o nieprzydatne już do niczego błogosławieństwo.

Maria ucięła sobie drzemkę w fotelu koło łóżka. Lekarz zrobił kolejny zastrzyk matce, która spała głęboko z bezwładnymi rękami ułożonymi wzdłuż tułowia i twarzą pozbawioną wyrazu. Dzwony kościoła Świętego Rocha wybiły północ. Maria otworzyła oczy i jeszcze w półśnie pomyślała o osobach, które przyszły ją odwiedzić. To był długi dzień, ale czuła się jak kiedyś w domu, gdy była mała, a cała dzielnica była wielką rodziną, drzwi zawsze otwarte, pokoje wypełnione ludźmi, którzy czekali na opowieści starców, smażyły się *zippole* i w kuchni gotowały w wielkich garnkach kasztany.

Vincenzina poruszyła się na łóżku, otwierając i zamykając oczy.

– Mamo – zawołała Maria, aby upewnić się, czy wszystko jest w porządku.

Kobieta odwróciła głowę w stronę córki, ale zdawała się jej nie poznawać.

– Jak się czujesz?

Vincenzina ledwie ruszyła głową, z twarzą zadrapaną paznokciami, z rozchyłonymi ustami i pokiereszowaną szyją.

– Potrzebujesz czegoś?

Kobieta potrząsnęła głową, nagle poirytowana, i odwróciła się do ściany.

– Chcesz trochę wody?

Maria nie otrzymała żadnej odpowiedzi, skuliła się więc znowu na fotelu. Na dole Livia Antonietta spała na tapczanie. Giovanni był tu przez cały wieczór, a ksiądz Edoardo wpadł około dziesiątej, by powiedzieć kilka słów pociechy. Było zimno, ale dni stały się dłuższe, już nabrzmiały wiosną, jakby chciały zapowiedzieć ciepłe i intensywne lato. Maria pomyślała, że wszystko może się zmienić, być inne. Że wszyscy mogą jeszcze zgromadzić się pod gwiazdzistym niebem i patrzeć z uroczeni na wspaniałość stworzenia, pytać się o tajemnicę wiary i niewidzialną obecność Boga. Czuła Go. Wiedziała, że Bóg jest z nią w każdym kroku, jaki wykonywała. I szukała Go, nawet kiedy była chora. A teraz wiedziała również, *czuła*, że zmarli chcieli tylko być przy niej blisko, chcieli jej pomagać. Uśmiechnęła się lekko i zauważyła, że matka ją obserwuje.

– Mamo... – szepnęła, ale bała się dalej mówić.

Vincenzina dała jej znak, by podeszła.

– Co się stało? – zapytała przejęta Maria.

Matka wzięła ją za rękę i mocno ścisnęła. Potem zamknęła oczy i ponownie zasnęła.

Tej samej nocy Maria obudziła się, ciężko dysząc. Ręce miała odkryte, skostniałe od wciąż jeszcze zimowego chłodu. Śnił się jej inny, nowy cień, umarły, który chciał, by spełniła jego prośbę, chyba miała komuś pomóc. Był także jej ojciec, który ją popychał w stronę innego, niematerialnego kształtu. Potem znana twarz, dziadek Raffaella, proszący ją, by go pocałowała. W tym śnie Maria była nieruchoma. Czekwała na coś w rodzaju cudu, jakąś przemianę, i pozwoliła, by suche i zimne usta zmarłego dotknęły jej ust. Znalazła się w ciasnej i pełnej żelastwa więzy z zawiniątkiem w rękach, nowo narodzonym dzieckiem, i niezliczonymi tysiącami robaków, które pełzły w jej stronę, włączając na ściany i kierując się ku noworodkowi. Później robaki znikły tak nagle, jak się pojawiły, ginąc w pustce i zostawiając za sobą lepki, ale ulotny ślad.

Maria dotknęła swoich ust. Przyzwoliła zmarłemu, aby ją dotknął, ale nie było w tym geście nic seksualnego. *Pocałunek zmarłych*. Niemal się nim delektowała, muskając palcami wilgotne usta, pragnąc poczuć jego esencję. To była jakaś łączność, pomyślała. Może jakieś przesłanie.

Przesłanie od zmarłych, które miała zanieść rodzinom. Ma otoczyć kogoś pieczę. Przez pośrednictwo Marii dziadek Raffaella interweniował, aby bronić wnuka, który miał się narodzić. Chyba o to chodziło. Zdumiała się tymi przemyśleniami. A gdyby to była prawda? A jeśli naprawdę zmarli czuwają nad swoimi bliskimi? W takim razie chyba rzeczywiście nie trzeba się ich bać. Zmarli są z nami, na swój sposób wciąż żywi, są przejawem energii, która pozwala życiu trwać. Przebiegł ją dreszcz. Szukała ojca w ciemności, jakby tam na nią czekał, jakby nigdy nie odszedł, i odwróciła się w stronę spokojnie śpiącej matki. Potem wstała z fotela i zeszła na parter, aby napić się wody. W szklanym dzbanie woda stale zachowywała świeżość. Z daleka dobiegały jakieś głosy i ujadanie psów, które goniły się w nocy. Wiedziała, co ma zrobić. Nareszcie wiele rzeczy stało się dla niej jasnych.

Zaczekała, aż Raffaele wyjdzie z domu i ruszyła za nim. Kiedy nie było lekcji w szkole, chłopiec zawsze chodził bawić się na plac Świętego Rocha. Podążyła jego śladem do końca ulicy i tam zawołała go, mając nadzieję, że nikt jej nie zauważy. Raffaele odwrócił się, a kiedy zobaczył, że to ona, uśmiechnął się do niej serdecznie. Maria rozpogodziła się, widząc ten pojednawczy gest.

– Potrzebujesz czegoś, Mario? – zapytał, przykładając dłoń do ust.

– Dokąd idziesz?

– Pobawić się.

– Musisz przekazać wiadomość.

– Komu?

– Twojej cioci Rosalbie.

– Co mam jej powiedzieć?

– Coś ważnego. Ale nie wolno ci tego zapomnieć.

– Nie, nie martw się. Nigdy niczego nie zapominam.

– Wiem, że jesteś dobry, ale masz jej to pójść powiedzieć od razu.

– A ty nie możesz pójść? – sprzeciwił się.

– Nie, ja nie mogę.

– Czemu? Dalej się kłócicie?

– Nie, pogodziłyśmy się.

– Kiedy?

– Zrobisz to dla mnie czy nie?

– Muszę teraz?

– To ci zajmie pięć minut.

Raffaele podszedł do niej zniecierpliwiony.

– Czekają na mnie – wyjaśnił. – Co mam jej powiedzieć?

– Raffaele! – dało się słyszeć wołanie.

– Co jest, ciociu? – zawołał z kolei Raffaele, rozpoznając głos.

– Co robisz?

– Maria chce mi coś powiedzieć.

Rosalba podchodziła do nich ostrożnie. Maria odwróciła się w jej kierunku i wyszła jej naprzeciw.

– Kumo, muszę pani coś powiedzieć – oświadczyła. – Coś ważnego.

Rosalba zatrzymała się, wciąż nieufna.

– Co takiego?

– Śnił mi się pani tatuś dziś w nocy – powiedziała. – Przesyła pani wiadomość.

– Co ty mówisz?



– Przesyła pani wiadomość – powtórzyła Maria, prosząc ją wzrokiem, by jej uwierzyła.

– Co ty gadasz?

– Dziecko jest zdrowe – powiedziała. – Niech się pani nie martwi. Teraz wszystko jest w porządku. Pani wnuk urodzi się bez problemów.

Rosalba przeżegnała się, instynktownie chcąc odpędzić dziewczynę. Zrobiła krok do tyłu, ale potem się zatrzymała.

– I co jeszcze ci powiedział? – spytała.

– Nic.

– To ty teraz jeszcze miewasz sny! – powiedziała chrapliwym głosem przestraszona kobieta. Jak mogła jej wierzyć? A poza tym, jakim prawem ona sobie pozwala wymieniać imię jej ojca, jakby to był jakiś jej krewny? Spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

– Moją rodzinę masz zostawić w spokoju, rozumiesz? Nas masz zostawić w spokoju. Zrozumiałas? – W oczach miała jeszcze większą wściekłość. – Nie zbliżaj się tu więcej, Mario Forestieri. Nie siej wiatru! Dostyc tego mówienia o nas!

– Ja nic o was nie mówię.

– To po co tu przyszedł z tą nowiną?

– Zmarli nie chcą naszej krzywdy...

– Idź precz! – zawołała przerażona kobieta. – Idź skąd przyszedł!

– Kumo...

– Nie mów do mnie! Nigdy więcej nic do mnie nie mów!

Wymierzyła w nią palec i zabierała się do odejścia. Raffaele obojętnie przyglądał się scenie.

– Musiałam to pani powiedzieć – nalegała Maria. – Pani tata patrzy na was z góry i strzeże was.

– A jeśli to nieprawda? – zaproponowała kobieta.

Maria nie wiedziała, co jej odpowiedzieć.

Kobieta zawołała do siebie Raffaela i pośpiesznie oddalili się ulicą. Ktoś nagle zamknął okiennice, by nie być widocznym. Maria poszła w stronę kościoła. A jeśli się myliła? A jeśli to, co jej się śniło, było tylko formą, jaką przybrały jej marzenia? Zbiorem zupełnie pozbawionych sensu obrazów i widzeń? Czy zapowiedzią wydarzeń, które miały dopiero nadejść? Poczula potrzebę zwierzenia się księdzu Edoardowi, ale przed boczną bramą kościoła zmieniła zdanie. Wiedziona instynktem pomyślała, że zrobiła to, co uznała za najśluszniesze. Któregoś dnia kumoszka Rosalba zrozumie. Poszła więc dalej drogą prowadzącą do parku miejskiego. Słońce wspięło się już ponad konarami drzew.

Giovanni wyszedł z ogrodu z torbą pełną pomidorów daktylowych. To były pierwsze zebrane przez niego warzywa i dlatego czuł swego rodzaju satysfakcję, długo skrywaną, którą wreszcie mógł w jakiś sposób okazać. Za kilka miesięcy powinien mieć ogórki, brzoskwinie, sałatę, endywie, bakłażany i morele. Pod koniec lata czekał go zbiór winogron, i będzie mógł świętować pierwszą rocznicę swego powrotu do Cittanova. Wcześniej jednak musi jeszcze wyjechać. W telegramie, jaki otrzymał od policji, znajdowało się niewiele słów i podpis: *Odezwij się. Marco*. Nie mógł dłużej tego odkładać. Jego intelektualna uczciwość nie pozwalała mu na to. Koniecznie musi dokończyć swoje wcześniejsze zobowiązania związane z pracą, między innymi zredagować książkę o snach, która kosztowała go wiele lat pracy i badań.

Skierował się do domu Livii Antonietty. Zapukał i zaczekał, aż mu otworzy. Pocałował ją w policzek, wręczył pomidory i wszedł. W pomieszczeniach unosiła się woń pary od żelazka.

- Pracujesz? – zapytał.
- Prasuję sukienkę.
- Cała jesteś rozpalona.
- Prasuję już ponad godzinę.
- Możesz przestać na chwilę? – spytał. – Przyszedłem, żeby ci coś powiedzieć.
- Co?
- Muszę wyjechać do Wenecji, żeby spotkać się z moim przyjacielem i współpracownikiem – wyjaśnił. – Nie mogę dłużej tego odkładać.
- Stało się coś? – zapytała, nagle zaniepokojona, jakby od dawna spodziewała się tych słów.
- Nie, to tylko sprawa związana z pracą.
- Jak długo cię nie będzie?
- Nie wiem. Tydzień, może dwa.

Livia Antonietta nieznacznie kiwnęła głową. Cóż mogła powiedzieć? Jak mogła domagać się, by został na zawsze, z dala od swojego życia, o które z taką pieczołowitością od zawsze się troszczył? Zrobiła krok, by wrócić do swojej pracy, ale Giovanni ją zatrzymał.

- Możesz pojechać ze mną – zaproponował.
- Dokąd?
- Do Wenecji.
- Po co?
- Nie wiem – powiedział. – Co można robić w Wenecji?

- Mam tak dużo spraw na głowie.
- Mogą się nimi zająć Mara i Letizia – zaproponował Giovanni.
- A może nawet Maria.
- To byłoby piękne jak marzenie – powiedziała.
- Trochę rozrywki dobrze ci zrobi.

Otoczył ją od tyłu ramionami, poprawiając jej włosy na szyi. Minęło sporo czasu – powiedział sobie – odniósł sukces, historia Marii wiele go nauczyła. Zostałby choćby dla niej, by się nią zająć i poznać jeszcze bardziej przyczynę jej najgłębszych myśli. Pomyślał, że duchowość podąża całkowicie nieznanymi drogami, drogami instynktownymi, które może dyktować tylko dusza świata. Maria była częścią Boga, częścią samego życia. Nie potrafiłby inaczej tego wyjaśnić. Była owocem tej łaski, która porusza najbardziej współczujące i miłosierne serca, i która znajduje wyraz w litości i w rozpoznawaniu siebie w innych. Maria, bardziej niż ktokolwiek inny, rozumiała, czym jest cierpienie. Widziała je w twarzach odwiedzanych osób, potrafiła dostrzec jego najbardziej zasadniczy aspekt, jego formę, jego wartość. W tym, co robiła, kryło się jakieś głębokie znaczenie, choć może nawet dla niej samej pozostawało ono nieznaną. Pomimo to działała. Tymczasem jej duch się buntował, wściekał się z powodu tego życia, które nie zostało jej dane, szukając zarazem odkupienia i zadośćuczynienia za nie swoją winę. Giovanni w ostatnich dniach widział, że definitywnie się zmieniła. Jej oczy znów stały się promienne, pełne nadziei i wewnętrznej harmonii. Maria odnalazła swoją najbardziej naturalną grzeczność, swoje najbardziej szczerze i autentyczne sposoby zachowania i swój uśmiech, który znaczył więcej niż jakakolwiek inna odpowiedź. To był Boży powiew, mówił ksiądz Edoardo. To była pewność obecności Boga na Ziemi, przekonanie, które niczego nie wyklucza. Maria rozmawiała zarówno z żywymi, jak i z umarłymi, wierząc w ich realność, w ich przebywanie na świecie, zawsze skłaniając pokornie głowę na znak szacunku i otwartości. To miłość, myślał Giovanni zdjęty dreszczem. Tylko to słowo. To miłość, która żyje i wypełnia sobą innych, i która nieuchronnie zmierza ku swemu Stwórcy, ku życiu.

<sup>1</sup> We Włoszech zmarli często są chowani w piętrowych grobowcach, złożonych z wielu wnęk, w których zamurowywane są trumny (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

<sup>2</sup> *Affrontata* – to organizowana na ulicach i placach, zwłaszcza w południowych Włoszech, inscenizacja religijna, w czasie której niesione są na feretronach trzy figury (Matki Bożej Bolesnej, Jezusa i świętego Jana), mające symbolizować spotkanie po zmartwychwstaniu Chrystusa.

<sup>3</sup> *Farandola* – antyczny taniec wywodzący się z Prowansji.

<sup>4</sup> *Liala* – właśc. Amalia Liana Cambiasi Negretti Odescalchi (1897-1995), włoska pisarka, autorka wielu powieści i felietonów.

<sup>5</sup> *Bagnara Calabria* – miasto i gmina w regionie Kalabrii, liczy około jedenastu tysięcy mieszkańców.

<sup>6</sup> *Calia* – sycylijski przysmak sporządzany z prażonej ciecierzycy.

<sup>7</sup> *Cannava* – niewielka miejscowość w prowincji Reggio Calabria we Włoszech.

<sup>8</sup> *Zippola* – rodzaj pączka, ciastka smażonego na tłuszczu, typowego dla Kalabrii, przyrządzanego głównie w okresie Bożego Narodzenia.

<sup>9</sup> *Padruni e sutta* – zabawa praktykowana dawniej w gospodach, polegająca na przekazywaniu kolejno gąsiora z winem aż do upicia się, ale z pominięciem jednego uczestnika, który w ten sposób stawał się przedmiotem kpin i żartów.

